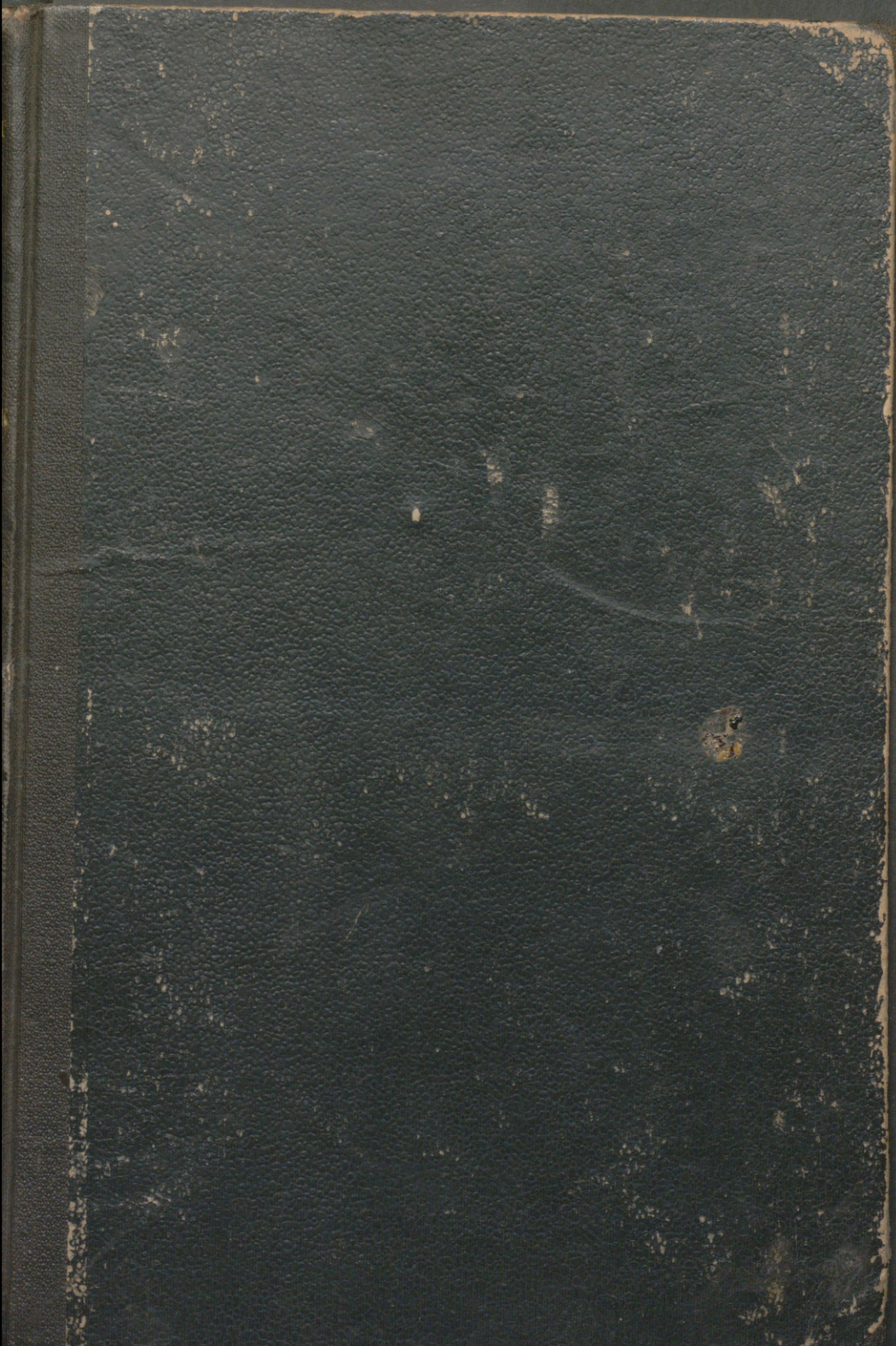
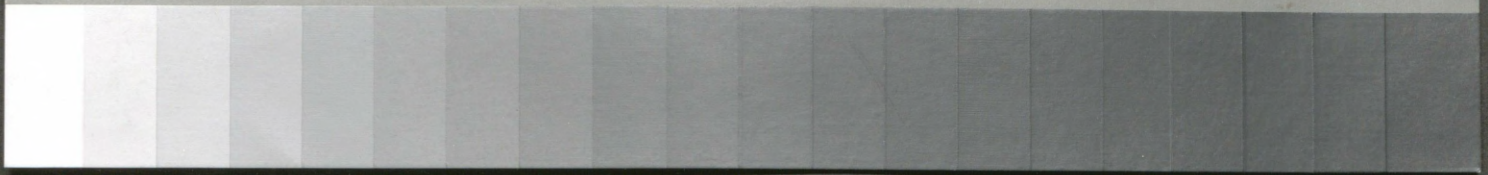


Grey Scale #13

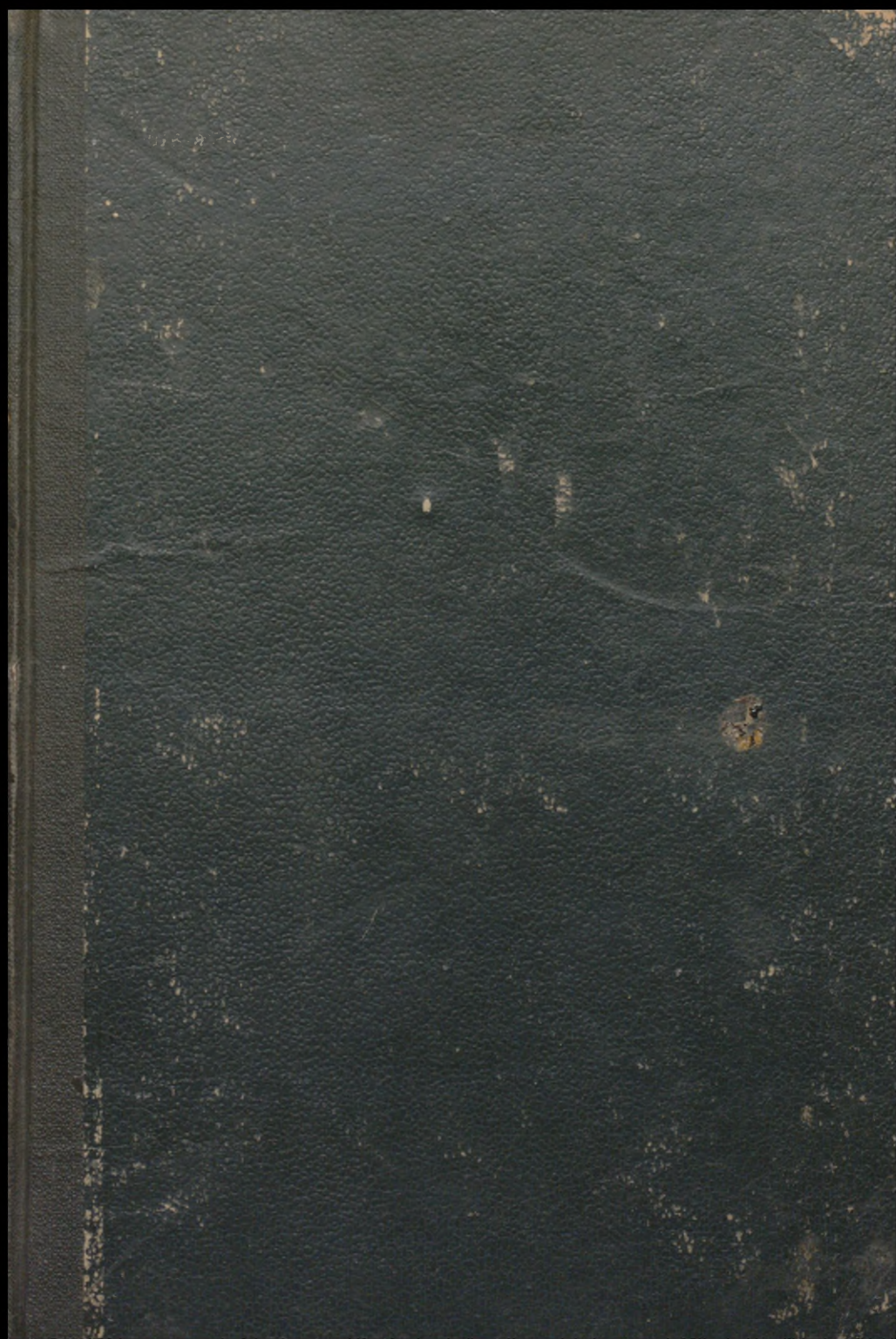


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13





N. 115

SEWERYN ZWISKI

# ROZBIÓR KRYTYCZNY

pomysłów historyzoficznych i odkryć dziejowych

Pana Antoniego Walewskiego,

członka czynnego krakowskiej akademii umiejętności.

NAPISAŁ

HENRYK SCHMITT.

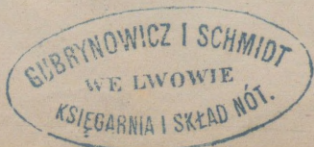


*Seweryn Judzki*

WE LWOWIE 1875.

NAKŁADEM AUTORA.

W Drukarni Narodowej W. Manieckiego.



92/438/ : 980

ROBERTO KRZYŻYŃSKI

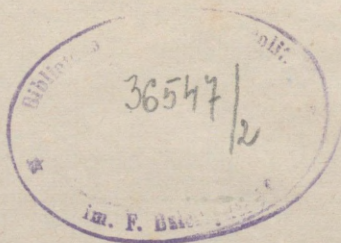
komisarz powiatowy w powiecie wrocławskim

Wrocław, dnia 15 października 1927 r.

Wobec braku wnieśli do sądu powiatowego wrocławskiego

WZTAJ

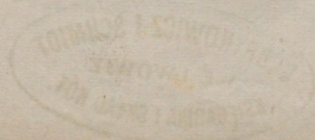
HENRIK SCHMITZ



WZTAJ

WZTAJ

WZTAJ



## SŁOWO WSTĘPNE.

---

Pan Walewski Antoni, były c. k. profesor historii powszechnej w uniwersytecie krakowskim, a obecnie czynny członek c. k. akademii umiejętności w Krakowie rozpoczął w roku 1857 swój zawód dziejopisarski ogłoszeniem dzieła w języku niemieckim pod napisem: „Die Geschichte der heiligen Ligue oder Kaiser Leopold I.“, w którym wystąpił z twierdzeniem, że gdy Pan Bóg układał plan stworzenia świata, objął nim w pierwszym rzędzie austryacką monarchyą i panującą w niej dynastyą, której też zaraz wtedy nadał nadzwyczaj ważne powszechnodziejowe przeznaczenie. Niezbyt pochlebna recenzja dzieła tego w literacko-naukowym dodatku do urzędowej Gazety wiedeńskiej odjęła widocznie c. k. profesorowi krakowskiemu chęć podejmowania na nowo niewdzięcznej pracy nad oświecaniem Niemców i wzbogacania ich literatury uczonemi dziełami swými, ponieważ odtąd zaczął owoce swych poszukiwań dziejowych ogłaszać w polskim wyłącznie języku. I tak wydał w roku 1866 pierwszy tom dzieła: *Historya wyzwolenia Polski za panowania Jana Kaźmierza* a w roku 1868 tom drugi tegoż. W roku 1870 ogłosiło towarzystwo naukowe krakowskie swym nakładem z fundacyi księcia Józefa Romana Lubomirskiego

pierwszy tom dzieła jego pod napisem: *Historja wyzwołonej Rzeczypospolitej wypadajacej w jarzmo domowe za panowania Jana Kazmierza.* Nakładem tegoż towarzystwa wyszedł w r. 1872 tom drugi historii wyzwołonej Rzeczypospolitej. W roku zeszłym (1874) wzbogacił Pan Walewski literaturę naszą pierwszym tomem dzieła: „*Dzieje bezkrólewia po skonie Jana III.*“, które wydała c. k. akademia umiejętności w Krakowie, tudzież rozprawą o filozofii dziejów. Zachęcony zaś ognistém wezwaniem Brandowskiego c. k. profesora uniwersytetu krakowskiego, wystąpił w bieżącym roku z najnowszém dziełem swoim pod napisem: „*Filozofia dziejów polskich i metoda ich badania.*“ Wypada w końcu dodać, że w roku 1848 Pan Walewski ogłosił publicystyczną rozprawę pod napisem: „*Pogląd na sprawę polską ze stanowiska monarchyi i historyi*“, aby tém uzupełnić szereg dzieł jego, które w przeciągu lat 27 wyszły z druku.

Z powyższego zestawienia można się przekonać, że Pan Walewski począwszy od roku 1866 był bardzo czynny na polu piśmiennictwa, skoro w przeciągu lat dziewięciu wydał pięć sporych tomów monografii historycznych i filozofią dziejów polskich. Monografie jego drukowane tak w niemieckim jak w polskim języku odnoszą się do drugiej połowy XVII. wieku wyłącznie. Opracowywał je zaś głównie na podstawie źródeł archiwalnych, które wydobył z tajnych archiwów wiedeńskich, paryskich, berlińskich i drezdeńskich, jak upewnia w licznych przypiskach, a których kopie oddał w znacznej części do archiwum c. k. akademii umiejętności w Krakowie. Zebranie tak ważnych materyałów do téj epoki przeszłości naszej poczytujemy za zasługę

Panu Walewskiemu. Lecz o monografiach jego, opracowanych na ich podstawie nie możemy żadną miarą tego powiedzieć. Autor bowiem zebrałszy owe ważne materiały z archiwów zagranicznych, odnoszące się przeważnie do stosunków zewnętrznych Polski w drugiej połowie wieku XVII., nie troszczył się o bogate zasoby źródeł swojskich, dotyczące téj epoki, a odnoszące się do spraw głównie wewnętrznych Rzeczypospolitéj, a co gorsza, nie zbadał i nie przestudował z ścisłością naukową tych nawet, które miał pod ręką, w dodatku zaś nie raczył obeznac się wszechstronnie z całą przeszłością ojczyzną, w której należało szukać klucza do zrozumienia wielu bardzo zagadnień i wydarzeń epoki opisywanéj. Pan Walewski zapomniał widocznie, że źródła zebrane w archiwach zagranicznych mogły mu wskazać jedynie całą sieć matactw i zachodów dyplomatycznych, używanych w Polsce ze strony dworów obcych, a oraz stosunki, w jakie też dwory wchodziły z rządem polskim i z poszczególnými stronnictwami Rzeczypospolitéj, w końcu zaś ich i ich agentów różniamiennych zapatrywania na osoby, stronnictwa, stosunki wewnętrzne i przebieg wypadków w Polsce, lecz że w nich żadną miarą nie mógł znaleźć dat potrzebnych do zobrazowania albo raczéj odfotografowania, że tak powiem, dziejów wewnętrznych narodu w epoce jego monografiami objétéj. Z tego wynikało, że Pan Walewski miasto przedstawiać nam w swych monografiach obraz wierny wszystkiego, co się w ówczas działo w Polsce, opisuje przedewszystkiem w sposób aż do unurzenia rozwlekły najdrobniejsze szczegóły spraw, które nazywa gabinetowými, a miasto patrzeć trzeźwém i nieuprzedzoném okiem na osoby, stronnictwa, stosunki i cały

rozwój wypadków, widzi wszystko w świetle sprawozdań poselskich lub wynurzeń zawartych w pismach dyplomatycznych czy to królewskich czy też którego ze stronnictw. Nic też dziwnego, że autor popadł w stronniczość, a tém samém nie zdołał w swém opowiadaniu utrzymać się na stanowisku czysto-przedmiotowém, w dodatku zaś niezliczonych dopuścił się sprzeczności, jak to poniżej wykażę szczegółowo.

W rozbiorze krytycznym pomienionych dzieł Pana Walewskiego zestawię najbardziej rażące niedokładności naukowe, które w nich spostrzegłem. Tu zaś dotknąć winienem bardziej jeszcze rażącej strony ich ujemnej, a mianowicie tonu, w jakim autor przemawia i sposobu, w jaki przedstawia ogół narodu. Jest rzeczą niewątpliwą, że każdemu wolno mieć swe zdanie i przekonanie i wynurzać takowe swobodnie. Lecz i to prawdą nie mniej, że nadużywanie téj wolności zrodziło wszystkie owe gburowate nieprzyzwoitości, karczemne wycieczki i pamfletarskie wybryki, którými się popisują zbyt często niższego rzędu pismacy w sporach politycznych a czasem i literackich. Jeżeli wybryki podobne rażą w ulotnej literaturze, cóż dopiéro w dziełach mających cechę naukową? Zdarzają się i w nich czasem uchybienia tego rodzaju, szczególniej zaś w niektórych dziełach zagranicznych opisujących dzieje polskie, lecz żaden z pisarzy obcych a nawet moskiewskich nie zaszedł w téj mierze tak daleko, jak pan Walewski w spomnianych trzech monografiach po polsku pisanych a szczególniej w swéj filozofii dziejów polskich, która mimo poważnego napisu, jest w rzeczy paszkwilem na naród polski, jakiego dotąd nikt z wrogów naszych nie odważył się napisać. Z tego też powodu namyślałem się

dość długo, czy z autorem piszącym paszkwile pod tytułami dzieł, które zupełnie co innego zapowiadają, warto się rozprawić w sposób poważny i naukowy, czy też przeciwnie należy poprzestać na odprawie, jaką mu wszystkie niezależne dzienniki polskie dały zaraz po wyjściu jego filozofii dziejów polskich. Najodpowiedniejszym byłoby rzeczywiście ostatnie, gdyby nie okoliczność, że Pan Walewski jest członkiem czynnym tak poważnej instytucji, jak c. k. akademii umiejętności, która nawet prace jego poprzednie swym wydawała nakładem, że zatem słusznie należy przypuszczać częściową przynajmniej zgodność jej z jego zapatrywaniami na przeszłość ojczyzną. Ten wzgląd przeważał ostatecznie, a jeżeli dziś biorę pióro do ręki, aby skreślić krytyczny rozbiór pomysłów historyzoficznych i odkryć dziejowych Pana Walewskiego, nie czynię tego w uznaniu wartości naukowej dzieł jego, ale z powodu jedynie, że po za nim jest dotąd c. k. akademii umiejętności w Krakowie, zaszczycająca go mianem swego członka czynnego.

## I.

### Pomysły historyzoficzne Pana Walewskiego.

---

Filozofia dziejów jest najtrudniejszą z wszystkich umiejętności, ponieważ ogarniając całą przeszłość narodów, państw i ludzkości, winna wskazać nie tylko drogi i kierunki ich rozwoju postępowego lub zbaczania wsteczne ale oraz przyczyny towarzyszących im zjawisk i przeobrażeń dokonywanych pod wpływem wcielających się w społeczeństwa idei. Trudność pochodzi ztąd głównie, że filozofia będąca z natury swęj abstrakcyjną, w zastosowaniu do dziejów musi zejść na drogę empiryczną, to jest oprzeć swe poglądy na faktach, i z nich dopiero wysnuwać owe prawa i prawdy, które ujęte w systematycznie ucłonkowaną całość stanowiąc mają jęj istotę. Lecz materyał sam, to jest owa niezmierna mnogość i różnorodność faktów, na których ma się oprzeć filozofia dziejów, potrzebuje ściśle naukowego i wszechstronnego wprzód zbadania i przygotowania, zanim go filozofia do swych celów może użytkować. Każdy z niezmiernie licznych faktów głównych należy w drodze krytycznej sprawdzić, oczyścić go z wszelkich naleciałości, jakiemi podania i fantastyczne dodatki bazarzy go upstrzyły, i wskazać współdziałające w nim czynniki moralne i fizyczne, a przytem wszystkie fakta rozklasyfikować według cech i znamion wspólnych na grupy, a grupy uporządkować w kolei więkšej lub mniejszej wydatności cech im wszystkim wspólnych. Cały ten materyał mają filozofii przygotować dzieje w ściśłem wyrazu tego znaczeniu, i obrobić go krytycznie, co znów z pomocą jedynie innych nauk moralnych

i przyrodzonych może nastąpić, gdyż inaczej krytyczne obrobienie byłoby niedostatecznym a nawet bezwarunkowo niemożliwym. Na tej jednakże wyżynie nie stanęło jeszcze nigdzie dziejopisarstwo ani powszechne ani narodowe. Krytyka historyczna, posiłkująca się innymi naukami nie doprowadziła dotąd oczyszczenia i uzasadnienia wszechstronnego faktów dziejowych do tego stopnia niewątpliwości, jakiego wymaga ścisła umiejętność, a tym samym nie mamy dotąd podstawy do umiejętnego opracowania dziejów, to jest do ich filozofii.

Trudność nie wynika z samej tylko natury tak obszernego zadania dziejopisarstwa, ale w znacznej części z niepełnego jeszcze dotąd rozwinięcia wszystkich nauk współczesnych, które także mnogie przedstawiają niedostatki. Każda z nich bowiem musi sama dojść do całkowitego rozkwitu, nim zdoła dostarczyć historyografii potrzebnego z swej strony materiału. Skoro zaś nie nastąpiło nic podobnego, a sama krytyka dziejowa faktów z odleglejszej starożytności bardzo wiele pozostawia do życzenia, nie mogły się udać wszystkie owe próby historyozoficzne, które przedsięwzięli najgłębsi myśliciele wszystkich narodów cywilizowanego świata. Metoda dedukcyjna, której używano w dociekaniu ducha przeszłości dziejowej tudzież praw rozwoju narodów, państw i ludzkości całej nie mogła wydać w tak empirycznej nauce, jaką są dzieje, spodziewanych owoców, chociaż badaczom nie można odmówić znakomitej bystrości poglądu i głębokiego wnikania w cały obszar dziejowy. Wychodząc z pewnych apriorycznych założeń starali się wprawdzie ich prawdziwość stwierdzać faktami dziejowymi, lecz gdy te fakta tłumaczyli zgodnie tylko z swym założeniem, co bez dowolnego najczęściej nie obeszło się ich naciągania, musiały mnogie ztąd wywiązywać się wątpliwości, czy tak przedstawione fakta zgadzają się z rzeczywistością dziejową, a tym samym czy i loiczna ich przyczyna przez historyozofa wskazana jest prawdziwą. Metoda ta zatem zastosowana do historyozofii mogła wydawać mniej lub więcej zręcznie ułożone systemy, lecz nie zdołała wytworzyć filozofii dziejów w ścisłym wyrazu tego znaczeniu, to jest umiejętności, któraby na wszystkie zagadnienia przeszłości i teraźniejszości wyczer-

pującą i najmniejszej wątpliwości nie podlegającą dawała odpowiedź, któraby zatem była ową mistrzynią życia, jak ją nazywali starożytni.

Próżne przeto usiłowania najgłębszych myślicieli, by za pomocą metody dedukcyjnej stworzyć filozofią dziejów, dały pochód najnowszemu na tym polu pracownikom zastosowania metody indukcyjnej, polegającej na wysnowywaniu z nagromadzonych jak najliczniej faktów i zjawisk praw, które je wydały. Tą drogą postępując, można ostatecznie dociec prawdy opartej nie na przypuszczeniu z góry powziętém, ale na rzeczywistości licznych faktów bez poprzedniego naciągania ją stwierdzających. Lecz i tu natrafiono na mnogie trudności, których nie zdołano dotąd przełamać, a które wynikały z braku przygotowanego należycie materiału, jak to powyżej wskazałem. Mimo bowiem olbrzymiego postępu wszystkich nauk w ostatnich kilkudziesięciu latach, jest jeszcze tyle w nich do zrobienia, że nie podobna nawet przewidzieć, czy kiedy dojdą do ostatecznego celu zadania swego. I na drodze przeto indukcyjnej nie mogły się powieść usiłowania historyzoficzne w takich rozmiarach, jak się tego spodziewali pracownicy. Zastosowanie tej metody do badań dziejowych należy słusznie nazwać postępek w nauce, lecz stanowczych wyników można się wtedy dopiero spodziewać, gdy wszystkie inne nauki, któremi przytém wypada się posiłkować, dojdą do rozkwitu. Pomijając już nauki moralne, zwracam uwagę na nauki przyrodzone, bez których pomocy przy badaniu faktów dziejowych nie można się obejść. Lecz ileż to zagadnień w każdej ich gałęzi nie zdołano dotąd rozwiązać? Wiemy przecież, jak ważną rolę odgrywa wpływ klimatu na mieszkańców każdego zakątka ziemi. Jestże ta kwestya w obecnym stanie nauki już całkiem rozwiązana? Możemyż z wszelką pewnością i naukową ścisłością wskazać, jakim był klimat danej miejscowości przed wiekami a szczególnie w ówczas, gdy mieszkańcy teje będący w pierwotnym stanie, i dla tego bardziej zbliżeni do natury, ulegali tém samém daleko więcej wpływom jego? Czyż wykazano już z dokładnością naukową stopniowe zmniejszanie się wpływu jego w miarę wzra-

stającą cywilizacji i oświaty? Możnaż się nawet spodziewać, by nauka doszła kiedyś przynajmniej do wykazania wszystkich odmian stopniowych siły wpływu tego? Gdzież są daty i fakta, na którychby można oprzeć ścisłość obliczeń? Wzmianki w kronikach o powodziach, zmianach temperatury, epidemiach, o rozległości lasów, moczar itp. są tak urywkowe i niedokładne, a najczęściej tak lakoniczne, że na nich nie można oprzeć ścisłego dochodzenia, a cóż dopiero rachunku! Tym sposobem moglibyśmy każdej z nauk mnóstwo zadać pytań, na które w dzisiejszym swym stanie nie zdołałyby z należytą odpowiedzialnością i pewnością.

Chociaż przeto z powodów wskazanych nie podobna było dotąd zamaryć o filozofii dziejów w ścisłym wyrazu tego znaczeniu, nie można przecież twierdzić, że usiłowania w tym kierunku podjęte były całkiem bezowocne. Przeciwnie działośano na tćm polu bardzo wiele tak na drodze dedukcyjnej, jak z pomocą metody indukcyjnej. Zakres dziejopisarstwa rozszerzył się niezmiernie i obejmuje wszystkie czynniki występujące w rozwoju dziejowym narodów, państw i ludzkości, nie pomijając żadnego. W historyozofii nawet dokonano wiele, skoro jej wpływ stał się widocznym w umiejętnćm obrabianiu dziejów szczegółowych i powszechnych. Zdobycze na tćm polu są już niewątpliwe, a przyszli pracownicy znajdą materyał bogaty do dalszej budowy.

Na to pole rzucił się i Pan Walewski w swćm najnowszym dziele, które wydał pod napisem: „Filozofia dziejów polskich i metoda ich badania“. Lecz przystćpując do tak waźnej pracy, nie przygotował się należycie, a co wićcej nie przepatrzył nawet pobieźnie, co w tćj mierze przed nim napisano. Nic teź dziwnego, że nie obeznawszy się ze zdobyczami na tćm polu dokonaniem, nie mógł tćm samćm wiedzieć, do jakich wyników doszli badacze tak na drodze dedukcyjnej jak indukcyjnej. Nie wiedząc, która z obu metod pewniej wiedzy do celu, obrał dedukcyjną, zwłaszcza gdy mu się niezawodnie zdaowało, że jest łatwiejszą i uwalnia go od szczegółowego badania mnogości faktów dziejowych. Dzieło to ochrzczone tak szumnym napisem, nie jest ani filozofią dziejów, ani nawet pracą ścisłą

historyczną, ale raczej wytworem polemicznym, w którym autor za punkt wyjścia obrał sobie niektóre twierdzenia historyzoficzne własnego pomysłu, a nie udowodnione bynajmniej, tudzież nieco faktów dziejowych, najbliżniej przedstawionych i powykrzywianych, aby tą bronią zwalczać żywych i umarłych, którzy śmieli być innego niż on zdania.

Zgadzam się zupełnie z autorem, że jak filozofii dziejów polskich tak nawet politycznych bez uwzględniania dziejów powszechnych i całego sąsiedztwa nie podobna należycie opracować, i dla tego nie nazwę tego niewłaściwością, że zaczął swe dzieło od filozofii dziejów powszechnych. Zresztą nie jest to nowością i reformą przezeń wprowadzoną, ponieważ wszyscy nasi dziejopisarze i badacze szli od dawna tym trybem, i wiedzieli, że dziejów narodu polskiego jako coś zupełnie odosobionego nie można opracowywać i że trzeba brać w rachubę wpływy całego bliższego i dalszego sąsiedztwa jego, wywierane nań w całym przebiegu życia jego dziejowego. Trudniej zgodzić się na naczelne twierdzenie, z jakim występuje w swój historyzofii, a mianowicie, że jej przedmiotem jest wykazanie całego przebiegu walki spiritualizmu z materializmem, czyli ducha z ciałem. Nie jest to bowiem zasada ściśle historyzoficzna ale raczej teozoficzna albo teologiczna, gdyż z niej wytworzyły się pojęcia religijne wszystkich niemal narodów, w których system ten dualistyczny przyjęto. W filozofii dziejów nie można tak nieuchwytniej zasady przyjmować, jaką jest owa mniemana walka dwóch przeciwnych sobie pierwiastków, to jest walka (a u autora lukta) ducha z ciałem czyli idei z materją. Rzeczywistość walki takiej między dwoma pierwiastkami, jakimi są duch i ciało, idea i materia nie da się filozoficznie uzasadnić, gdyż sprzeciwia się pojęciu o zgodności harmonijnej obu tych pierwiastków w ukształtowaniu i utrzymywaniu wszechświata. Autor przeciwstawi je zaś w znaczeniu dobrego i złego, co zakrawa na niedorzeczność loiczną.

W dalszym rozwoju pojęcia o téj walce powiada, że spirytualizm przedstwia dążenie do zgody, jedności i uznawania powag, materializm zaś jest przedstawicielem rozdwo-

jenia, opozycyi i protestacyi. Że określenie to ani jest filozoficznym ani nawet naukowym, byłoby rzeczą zbyteczną dowodzić. Lecz daleko ciekawsze są spostrzeżenia Pana Walewskiego dotyczące wyniku tej walki w różnych epokach dziejowych. Otóż twierdzi, że w całej starożytności zwyciężał spiritualizm t. j. powaga, że w chrześcijańskiej erze bardziej się jeszcze uwydatniała przewaga jego nad materyalizmem, reprezentowanym przez oryent, który też ulegał zawsze w walce z okcydentem. Idąc o krok dalej twierdzi, że spiritualizm jest prawowitością, restauracją, a materyalizm rewolucją, i wnioskuje przytém na podstawie niby faktów dziejowych, że rewolucya będąca synonimem materjalizmu nie może nigdy stale zwyciężyć, ponieważ takie zwycięztwo byłoby w sprzeczności z wolą opatrności kierującej światem, która zwycięztwo jedynie spiritualizmowi zapewniła. Określenia dokładnego spiritualizmu i materjalizmu, powagi, rewolucyi nie podaje nam p. Walewski, a chociaż chciał niby scharakteryzować oba główne pierwiastki, postąpił sobie tak dowolnie, że niepodobna się na to zgodzić. Nie określił zaś bliżej, co rozumie pod wyrazem rewolucya, a wywodząc ją z pierwiastku materyalistycznego twierdzi, że już z tego powodu nie może nigdy zwyciężyć a przynajmniej na długo. Jedno i drugie jest błędne. Rewolucją bowiem nazywamy każdą zmianę, reformę lub przewrót istniejącego porządku rzeczy bez względu na cel i powody jej dokonania. Gdy zaś zmiana może być na lepsze lub gorsze a i pobudki do niej szlachtne lub niegodziwe, wynika ztąd, że i rewolucya w pierwszym wypadku miałaby cechę dobroczynnej a w drugim jedynie okazałaby się szkodliwą. Ze względu zatém na możliwość tak wielkiej różnicy w powodach i celach niepodna z góry potępiać każdą rewolucją jako coś bezwarunkowo złego, jak twierdzi autor. Wszystkie zresztą państwa i narody przechodziły w swym rozwoju dziejowym mnogie rewolucye, a każde przekształcenie całkowite lub częściowe ich ustroju społeczno-politycznego było rewolucją. I chrześcijaństwo było także rowolucją i to największą ze znanych w dziejach, skoro spowodowało najzupełniejszy przewrót istniejącego w świecie starożytnym

porządku rzeczy tak pod względem religijno-moralnym jak nie mniej społecznym. Zdaniem autora jest każda rewolucya wynikiem materializmu a więc złą, ponieważ dąży do obalenia powag przedstawiających w jego mniemaniu pierwiastek czysto spiritualny czyli duchowy. W takim wypadku należałoby ze względu na konykwencyą loiczną odmówić narodom i całej ludzkości prawa używania daru doskonalenia się ciągłego, którym je uposażyła opatrność. Samo bowiem pojęcie prawa a oraz obowiązku dążenia nieustannego do coraz większej doskonałości czyli do ideału mieści w sobie zapowiedź ciągłych zmian na lepsze a więc ciągłych rewolucyi, któremi takowe się dokonują, w dalszej zaś konsekwencyi loicznej niezbędność obalenia powag, które w poprzednio istniejącym mniej dobrym stanie społecznym miały warunki swego istnienia. Wszyscy też historyzofowie idąc krok w krok za widocznym w dziejach dążeniem do coraz większej doskonałości, nie upatrywali nic zdrożnego w dokonywanych tym celem rewolucyach, które przybierały częstokroć charakter nader gwałtowny i stawały się w świecie moralnym tém, czém bywają w fizycznym burze i uragany, wynikające z powstałej w powietrzu nierównowagi, która byłaby w swych skutkach daleko bardziej zabójczą, niż ich przelotne chociaż niszczące działanie. Siła burząca pierwszych i drugich dotyka niewątpliwie w sposób nader belesny tych, którzy jej działania doświadczają na sobie, lecz w życiu zbiorowym ludzkości i wszechświata jest ich działanie koniecznym a nawet zbawiennym, ponieważ przywraca zachwianą równowagę i wyniszcza zabójczą w swych następstwach zgniliznę zastoju. Chcąc zresztą z całą konsekwencyą loiczną zastosować te pomysły historyzoficzne Pana Walewskiego do życia dziejowego narodów i ludzkości, potrzebaby uznać, że nieruchomość i zastój są ideałem bytu społecznego.

Autor nasz nie odmawia wprawdzie ludzkości i narodom prawa dążenia do coraz większej doskonałości, a tém samém i daru ciągłego doskonalenia się, skoro przyznaje, że z obowiązku winne dążyć do oświaty. Określa nawet jej znaczenie, ponieważ powiada, że każdy człowiek winien dążyć do świadomości stosunku, w jakim jest do Boga, ludzkości i społec-

czeństwa, w którym żyje, przez co dopiero pozna swe prawa i obowiązki, a tém samém dojdzie do oświaty. Z tego troistego stosunku, w jakim każdy człowiek zostaje, wywodzi Pan Walewski naprzód potrzebę troistości ustaw, które błędnie mieni prawami, a mianowicie ustawy kanonicznej, międzynarodowej i pospolitej, czyli jak je nazwał prawa kanonicznego, narodów i pospolitego, a powtóre niezbędność trzech władz naczelných, które mają sprawować rządy i wychowywać ludzkość i narody w owych trzech kierunkach. Takiemi naczelnymi władzami są papież, cesarz i królowie lub książęta. Pierwszemu powierza na mocy ustaw kanonicznych, normujących stosunek człowieka i całej ludzkości do Boga, rządy duchowne nad światem i wychowywanie ludzkości pod względem religijnym, drugiemu oddaje rządy naczelne świeckie i wychowywanie ludzkości wedle norm prawa narodów, mającego je wszystkie w jedną niejako sprzedaż rodzinę, a na trzecich zdaje rządy poszczególných krajów i narodów i wykonywanie pospolitych ustaw, normujących stosunki społeczne, obywatelskie i polityczne każdego kraju i narodu z osobna. Papież jest zatem głową duchowną a cesarz świecką całego świata, królowie zaś i książęta są pod zwierzchnią powagą obu pierwszych władcami państw i narodów i wychowują podległe sobie narody tak samo jak tamci ludzkość całą. Tym trzem naczelnym kategoryom powag dodaje autor do pomocy w rządzeniu i wychowywaniu ludzkości i narodów hierarchią duchowną i świecką, złożoną z powag niższego rzędu. I oto gotowa budowa religijno - polityczno - społeczna świata chrześcijańskiego, jak ją obmyśliła opatrność według twierdzeń Pana Walewskiego.

Ciekawy jest pod każdym względem skreślony w historyozofii Pana Walewskiego opis genezy tych władz czyli powag naczelných i podrzędnych, powstałych równocześnie niejako z erą chrześcijańską. Muszę zaś nieco obszerniej pomówić o tym przedmiocie, ponieważ autor oparł na owęj genezie wszystkie swe wywody i pomysły historyozoficzne tak odnoszące się do wieków ubiegłych jak nie mniej dotyczące teraźniejszości a nawet przyszłości. Lecz zanim przystąpię do

wynurzenia własnych zapatrywań moich w tej mierze, zestawie w treściwym przeglądzie jego twierdzenia i wywody, co nie jest rzeczą łatwą zważywszy, że autor rozrzucił je po całym dziele a chociaż się powtarza aż do znudzenia dla lepszej niby dobitności, nie określa przecież nigdzie dokładnie i ze ścisłością naukową tego, o czym rozprawia w sposób najrozwlekleszy. Przeskakuje przytém w tekście i przypisach z jednej epoki w drugą, a bardzo często rozpoczyna w połowie rozprawy polemikę z nią najmniejszego nie mającą związku. I tak prawiąc np. o czasach Cezara i Oktawiana, przerzuca się nagle w wiek macedońskiego Aleksandra W., a ztąd rażnym zwrotem przechodzi do panującego dziś cara Aleksandra II, poczem znów wpada w poetyczny zachwyt przy tuż następującym pobieżnym opisie rycerskości średniowiecznej, dokąd mu nie wlezie niespodzianie w drogę Serano lub nie przypomną mu się rewolucyoniści, demokraci, liberały, komuniści i inni ejusdem generis anarchiści, i nie pobudzą go do sierzystej polemiki, w której używa zwykle wyrażeń nie utartych jeszcze w dziełach naukowych szczególnież zaś w historyzozofii, a obijających się o uszy przechodniów jedynie koło straganów lub szynkowni najniższego rzędu.

Lecz przypatrzmy się opisanęj przezeń genezie owych władz naczelných i całej budowy religijno-polityczno-społecznej świata chrześcijańskiego. Otóż opowiada nam w wyżej wskazany sposób, że w całej starożytności była największa cześć dla powag, i dla tego w niej przeważała duchowość, że szczególnież Rzeczpospolita rzymska wzbija się w tęg mierze bardzo wysoko, skoro urobiła sobie już pojęcie majestatu, zanim uzyskała monarchyą, że taż Rzeczpospolita objawszy granicami swými ogromne obszary, przysposobiła tég rolę niejako pod zasiew chrześcijaństwa, które z powodu używanego we wszystkich jég rozległych prowincyach języka łacińskiego tég łatwiej mogło się krzewić, że jednakże popadłszy w skutek walki stronnictw w zemdlenie, anarchyą i demoralizacyą, była zagrożona upadkiem, gdyby opatrność w sam czas nie zesłała zbawców w osobie Cezara i przybranego przezeń Oktawiana. Powiada dalej, że czego nie mogli dokazać demokraci

czyli wielka liczba, ani arystokraci (patrycyusze) mniejsza liczba ale liczba, to dokonał po zamordowaniu Cezara sam Oktawian udostojniony imieniem Augusta, ponieważ zgniółszy walczące w Rzeczypospolitej stronnictwa, skupił w swém ręku całą władzę téjże a z nią i ową powagę majestatu, znanego już w państwie rzymskiém, przez co stanął od razu na czele owoczesnego świata, stał się jego głową świecką i ocalił go od grożącego mu kataklizmu. Tym sposobem utworzyła opatrność według zaręczenia Pana Walewskiego powagę naczelną świecką cesarza, a że takowa była ję dziełem, mają świadczyć słowa Chrystusa, który ją uznał, a skoro polecił wyraźnie, aby oddawać cesarzowi, co jest jego, czyli co mu się należy, wskazał tém samém, że władza i powaga cesarza pochodzi od Boga i dla tego jest z bożęj łaski.

Mając już cesarza, opromienionego całą powagą majestatu światowładnej Romy, przystępuje Pan Walewski do genezy drugiej władzy naczelnę. Otóż powiada, że równocześnie prawie z powstaniem cesarstwa rzymskiego urodził się w Betelem twórca nowego zakonu, którego przyjście zapowiadano od wieków, i ustanowił kościół chrześcijański, którego zarząd naczelnny powierzył apostołowi swemu Piotrowi i jego następcom. Tym sposobem powstała współcześnie niemal z naczelną nad światem władzą świecką cesarzów rzymskich władza naczelnna duchowna Piotra i jego następców czyli papieżów nad całym kościołem chrześcijańskim, wyższa powagą od tamtęj jako czysto duchowna i dla tego mająca rząd nad sumieniem wszystkich bez różnicy ludzi. Władza ta nadana Piotrowi i jego następcom wprost od Boga jest tém samém przed wszystkiemi innemi z bożęj łaski.

Trzeba było autorowi jeszcze trzecięj władzy naczelnę lecz z mniejszym niż obie pierwsze zakresem. Wynalezienie ję nie nabawiło go kłopotu, ponieważ spostrzegł bystrym okiem Germanów, których jak twierdzi, Pan Bóg poruszył wcześniej z odległych na dalekim wschodzie koczowisk i sprowadził w sąsiedztwo posiadłości rzymskich właśnie wtedy, gdy przyszło do utworzenia obu wspomnianych władz naczeln-

nych. Germanowie rozsiedleni wzdłuż północnych granic państwa rzymskiego mieli w mnogich wodzach swoich doskonały materiał do utworzenia królów i książąt, a w drużynach tych wodzów wymieniony zarybek świeckiej hierarchii. Pierwsi wyprowadzali ród swój od bogów pogańskich, byli więc otoczeni aureolą takiego pokrewieństwa i dla tego nadawali się już tym tytułem na królów i książąt z bożej łaski, o czem autor nie pozwala nikomu powątpiewać. Drugi otaczając osoby uświęcone i z bogami spokrewnione wodzów poczytywali sobie wierność ku nim bezwarunkową za obowiązek a w służbie i posłuszeństwie upatrywali zaszczyt, przez co kwalifikowali się na starszyznę przyświecającą swym przykładem ogółowi czyli na hierarchią pomagającą królom i książętom w rządach i w wychowywaniu owego ogółu.

Wszystkie powstałe z natchnienia bożego władze czyli powagi uzyskały nieulegające zaprzeczeniu prawo rządzenia światem, państwami lub narodami. Świeckie to jest cesarze, królowie i książęta nabyli je nie tylko sami dla siebie, ale oraz dla swych rodów czyli dynastii dziedzicznie. Z prawa tego wypłynęła prawowitość, zabezpieczająca z jednej strony rody panujące przeciw wdzierstwu innych a z drugiej państwa i narody od zgubnych przesileń i upadku nawet. Z owej zaś wierności drużyn germańskich upatrujących zaszczyt w bezwarunkowym posłuszeństwie powstała lojalność, która spajając sakramentalnym niejako węzłem rządzonych z rządzącymi i ich dynastiami, jest zdaniem autora najszczytniejszą cnotą obywatelską. Pojęcie prawowitości i cnota lojalności wyrobiły się dopiero w wiekach rozkwitu rycerskości feudalnej.

Tym sposobem powstał zdaniem autora najlepszy a tém samém doskonały, gdyż z myślą i wolą Boga zgodny porządek w Rzeczypospolitej chrześcijańskiej. Państwami i narodami rządzą w obrębie ustaw pospolitych, normujących prawa i obowiązki każdego z obywateli królowie i książęta z bożej łaski niezależnie, ulegają zaś cesarzowi z bożej także łaski we wszystkiem, co się odnosi do prawa narodów, a papieżowi z bożej łaski w tem znowu, co wchodzi w zakres ustaw ka-

nonicznych. Cesarz, który w sprawach świeckich jest głową i naczelną powagą w Rzeczypospolitej chrześcijańskiej, a któremu ze względu na zajęte stanowisko podlegają królowie i książęta, podlega z swój strony papieżowi jako zwierzchnikowi duchownemu téj Rzeczypospolitej, do którego obrony jest w każdej potrzebie obowiązany z mocy urzędu swego i wykonanej przysięgi. Hierarchia zaś świecka i duchowna podzielona na kilka stopni a istniejąca na podstawie praw historycznych ma zaszczytne powołanie bronienia tych trzech władz naczelnych i wspierania ich radą i czynem na każde wezwanie i w każdym wypadku.

Powstanie późniejsze drugiego cesarstwa chrześcijańskiego na wschodzie nie nadwreżyło zdaniem autora wskazanego wyżej porządku w Rzeczypospolitej chrześcijańskiej, a nawet szyszma religijna, w skutek której kościół rozpadł się na wschodni i zachodni nie zdołało go stanowczo nadwątlić, ponieważ znalazł się zaraz środek przywrócenia zachwianej w świecie chrześcijańskim harmonii. Środkiem tym jest porozumiewanie się obu cesarzy w sprawach dotyczących całego świata chrześcijańskiego pod kontrolą oczywiście papieża, przez co może nastąpić znów połączenie się kościoła wschodniego z zachodnim.

Tak przedstawił nam Pan Walewski genezę i historyczno-fizyczne znaczenie wszystkich władz w Rzeczypospolitej chrześcijańskiej. Przypatrzmy się teraz, jak się to wszystko przedstawia w rzeczywistości. Rzeczpospolita rzymska miała, jak każde państwo wzrosłe podbojami, zarody upadku sama w sobie, któremu ani przyznawana prowincjom zdobyтым dość obszerna autonomia, ani dzielność legionów i kolonii wojskowych, ani sprężystość administracyjna nie mogły zaradzić. Rzeczpospolita zamknięta w jedném mieście i jego okręgu a rządząca światem i utrzymująca tém samém wszystkie prowincye w zależności od siebie, była utworem tak niezwykłym, że dziwić się należy jej istnieniu i powodzeniu kilkuwiekowemu. Pojmujemy bowiem trwałość Rzeczypospolitej zjednoczonych z sobą na zasadzie równości mnogich prowincyi, które z powodu téj właśnie równości mają wspólny interes jej bronienia i utrzy-

mywania. Takiego poczucia nie mogły mieć prowincje rzymskie utrzymywane żelazną ręką pretorów i legionów w uległości, z której pragnęły się wyłamywać najbliższe nawet Rzymu kraje włoskie. Dzielnosc legionów i szczęście wojenne wielkich wodzów przełamywały każdy opór i zdobywały nowe prowincje, lecz z tą sławą wojenną i świetnością zaczęły coraz bardziej rozwijać się zarody upadku. Ze zwycięstw i podbojów spływały wszystkie prawie zyski na rządzący stan patrycyuszów, który nietylko w ogromną wzrósł potęgę ale i w olbrzymie dostatki, gdy reszta obywateli Rzymu, czyli tak zwani plebejusze t. j. ludzie z gminu za swe trudy wojenne, rany i krew przelewaną żadnych prawie nie odnosili korzyści. Z tego wywiązała się walka zacięta, która skończyła się wprawdzie zwycięstwem plebejuszów, lecz nie usunęła zarodów złego. Przewódcy bowiem plebejuszów poszli za przykładem patrycyuszów, i garnęli zyski z prowincji zawojowanych a krzyczące tłumy wszechwładnej Romy uśmierzali wraz z tamtymi wyprawianiem igrzysk i rozdawaniem żywności, to jest dawali im panem et circenses. Walka zasadnicza o równe prawa patrycyuszów i plebejuszów trwała wprawdzie ciągle, lecz w rzeczy było to wyzyskiwanie tylko faktycznego stanu rzeczy ze strony ludzi ambitnych, którzy chcąc trząść Rzymem a przezeń prowincjami, używali hasła dawnych, aby się tylko wynieść z pomocą czy to gminu, czy też patrycyuszów i uzyskać przewagę nad innymi. Walki dawniejsze zasadnicze stronnictw ucichły prawie całkiem na sto lat blisko przed erą chrześcijańską, a wszelkie wstrząśnienia w Rzeczypospolitej wynikały z walki ambitnych ludzi o przewagę swego wpływu i znaczenia. W takim składzie stosunków było do przewidzenia, że owa Rzeczpospolita istniejąca już imiennie tylko, a w rzeczy będąca pod rządami tych, którzy kolejno czy to podstępem czy siłą umieli uzyskać przewagę, nie zdoła się utrzymać. Stan ten pogorszył się bardziej, gdy w skutek ciągłych wojen domowych i zewnętrznych trzeba było zwiększyć liczbę legionów a dawne złożone z obywateli rzymskich zastąpić w części znacznej najemnikami, które nie mając poczucia obywatelskiego tamtych, nie przywiązywały się do Rzeczypospolitej

ale do swych dowódców wyłącznie, od których zależał ich los i korzyści z odnoszonych zwycięstw. Odtąd bowiem mógł każdy wódz szczęśliwy na czele takich legionów, duszą i ciałem mu oddanych, zwracać oręż swój nawet przeciw samemu światowładnemu Rzymowi, jeżeli tenże niechciał uczynić zadość woli jego. Tak postąpili sobie rzeczywiście Maryusz, Sulla i Cezar. Odtąd zależało istnienie imiennój Rzeczypospolitej od dobrej woli zwyciężkich wodzów, którzy wśród krwi strumieni utwierdzali swą przewagę i panowanie. Maryusz, Sulla a w części i Cezar poprzestali na rzeczywistości panowania, a kształty Rzeczypospolitej pozostawili z niektórymi zmianami nietknięte.

Śmierć gwałtowna Cezara wywołała nowe zapasy, wśród których upadła na zawsze Rzeczpospolita. Cezar Oktawian bowiem upuściwszy Rzymianom listami proskrypcyjnymi wiele krwi, opanował władzę jako Imperator Augustus, zniósł całkowicie niemal dawne formy republikańskie, i rządził odtąd sam, ponieważ współudział niewolniczo rozkazy spełniającego senatu nie może tu wchodzić w rachubę. Że po tylu wstrząśnieniach wewnętrznych, triumwiratach, proskrypcjach i rzeziach, które krwi strumieniami zalały Rzym i prowincye, uciszenie się tego wszystkiego i ustalenie pokoju wewnętrznego było dla mieszkańców owoczesnych stanem lepszym, niż był poprzedni, nie ulega wątpliwości. I dla prowincyi również nastąpiły lepsze czasy, ponieważ po stanowczém zwyciężtwie i uzyskaniu władzy najwyższej nie potrzebował August oddawać swym stronnikom na łup takowych, ale w zaprowadzeniu porządnój w nich administracyi i obronie ich przeciw nadużyciom i zdzierstwom pretorów własny upatrywał interes. Lecz wszystko to zależało od jego dobrej woli a oraz od sprężystości w dzierzeniu najwyższej władzy niczem nie ograniczonej, której podlegały tak liczne i od siedziby rządu oddalone prowincye.

August dokonawszy zamachu stanu, i przywłaszczywszy sobie władzę, nie zdołał przecież ubezpieczyć istnienia państwa na przyszłość. A dla czego? Tego nie wskazał Pan Walewski, rozpisujący się szeroko o wielkiem zadaniu i znaczeniu władzy

cesarskiej w dziejach ludzkości, którą August utworzył i aureolą majestatu otoczył. A jest to pytanie, nad którym każdy badacz przeszłości a szczególnie historyzof głęboko powinien się zastanowić. Pierwszą przyczyną był zdaniem mojem sposób utworzenia cesarstwa czyli geneza jego. August bowiem postępował w swém dążeniu do władzy drogą gwałtów niesłychanych, drogą proskrypcyi i rzezi, które pochłaniając mnogie tysiące ofiar, wypłeniły prawie ze szczętem ludzi najdzielniejszych i odznaczających się poczuciem obywatelskiem, a między resztę rzuciły straszliwy popłoch i tém sprowadziły w Rzymie i prowincjach ciszę cmentarną. Mieszkańcy przeżeni uznali czyn dokonany, uderzyli czołem przed mniemanym majestatem przywłaszczyciela a przekonawszy się z czynów jego, że niezwykły przebierać w środkach i w razie potrzeby użyje najokrutniejszych, spełniali z trwogą jego rozkazy. Obywatele, w których piersi dawne cnoty i poczucia republikańskie nie wygasły, usunęli się dobrowolnie z widowni życia publicznego w zacisze domowe, ponieważ nie chcieli pomagać gwałtowi, a z drugiej znow strony nie widzieli możności opierania mu się ze skutkiem. Ci zaś, którzy byli narzędziami dogodnemi w rękę przywłaszczyciela podczas dokonywania zamachu stanu, pozajmowali potem wszystkie posady publiczne i czuwali w interesie własnym nad utrzymaniem narzuconego przezeń nowego porządku rzeczy. Za to wygasły w masie mieszkańców resztki dawnego poczucia obywatelskiego i miłości kraju. Rzymianie nie chcieli się już całkiem zaciągać do legionów, których szeregi trzeba było zapełniać najemnikami sprowadzanymi z obczyzny a głównie z północy. Rzym wychował sobie w swych legionach wielu zaciętych wrogów, którzy następnie ciężkie zadawali mu kłeski. Z upadkiem zaś ducha obywatelskiego w państwie rzymskiem, do czego się sam August zamachem stanu głównie przyczynił, nastąpiła obojętność na losy jego, które spoczęły teraz w rękę przywłaszczyciela.

Drugą przyczyną była nieograniczoność władzy, jaką sobie August po obaleniu Rptej przywłaszczył, ponieważ tém przemienił swobodnych dotąd i sprawami publicznymi żywo

się zajmujących obywateli w niewolnicze стадо zmuszane przemocą do spełniania rozkazów i woli jego. Pan Walewski twierdzi wprawdzie, że ta nowa forma rządu była lepszą niż obalona przez Augusta, co popiera upewnieniem, że cesarz jest przecież człowiekiem, osobą mającą sumienie i uczucie, czego od sejmu a mniej jeszcze od liczby pospólstwa nie można się domagać. Lecz twierdzenia swego nie udowodnił przekonywającymi faktami. Jak mało zaś na sumieniu i uczuciu ludzkim dzierzących władzę nieograniczoną można polegać, uczą najwymowniej dzieje rzymskie począwszy od Augusta, tudzież dzieje wszystkich innych państw w podobny rządzonych sposób, ponieważ wskazują nam niestety, że najsroższe okrucieństwa były w nich zwykle na porządku dziennym, a samowładcy z sumieniem i uczuciem ludzkim do nader rzadkich należą wyjątków. Skoro więc August osiągnąwszy stér rządu, siebie i swych następców ustawami w wykonywaniu władzy najwyższej nie ograniczył, a tém samém dowolności niczém nieusprawiedliwionéj, państwu zaś szkodliwej z góry mądrym unormowaniem i określeniem praw monarchicznych nie zaradził, nie utworzył w rzeczy monarchyi rządnej i ustawami dobrémi obwarowanéj, ale ustanowił nieodpowiedzialną nikomu wieczystą dyktaturę, nadającą imperatorom władzę niczém nieograniczoną, którój też pierwsi zaraz następcy jego w najdzikszy a nawet w potworny nadużywali sposób. Prostém następstwem takiego stanu rzeczy była rażąca nieczulość mieszkańców na utrzymanie bytu państwa, w którém nikt nie mógł być pewnym, czy lada chwila dowolność wyuzdana imperatora lub jego ulubieńców nie wydrze mu bezprawnie mienia a nawet i życia. Tak urządzone państwo nie miało w sobie warunków trwałego istnienia.

Trzecią przyczyną było utworzenie straży pretoryańskiej, która miała utrzymywać na wodzy mieszkańców Rzymu i strzedz osoby cesarza. Po dokonanyam zamachu stanu było ustanowienie takiéj straży nieuniknioną koniecznością, ponieważ przywłaszczyciel nie mógł tym ufać, których odarł z ich dotychczasowych praw obywatelskich, a których tylko grozą siły zbrojnéj mógł utrzymać w poniewolném posłuszeństwie. Lecz

z tego musiały się wyrodzić najsmutniejsze dla państwa następstwa. Wierność bowiem pretoryanów trzeba było okupywać hojnością a oraz pobłażliwością w razie większych nawet z ich strony wybryków, co wszystko ich rozzuchwalało w coraz wyższym stopniu. Przyszło też ostatecznie do tego, że najprzód straż pretoryańska a potem za jej przykładem legiony przyznały sobie prawo osadzania na tronie i zrzucania zeń imperatorów. Cudownie wyglądał ów majestat cesarski p. Walewskiego, zależny od woli dzikich tłuszczy zbrojnych, które datkami i przebaczeniem wszelkiego rodzaju wybryków i nadużyć musiał przychylnie dla siebie usposabiać. Najdzielniejsi z cesarzów rzymskich nie potrafili temu zaradzić, ponieważ niszczone przez nich gwardye pretoryańskie odradzały się w inną nieco formie nieustannie, a spiski pałacowe i rozruchy wojskowe były ciągle na porządku dziennym, dokąd chwiejący się od samego początku istnienia w swych posadach cezaryzm nie legł wraz z państwem zachodnio-rzymskim w gruzach.

August nie zbudował zatem po obaleniu Rptój nic trwałego. Po konwulsjach republikańskich nie nastąpiła, jak utrzymuje P. Walewski, zmiana na lepsze i nie przyszło do odrodzenia, ponieważ z ustaniem tych konwulsji zaczęły się zaraz prawie spiski pałacowe i rozruchy wojskowe, którym towarzyszyły wszelkiego rodzaju gwałty i bezprawia, przejmujące dziś jeszcze dreszczem każde serce na samo wspomnienie. Dzikie tłumy różnojęzycznej zbieraniny zbrojnej rozrządzały tronem i losami państwa, a ich wodzowie mając wzór w Auguście, uścielali sobie stosami trupów drogę do tronu. Że władza w ten sposób uzyskana nie może się nazywać prawowitą, byłoby zbyt technicznym dowodzić. Twierdzenie zaś p. Walewskiego, że cezaryzm rzymski był z bożej łaski, jest nie tylko niedorzeczne ale nawet sprzeczne z pojęciem, jakie tym wyrazom zwykle nadawano. Słowa bowiem Chrystusa wyrzeczone w odpowiedzi na podstępne zapytanie faryzeusza nie były uznaniem prawowitości władzy cesarzy rzymskich i usankcjonowaniem pochodzenia jej z bożej łaski, ale pouczeniem jedynie wystosowanym do uczniów, aby nie wdając się w spory

z istniejącą władzą o rzeczy światowe, mieli przedewszystkiemi na względzie odrodzenie duchowe ludzkości, czyli innemi słowy, aby nie zapuszczając się w działania polityczne, zajęli się wyłącznie krzewieniem jego nauki wiodącej ludzi do doskonałości duchowej.

Przejdźmy teraz do poznania genezy drugiej władzy naczelnéj w Rptéj chrześcijańskiéj, to jest do genezy papieństwa. W chwili właśnie, gdy Chrystus w Betleem ujrzał światło dzienne, nastąpiło zupełne zwątpienie w świecie pod względem religijnym. Głębsi myśliciele zaczęli wnikać w znaczenie pierwotne doktryn politeistycznych, osłanianych mnogiemi tajemniczemi obrzędami, które korporacje kapłanów różnoimiennych bóższcz pozaprowadzali. Rozbiór krytyczny tych doktryn nader bałamutnych wykrył ich nicość i niezgodność z czysto rozumowém pojęciem bóstwa. Przepych obrzędów zwyczajnych i misteryów mógł olśniewać tłumy niemyślące, lecz nie przekonywał tych, którzy szukając prawdy, wymysłami mającemi oddziaływać na zmysły i takowe przerażać nie dali się obalamucić. Wiara w prawdziwość nauk politeistycznych zachwiała się téż w skutek dochodzeń i badań filozofów, a niebawem przyszło do tego, że nikt z ukształconych nie wierzył w uswięcone wiekami gusła obrzędowe i religijne politeizmu. Wiareg w ściśłem wyrazu tego znaczenia zastąpiły mniemania i przekonania filozoficzne, rozkrzewiane przez rozmaite szkoły filozofów. Politeizm zachwiany w swych posadach nie miał już warunków bytu, ponieważ znękanéj kłeskami ludzkości nie przynosił ani osłody ani pociechy w zropaczoném położeniu, a w dodatku nie wytworzył owych moralnych hamulców, któreby rozszalałe namiętności na wodzy utrzymał i od dokonywania najstraszniejszych okrucieństw powściągać zdołały. Straszne owe fatum, działające z bezwzględną koniecznością i nie oszczędzające nikogo, czy on był zbrodniarzem czy też cnotliwym, nie miało w sobie siły pokrzepiającej w niedoli, ponieważ przedstawiało raczej siłę tylko niszczącą i odbierającą dotkniönemu nadzieję nawet. Nic téż dziwnego, że wśród strasznych przewrotów, proskrypcyi i rzezi, których widownią była Rpta rzymska, powszechne zwątpienie ogarnęło umysły

i że w głoszonych naukach sekt filozoficznych szukano osłody, skoro jej niepodobna było znaleźć w religii.

W takiej to chwili wystąpił Chrystus z swoją wzniosłą nauką, opartą na miłości Boga i bliźniego, a otwierającą znękaną ludzkość nieprzebrane skarby pociechy w największych klęskach i nieszczęściach. Pierwiastku miłości powszechnej, ogarniającej ludzkość całą i kojarzącej ją z Bogiem i wszechświatem w harmonijną jedność, nie znały w takiej rozciągłości ani dawniejsze religie, ani nawet systemy filozoficzne najgłębszych myślicieli. Nauką swoją spowodował Chrystus największą i najzbawienniejszą z rewolucyi, jakie ludzkość przechodziła, lub kiedykolwiek przechodzić będzie. Przyniósł nią bowiem nie tylko nowe ale nie przeczuwane nawet przed tém zasady. Jego Bóg jest bogiem miłości, który sobą przenika z jednej strony cały ogrom wszechświata a z drugiej każdy w nim pyłek najdrobniejszy i nie daje mu marnie ginąć, ale miłością ciągle go sprzęga z innemi. Tą samą miłością ogarnia ludzkość i każdego z osobna człowieka, a w zamian wymaga od wszystkich jedynie miłości dla siebie i dla bliźniego to jest dla każdego z osobna człowieka. Bóg chrześcijański nie jest więc ani filozoficzną abstrakcją nie dającą się ująć w zmysłom dostępne pojęcie, ani zmysłową cielesnością zestopniowaną do ideału politeizmu, raz występującą z całą grozą i ponurością majestatu niedostępnego uczuciom miłości, to znów z lubością zidealizowanej zmysłowości. To szczytne pojęcie Boga promieniejącego miłością w całej doskonałości ideału, łączy się w nauce chrześcijańskiej z równie szczytnem pojęciem człowieka ozionionego duchem bożym, który dla tego właśnie uzyskał możność doskonalenia się przez wzioniony weń pierwiastek miłości i zbliżania się przez tę miłość jedynie do źródła swego istnienia to jest do Boga. Na tych zasadniczych pojęciach o Bogu i człowieku oparł Chrystus całą swoją naukę czyli etykę chrześcijańską, która prostotą a oraz doskonałością swoją największych mędrców wprawia w zdumienie, a tém samym słusznie uzyskała nazwę nauki boskiej.

Przykazanie Chrystusa, wyrażone w słowach: „Kochaj Boga przedewszystkiem a bliźniego jak siebie samego“ nazwane słusznie przykazaniem miłości, wkładało na każdego wyznawcę nauki chrześcijańskiej obowiązek doskonalenia się ciągłego przez miłość w obu wskazanych kierunkach. W pierwszym kierunku był chrześcjanin obowiązany stanąć w sprzeczności z panującymi wyznaniem politeistycznymi, ponieważ kochając Boga nie mógł go się zapierać przez kłanianie się bałwanom pogańskim, ale przeciwnie winien był z największym narażeniem się własnem dać świadectwo Bogu prawdziwemu. W drugim kierunku wchodził podwójnie w kolizyą z istniejącym porządkiem rzeczy, skoro mając w praktyce zastosowywać zasadę miłości bliźniego, nie mógł się uchylać od krzewienia swęj wiary a z nią pojęć o równości i braterstwie wszystkich ludzi, czem podkopywał nie tylko panującą w państwie religią ale oraz i całą jego budowę społeczną. Tak zapatrywali się na nowe wyznanie nie tylko owoczesni mocarze, którzy twórcę jego ukarali śmiercią na krzyżu, ale i sami chrześcjanie. I nic dziwnego. Wprowadzenie nieznanego przedchrześcijańskię erze pierwiastku miłości w najszczytniejszym wyrazu tego pojęciu zagrażało zupełnem obaleniem istniejącego w owoczesnym świecie porządku, i zbudowaniem na gruzach tegoż całkiem nowego. Wszyscy zatem, którym dobrze się działo wśród owoczesnych stosunków, wystąpili do zacieklej walki z bezbronnymi szermierzami nauki miłości, którzy idąc w ślady mistrza swego, gardzili bronią światową, a konając pod razami swych zwycięzców, zwyciężali ich nadmiarem swego poświęcenia dla zasad, których prawdziwość świadczyli krwią własną i uśmiechem miłości wśród mąk największych. Zdumiewało i to prześladowców, że chrześcjanie nigdzie nie wystąpili z bronią w ręku przeciw ich siepaczom, a co więcj, że mimo okrucieństwa, z jakim się nad nimi znęcano, liczba ich z każdym dniem wzrastała, a nauka ich przeciskała się we wszystkie zakąty ogromnego państwa i ogarniała wszystkie stany. Rozumniejsi poczytywali tych ludzi spokojnych i bez oporu lecz oraz z największym męstwem na śmierć idących za nieszkodliwych ideologów, a ich zgromadzenia, w któ-

rych się ludzie różnych warstw i stanów węzłem prawdziwie braterskiej miłości kojarzyli w jedno niejako ciało, nazywali zgromadzeniami świętych, czém takowe były rzeczywiście w pierwszych czasach chrześcijaństwa.

Takie zgromadzenia czyli gminy były z sobą w ciągłych związkach za pośrednictwem przełożonych wybieralnych, którymi byli apostołowie i ich uczniowie. Byli to przełożeni czyli ojcowie duchowni, którzy czuwali nad dobrem duchowném gmin czyli tych zgromadzeń chrześcijańskich. Wszystkie gminy razem tworzyły powszechność wyznawców chrześcijaństwa, lecz kościoła w właściwém wyrazu tego znaczenia nie było w pierwszych czasach. Otaczano w prawdzie czcią największą apostołów i uczniów najpierwszych wielkiego twórcy nauki miłości, wypełniano chętnie ich polecenia, i przyjmowano z wdzięcznością każde pouczenie lub objaśnienie zasad wiary wyznawanej, lecz formalnego prymatu jednego z nich nie było jeszcze. W miarę rozkrzewiania się wiary i wzrastania liczby zgromadzeń czyli gmin, musiało przyjść do zorganizowania władzy kościelnej, która miała czuwać nad czystością wyznawanej wiary, zdobywać coraz liczniejsze zastępy jej wyznawców i odwracać ile możności wymierzane przeciw nim ciosy prześladowców. Tak wytworzyła się stopniowo hierarchya duchowna z pasterzy zarządzających gminami lub prowincjami w sprawach wiary. Organizacya początkowa teje była nader prostą i rozwijała się powoli wśród straszego ucisku i niebezpieczeństw bez liku, na jakie chrześciance z powodu swój wiary byli wystawieni. Miłość i zaufanie łączyły gminy z pasterzami, którzy przyjmując godność duchowną, dowodzili tém największego poświęcenia w sprawie wspólnej, ponieważ piastowanie jej w owych czasach trwogi narażało ich w pierwszym rzędzie na wściekłość prześladowców, pragnących chrześcijaństwo wytepić ze szczętem.

Gdy jednakże po kilkuwiekowym szamotaniu i srozeniu się pogaństwa rozchwianego w swych posiadach chrześciance pod sztandarem krzyża, tego godła miłości i poświęcenia bez granic, najzupełniejsze odniósł zwycięztwo i sercami mnogich zawładnął milionów, okazała się wśród zmienionych pod każdym

względem stosunków potrzeba uporządkowania i wykończenia organizacyi kościoła, który ogarnąwszy już wszystkie prowincye ogromnego państwa rzymskiego, mógł się słusznie nazwać powszechnym. W obu pierwszych wiekach ery naszej utrzymywała sama groza położenia chrześcian najsrożej prześladowanych w łączności i jedności a schadzki ich najczęściej tajemne na wspólną modlitwę i w celu wzajemnego pokrzepiania się na duchu nie wymagały ani okazałości obrzędów religijnych ani ujednostajnienia tychże, ponieważ zgromadzeni pragnęli gorącą wspólną modlitwą wyprosić sobie u Boga pomoc tak im potrzebną do wytrwania w wierze wśród najsroższych nawet prześladowań. Nie zachodziła też wówczas potrzeba sformułowania artykułów wiary, skoro nikt z chrześcian nie zapuszczał się w dociekania spekulacyjne, używane w szkołach filozofów, ale każdy przestawał na ogłoszonych przez zbawiciela przykazaniach miłości, mieszczących w sobie sumę wszystkich obowiązków człowieka, jako istoty moralnej. Lecz gdy ustały prześladowania a cesarz Konstantyn W. przyznał chrześcianom wolność religijną, nie mogły dawniejsze zwyczaje i urzędy wystarczyć. Chrześcianizm był z natury swój kosmopolitycznym, ponieważ głosząc zasadę miłości bliźniego, którą ogarniał całą ludzkość i węzłem braterstwa sprzęgał rozmaite ludy w jedną niejako rodzinę, czego w żadnym innym ze znanych wyznań religijnych nie spostrzegamy, dążył tęp samym do utworzenia kościoła powszechnego, wcielającego w siebie wszystkie narody. Skoro więc nabył w państwie rzymskim prawo wspomniane, musiał przystąpić do założenia podwalin budowy kościoła ogarniającego świat cały, którego część jedynie, granicami państwa rzymskiego objętą, zdobył, resztę zaś tą samą bronią miłości miał dopiero podbić. Zadanie, jakie teraz miał spełnić, było stokroć trudniejszym, niż poprzednie rozkrzewianie się i przetrwanie najcięższych prześladowań, wśród których górowała zasada miłości i poświęcenia się bez granic i opromieniała czoła nieustraszonych męczenników dających świadectwo prawdziwej krwią własną. Zachodziła bowiem obawa, by w ciągu organizacyi kościoła powszechnego chrześciańskiego nie powcisnęły się dodatki ludzkie do pierwotnej boskiej nauki zbawiciela,

będące odzwierciedleniem prądów umysłowych i urządzeń owczesnych religijnych i społecznych, coby w koniecznym następstwie sprowadzić musiało pewne większe lub mniejsze zboczenia od zasadniczej myśli i ducha chrześcijaństwa. Najniebezpieczniejszemi były dlań spekulacyjne subtelności szkół filozoficznych i wielce na zmysły oddziaływająca okazałość obrzędów religijnych i misteryów pogańskich. Każde ustępstwo, chociażby upowodowane rozsądnym rozważaniem stosunków i względów światowych, musiałyby szkodliwie oddziaływać na pierwotną czystość nauki, wolnej od takich naleciałości.

Nie moją rzeczą wchodzić tu szczegółowo w rozbiór pytania, czy zdołano w przeprowadzonej organizacji kościoła chrześcijańskiego pod względem dogmatycznym, liturgicznym, hierarchicznym i kanonicznym ustrzedz się owych zboczeń, ponieważ późniejsze rozstérki, spory i scysye w kościele chrześcijańskim świadczą najwymowniej, że dokonana organizacya nie była wolną od tych zboczeń, wykrzywiających dodatkami ludzkiemi boską naukę zbawiciela. Wszystkie bowiem spory powstawały z powodu owych dodatków, a żaden nie dotyczył etyki chrześcijańskiej, zawierającej w sobie czystą naukę zbawiciela. Wspomnę jedynie, że jak w składzie apostolskim sformułowano główne artykuły wiary czyli dogmata, jak ustanowiono obrzędy, które kazano przestrzegać przy odbywaniu nabożeństwa w świątyniach i udzielaniu sakramentów wiernym, tak urządzono hierarchją duchowną z uszczebłowaniem poczynającem się od subdyakonów a kończącem się na papieżu, który miał być widomą głową kościoła i namiestnikiem zbawiciela na ziemi a oraz tłumaczem wszelkich wątpliwości, jakie co do znaczenia i rozumienia poszczególnych artykułów wiary mogły się nasuwać. Dokonanie tej organizacyi kościoła nie było dziełem jednej chwili, lecz wyrabiało się stopniowo w ciągu kilku wieków. Później zarzucali rozmaici reformatorowie tej organizacyi, że pod względem dogmatycznym zachwyliła wiele z subtelności szkół filozoficznych, że co do ustaw kanonicznych brała wzór z ustaw rzymskich, że w ustanowieniu wspaniałej okazałości obrzędów religijnych i w ozdabianiu świątyń naśladowała w niejednym pogan, i że w

urządzeniu hierarchii i jej uszczebłowaniu miała raczej względy światowe niż religijne na celu, i tém umożliwiła wszystkie następne nadużycia władzy duchownej, dążącej do materialnego dobrobytu i panowania nad światem, że zatem z gruntu wykrzywiła myśl i ducha chrześcijaństwa.

Ustanowienie hierarchii kościelnej i wszystkich jej szczebli od subdyakona aż do papieża powstało w czasach późniejszych, a władza papieża zaczęła się powoli więcej rozwijać dopiero po upadku cesarstwa zachodnio-rzymskiego i wśród zamętu spowodowanego wędrowną narodów. Władza ta była pierwotnie czysto-duchownej natury, gdyż odnosiła się jedynie do spraw religijnych, a na światowe nie wywierała wpływu znacznego, dokąd panowali wszechwładni imperatorowie. Gdy zaś zachodnio-rzymskie cesarstwo legło pod ciosami ludów barbarzyńskich w gruzach, a na jego rozwalinach powstały liczne państwa nowe, z których żadne nie miało przewagi nad resztą, wszystkie zaś były z sobą w sporach i zatargach, uzyskali papieże przez nawracanie na wiarę chrześcijańską tworców państw tych nowych powagę rozjemczą w ich sporach, która następnie przybrała nawet pewien charakter zwierzchnictwa duchownego, wzierającego i w sprawy rządowe panujących. Nasze dzieje w czasie podziału państwa po śmierci Bolesława Krzywoustego wskazują najlepiej, w jaki sposób władza duchowna wpływając rozjemczo na powaśnionych dynastów zyskiwała przewagę a nawet zwierzchnictwo i w sprawach świeckich. Co się u nas działo w w. XII. i XIII. na mniejsze rozmiary, to samo odbywało się w większym nierównie zakresie w w. V. i następnych na całym zachodzie i południu europejskim. Znaczenie papieża wzrosło bardziej jeszcze, gdy Karol W. potężny król Franków, władający już w znacznej części zachodniej i środkowej Europy z rąk papieża Leona otrzymał w r. 800 koronę cesarską a w zamian uroczyście się zobowiązał do obrony powagi jego. Ustanowienie zachodnio-europejskiego czyli rzymskiego cesarstwa jako zwierzchniczej władzy świeckiej w myśl tradycji pozostałej po dawnych cesarzach rzymskich było niewątpliwie zdarzeniem ważnym i wielkim, ponieważ zamykało okres przewrotów spowodo-

wanych wędrowką narodów i otwierało ludzkości europejskiej nowe tory rozwoju. Pod opieką césarza i jego następców miało się odbywać dalsze nawracanie ludów europejskich w pogaństwie jeszcze pogrążonych, czém naturalnie miał głównie kierować papież. Że zaś krzewienie chrześcijaństwa łączyło się najczęściej z podbijaniem krajów przez pogan zamieszkałych, miał tém samém papież prawo wglądania, czy postępowanie władz świeckich przy zaborze tych krajów nie przeszkadza rozpowszechnianiu wiary chrześcijańskiej. Tym sposobem wzmożła się powaga papieżów, którzy téż zaczęli się powoli przez kler podwładny mięszać w rządy świeckie średniowiecznych królów i książąt, a nawet samych cesarzy.

Tak w czasie zamięszania powstałego z upadkiem cesarstwa zachodnio-rzymskiego, jak nie mniej w wiekach następnych był wpływ papieży i całej hierarchyi duchownej nader zbawiennym, ponieważ poskramiał i ułagadzał dzikie namiętności barbarzyńców, którzy w prowincjach niegdyś rzymskich wytwarzali w zupełnie odmienny sposób urządzone państwa. Samo przyjęcie wiary chrześcijańskiej torowało drogę zbawienemu wpływowi kleru, który mając w ręku swém sumienie nawróconych, mógł ich środkami kościelnými zniewalać do wykonywania w części przynajmniej przepisów wiary, opartej na tak wzniosłej zasadzie, jaką jest miłość. Gdy jednakże chrześcijaństwo już się upowszechniło w głównych krajach europejskich i nowy porządek rzeczy się ustalił, przyszło wszędzie do zatargów między władzą świecką i duchowną. Papieże chcieli nie tylko duchowny rząd naczelny w kościele sprawować, ale zapragnęli w dodatku zwierzchnictwa nad światem, któreby im nadawało prawo pociągania władców świeckich a nawet cesarzy do odpowiedzialności za ich czyny rządowe. Począwszy od Grzegorza VII. sprawowali rzeczywiście papieże aż do końca wieku XIII. zwierzchniczą władzę na całym zachodzie europejskim, z pod której najprzód monarchowie francuscy a potem i inni potrafili się wyzwolić, do czego najwięcej im pomogło nadużywanie teje ze strony papieżów.

Przejdźmy teraz do genezy trzeciej z powag naczelnych, to jest królów i książąt, których powstanie p. Walewski także do pierwszych początków chrześcijaństwa odnosi. Zapomniał atoli, że jak daleko sięga wiedza nasza dziejowa, spotykamy mnóstwo rozmaicie nazywanych władców, którzy sprawowali dziedzicznie rządy monarchiczne. Nie był to zatem utwor ery chrześcijańskiej, skoro na tysiąc przeszło lat przed nią był w używaniu. Wszakże i Rzym miał najprzód królów, zanim stał się Rptą, aby po kilku wiekach przejść znów pod rządy imperatorów. W Sparcie rządili dziedziczni królowie, a na całym wschodzie nie znano prawie innych nad monarchiczne rządy. I koczujące ludy miały swoich wodzów, którzy nadaną sobie pierwiastkową władzę umieli w dziedziczną zamienić, a w oczach gminu uświęcić ją mamidłem powinowactwa rodu swego z bogami. Nic więc dziwnego, że gdy nacisk licznych hord z Azji spowodował ruch powszechny między ludami bądź jeszcze koczującymi bądź już stale osiadłymi wzdłuż granicy północnej państwa rzymskiego, wszystkie ludy wypchnięte z swych siedzib szły pod wodzami swymi szukać nowych siedlisk, przez inne ludy już zajętych. Oprócz ogólnej przyczyny tego ruchu było wiele miejscowych. Po kilkunastu walkach z rzymskimi legionami zalały liczne hordy spychane przez inne w czasie najścia Hunów prowincje rzymskie, gdzie się jakby w ogromnych obozach rozsadowiły. Naczelny wódz wyprawy nazwał się królem lub księciem, a kraj zajęty uważał jako łup orężem zdobyty. Część tegoż zatrzymał dla siebie, a resztę rozdał między podwładnych wodzów pod warunkiem, że na każde zawołanie staną zbrojno z swými hufcami pod jego sztandarem. Tak samo postępowali sobie uposażeni ci wodzowie z swými udziałami, ponieważ rozdawali część znaczną tychże między starszyznę swych hufców, a ta znów wydzielala część posiadłości sobie nadanych swym wojownikom. Dawni mieszkańcy kraju szli w poddaność równającą się niewoli, jeżeli im się nie udało, jak szczególniejszym miastom wytargować sobie od zwycięzców dogodniejsze warunki za znaczną opłatę. Kraj w ten sposób zajęty wyglądał rzeczywiście gdyby ogromny obóz, na czele którego stał król,

pod nim wielcy lennicy czyli wodzowie rozrządzający mniejszymi lennikami, a ci znów rycerstwem także lennem. Tym sposobem utworzył się system feudalny, który polegał na zależności bezpośredniej i pośredniej wszystkich od króla. Był to w rzeczy system wojskowy, którym na razie można było utrzymać kraj zajęty w uległości, ponieważ cała rzesza zbrojna, która go zajęła, była ciągle pod bronią gotowa stanąć do walki na wezwanie króla lub wodzów. Król feudalny miał też z początku wszystkie atrybuty naczelnego wodza, rozkazującego z władzą nieograniczoną, dokąd stan wojenny się utrzymał. Prócz tego należało doń sądownictwo, które albo sam wykonywał, albo w swém imieniu kazał wykonywać. Taki jest początek wszystkich nowożytnych państw. Podbój zrodził takowe. O uleganiu jakiegokolwiek zwierzchniej władzy czy to cesarskiej czy papieżkiej nie było z początku mowy. ponieważ każdy zdobywca był sam panem naczelnym i nie uznawał niczyjego zwierzchnictwa, wyjąwszy gdy go zmuszono do tego orężem. Każde z państw powstałych na gruzach rzymskiego było dziełem podboju i siły orężnej, a twórcom ich nie przeszło przez myśl nawet, że dzierżą je z bożej łaski. Lecz P. Walewski, który nie lubi wiązać się chronologią, przenosi teorią legitymizmu i panowania z bożej łaski w pierwsze wieki ery naszej, chociaż takowa o kilka wieków później zaczęła się pojawiać.

Król feudalny miał z początku władzę nieograniczoną, lecz niebawem zaszła pod tym względem wielka zmiana, której przyczyna tkwiła w samym systemie feudalnym. Król był wprawdzie panem zwierzchnim całego obszaru objętego granicami państwa, lecz dierzył sam część tylko tegoż, a osiadła w niej drużyna rycerska zależała bezpośrednio od niego, i stawała przy nim z bronią na każde wezwanie. Resztę posiadali wielcy lennicy, których wazalowie więksi i mniejsi zależeli od króla pośrednio tylko, i dla tego nie na jego lecz na swych lennodawców wezwanie winni byli występować zbrojno. Król przeto mógł nimi wtedy jedynie rozrządzać, gdy ich lennik dierzący bezpośrednio od niego posiadłość lenną przywiódł z sobą. W przysiędze wazalów składanej

wielkim lennikom koronnym był wprowadzie umieszczony tu i owdzie warunek, że składający takową nie jest obowiązany słuchać swego lennodawcę, gdyby tenże chciał go użyć przeciw królowi, lecz to zastrzeżenie nie ochroniło królów feudalnych od oporu i nieposłuszeństwa wielkich lenników, zwłaszcza od czasu, gdy lenna wielkie zaczęły być dziedzicznymi. Odtąd bowiem wyłamywali się wielcy lennicy z obowiązku posłuszeństwa, a jeżeli ich król chciał do tego zmuszać, opierali się mu zbrojno na czele swych wazalów. Zwodzili też walki między sobą, uciskali słabszych i dopuszczali się największych bezprawiów, czego wszystkiego król zupełnie zbezwładniony nie zdołał powściągać. Przyszło do tego, że władza duchowna musiała rozjemczo występować, i ustanawiać pewne peryody w roku, w których nikomu nie wolno było naruszać publicznej spokojności. Królowie walczyli długo z rozzuchwalonymi lennikami swymi, zanim ich nagięli do posłuszeństwa, co tam się jedynie powiodło, gdzie zniszczyć potrafili w części przynajmniej feudalizm z pomocą miast. Z wielkich lennictw powytwarzały się z czasem udzielne księstwa, a ze szczeblowania feudalnego wynikała owa tak wielce przez Walewskiego wychwalana drabinka hierarchii świeckiej.

Przypatrzwszy się bez uprzedzenia genezie naczelných władz i całej hierarchii świeckiej i duchownej w erze chrześcijańskiej, jak nam takową dzieje wystawiają, nie możemy w nich upatrywać w przybliżeniu nawet owego ideału społeczeńskiego bytu, do którego ludzkość parta wewnętrzną potrzebą ciągłego doskonalenia się zdąża nieustannie. Widzimy bowiem, że owe naczelne władze świeckie powstały wraz z hierarchią społeczną w drodze gwałtu i przywłaszczytelstwa i wśród niczém nieusprawiedliwionych okrucieństw, które dziś jeszcze dreszczem przejmują każdego, i że miasto przyczynić się do raźniejszego we wszystkich kierunkach rozwoju ludzkości, cofnęły ją wstecz o całe wieki, i sprowadziły zamęt, z którego po strasznych dopięro konwulsjach zdołała się zaledwie w części wydobyć, i to pod wpływem przyświecającej jój w jego ciemnościach idei chrześcijańskiej. To samo niemal możemy twierdzić o genezie naczelných władzy

i hierarchii duchownej, a chociaż takowe nie zawdzięczały swego istnienia dokonanemu gwałtowi, powstały przecież w sposób nieprawidłowy, ponieważ w skutek jedynie zбочeń od głównych zasad i ducha chrześcijaństwa przez powciskanie czysto-ludzkich dodatków do boskiej nauki zbawiciela, które następnie stały się źródłem tysiącznych nadużyć, przeistaczających w czczą formę obrzędową zasadniczy jej i najwznioślejszy pierwiastek miłości. Pominąwszy już okoliczność, że owe naczelne władze świeckie i duchowne nie powstały równocześnie z początkiem ery chrześcijańskiej, lecz w różnych wiekach, że zatem nie mogły od początku tej ery wzajem się wspierać w wychowywaniu ludzkości, a nawet przeciwnie władze świeckie w pierwszych wiekach tej ery z największą usilnością dążyły do wytępienia chrześcijaństwa, otóż pominąwszy i tę ważną okoliczność, a co więcej przyjmując jako punkt wyjścia czasy Karola W., w których historyzoficzna zasada Pana Walewskiego, upatrująca w łącznym działaniu trzech naczelnych powag Rpltej chrześcijańskiej najwyższy szczyt doskonałości, doszła do rozkwitu: nie możemy przecież i w tém przypuszczeniu zgodzić się na jego twierdzenie i wyprowadzane zeń wnioski, ponieważ cały następny przebieg wypadków dziejowych jest z niemi w sprzeczności i świadczy najwyraźniej, że ów pomysł jego historyzoficzny ani w warunkach rozwoju ludzkości, dążącej nieustannie na drodze postępu do coraz większej doskonałości i to nawet mimo zapor jej przez owe władze naczelne stawianych, ani w rzeczywistości dziejowej nie znającej ich stałego i zawsze zgodnego współdziałania w celach powszechnego dobra ludzkości, nie ma uzasadnienia, że zatem jest fikcyjną utopią na rzecz despotyzmu świeckiego i duchownego, a nie prawdą filozoficzną z dziejów wysnutą i szeregiem licznych faktów stwierdzoną.

Panu Walewskiemu potrzeba było wszystkich tych powag naczelnych i hierarchicznych, które z resztą na widowni dziejowej czynami dokonanej działalności swą na przemiany użyteczną i szkodliwą ludzkości okazały, aby z nich nie tylko zbudować swą tak doskonale niby uczłonkowaną i wedle myśli bożej urządzoną Rpltę chrześcijańską, ale oraz wysnuć jako

konsekwencye loiczne zasady prawa historycznego, dynastycznego, prawowitości i lojalności, bez których społeczeństwa ludzkie nie mogą zdaniem jego rozwijać się i istnieć. Gdy jednakże owa utopia religijno-polityczno-społecznego urzędzenia Rpltėj chrześcijańskiej nigdy chwilowo nawet w dziejach nie stała się rzeczywistością, nie przypisuje tego nasz autor zwykłej grze namiętności i usposobień ludzkich w obu powagach naczelnych, z których każda pragnęła sama według własnych pomysłów uszczęśliwiać ludzkość i dla tego rada była uchylać drugą od współdziału albo przyznać jej stanowisko podrzędne w rządzie naczelnym, ale upewnia z namaszczaniem, że owe powagi byłyby się najświetniej wywiązały z swego zadania mającego uszczęśliwienie narodów i ludzkości na celu, gdyby nie przedstawiciele materyalizmu, to jest mędrkujący liberaliści, demokraci, postępowcy, komuniści i inni wszelkiego rodzaju anarchiści i rewolucyoniści, którzy występując z protestacyami schlebiającemi liczbie, wzniecali rewolucye i wiedli do upadku państwa i narody, a podkopując znaczenie owych powag naczelnych, stawali się powodem przerw nader szkodliwych a nawet zgubnych w wychowywaniu narodów i całej ludzkości, poruczoném przez opatrność owym władzom naczelnym i posiłkującej je hierarchii duchownej i świeckiej.

Zanim przystąpię do wyświecenia mylnych twierdzeń autora dotyczących anarchyi, muszę wprzód zastanowić się nad znaczeniem owych zasadniczych pojęć jego o prawie historyczném i dynastyczném, tudzież o prawowitości i lojalności, zwłaszcza gdy na nich oparł wszystkie swe filozoficzne poglądy na dzieje polskie. Czém jest prawo historyczne i co stanowi podstawę jego, nie wskazał autor nigdzie. Prawem w ścisłym wyrazu tego znaczeniu nazywamy to wszystko, co się jednostce, korporacyi, gminie, stanowi lub społeczeństwu należy, co zatem nie może i nie powinno im być odmawianém. Podstawą każdego prawa tak jednostki jak zbiorowości jest albo samo przyrodzenie, które ją takowém uposażyło, albo nadanie, albo nabycie. Pierwsze jest zawsze niewątpliwém, drugie wtedy tylko, gdy nadający miał sam niewątpliwe do

tego prawo, a trzecie zależy od sposobu, w jaki prawo było nabytém. Prawa historyczne wszelkiej kategorii wynikają z nadania wyłącznie i z nabycia. Co do praw nadanych zachodzi może różnica, czy takowe są tylko ubezpieczeniem czegoś komu, co mu się słusznie należało i dla tego w podobnych warunkach każdemu innemu bez wyjątku przysługiwać mogło, czy przyznaniem komu czegoś wyjątkowego, i niezwykłego bądź ze szkodą drugich bądź bez niej nawet. Nadanie prawa wyjątkowego nazywamy przywilejem, czém zwykle jest każde prawo historyczne. Co do praw nabytych zachodzi różnica między słuszném i niesłuszném nabyciem pierwiastkowym. Zajęcie rzeczy niczyjéj jest nabyciem słuszném, zajęcie zaś przemocą, gwałtem lub podstępem rzeczy cudzéj jest niesłuszném, a równie niesłuszném jest każde ścieśnienie przemocą lub podstępem praw przyrodzonych osób innych na swą korzyść. Używanie chociażby najdłuższe prawa niesłuszenie nabytego nie może go nigdy przeistoczyć w prawo słusznie nabyte, szczególniej jeżeli to używanie odbywa się z ciągłą krzywdą drugich.

Zastosujmy teraz powyższą teorią prawa do praw historycznych. Każde z tych praw było przywilejem, a wynikało albo z nadania albo z nabycia. Zwykle nadawał takie przywileje czyli prawa wyjątkowe panujący rozmaitym osobom bądź na czas ich życia bądź też dziedzicznie, a nadania te były albo osobowéj, albo rzeczowéj natury. Dożywotnictwa nie stanowią podstawy prawa historycznego, i dla tego pomijamy je zupełnie. Prawo wyjątkowe osobowe nadane komuś upoważniało go do tego, co innym było wzbronioném. Takim prawem jest szlachectwo i wszelkie inne tytuły dziedziczne jak baronów, hrabiów, książąt itd. Jeżeli takie prawo upoważniało tych, którym je nadano, do piastowania wszelkich urzędów i godności, które innym nie posiadającym go były niedostępne, jak się to zwykle działo, w ówczas było nadanie podobnego przywileju dziedzicznego połączone z krzywdą drugich. Nadanie przywileju rzeczowego upoważniało dziedzicznych posiadaczy rzeczy do używania tejże w sposób innym nie dozwolony. Takie nadania odnosiły się zwykle do posia-

dania dóbr dziedzicznych i upoważniały dziedziców nie tylko do zupełnie swobodnego użytkowania z obszaru nadanego lub posiadanego, ale również do mniej lub więcej samowładnego rządzenia ludnością na nim osiadłą a im poddaną i do ziemi przykutą, którą téż jak własnością swoją mogli rozrządzać.

Prawa historyczne pochodzące z nabycia opierają się bezwyjątkowo na przywłaszczeniu dokonaniem przemocą fizyczną. Pierwszy bowiem nabywca zabrał siłą rzecz będącą już cudzą własnością i przyswoił ją sobie na zasadzie prawa mocniejszego. Tą rzeczą była zwykle ziemia, którą zagarnawszy, nazwał swoją, a osiadłych na niej mieszkańców podgarnął jako niewolną trzodę pod swe władanie, zmusił ich do rozmaitych posług, robocizn i opłat i nazwał się ich i wydzielonych im kawałków ziemi dziedzicznym panem zwierzchnim.

Zastanawiając się nad istotą praw historycznych bez względu, czy one wynikły z nadania czy wypływają z nabycia, nie możemy żadną miarą zgodzić się z twierdzeniem Pana Walewskiego, że z ich uszanowaniem i utrzymaniem kojarzy się dobro a nawet istnienie państw i narodów. Co do praw historycznych wynikłych z nadania, które na pozór wydają się uzasadnionemi jako nadane od upoważnionego do tego monarchy, musimy przytoczyć, że ściśle rzeczy biorąc, monarcha takimi nadaniami wyjątkowemi przekroczył swą kompetencją a tém samém dopuścił się nadużycia, skoro miasto z równą pieczołowitością troszczyć się o dobro wszystkich mieszkańców sobie podległych, pokrzywdzał takim nadaniem jednych na wyłączną korzyść drugich. Co do praw historycznych wypływających z nabycia wskazałem już powyżej, że takowe opierały się na gwałcie dokonanym. Jeżeli zatem źródłem tych praw było nadużycie bądź praw monarszych bądź przemocy fizycznej czyli praw mocniejszego, nie mogło i użytkowanie ich chociażby wielowiekowe nadać im znaczenia praw na słuszności i sprawiedliwości opartych, ponieważ samo użytkowanie z praw w wskazany powyżej sposób nadanych lub nabytych było także nadużyciem a więc dalszém pogwałcaniem praw innym przysługujących. Wszędzie téż, gdzie z postępek czasu wzmożła się oświata, a tém samém pokrzywdzone

owemi prawami historycznemi warstwy mieszkańców doszły do świadomości praw swych przyrodzonych, pouchyiano tamte jako niezgodne z dobrem i przyrodzonemi prawami wszystkich bez wyjątku mieszkańców. Pan Walewski upatruje w tém uchyleniu praw historycznych jedną z przyczyn upadku Francyi, a co więcéj przypisuje ostatnie jéj klęski właśnie téj przyczynie upewniając, że w braku stanów uprzywilejowanych, to jest używających praw historycznych, musiała uledz w walce z junkrami pruskimi, tymi czystéj krwi przedstawicielami praw rzeczonych! Uczony historyk zapomniał widocznie, że ta sama z gruntu zdemokratyzowana Francya rozbijała podczas wielkiéj rewolucyi przez lat 25 w puch liczne armie skoalizowanej przeciw niéj Europy, w których żywiól junkierski dzierzył wszystkie niemal stopnie oficerskie, że zatém ostatnie niepowodzenia jej i klęski z innéj muszą wynikać przyczyny.

Przejdźmy teraz do praw dynastycznych, które także są historycznemi, a jako takie wynikają z nadania lub nabycia, gdyż o prawie dynastyczném przyrodzoném nie może być nawet mowy. Prawo dynastyczne upoważnia ród posiadający takowe do wyłącznego dziedzicznego piastowania władzy najwyższéj monarszéj w państwie z więkším lub muiéjszém ograniczeniem w jéj wykonywaniu albo w całej pełni niczém nieograniczonéj, co zależy od ustawy rządowéj czyli konstytucyi państwa. Chcąc zrozumieć naturę prawa dynastycznego, należy wprzód poznać genezę władzy rządowéj w ogóle a monarchicznéj w szczególności. Każda społeczność ludzka utrzymuje się porządkiem i ładem, które znów polegają na sprawiedliwym rozkładzie praw i obowiązków wszystkich jéj członków i na sumienném przestrzeganiu, aby jeden drugiemu w używaniu praw nie przeszkadzał i w takowe nie wkraczał dowolnie, aby wszyscy bez wyjątku dopełniali swych obowiązków względem społeczności, i aby każdy w razie wdzierania się w cudze prawa lub niedopełnienia ciążących na nim obowiązków był do odpowiedzialności pociągany. Te niezbédne warunki utrzymania związków społecznych między ludźmi wywołały we wszystkich społeczeństwach potrzebę utworzenia rządu i oddania mu władzy ustawodawczéj, administracyjno-wykonawczéj i sądowniczéj. Trzy te

atrybucye każdego rządu odpowiadają wskazanym warunkom istnienia związku społecznego. Piérwsza upoważnia go do wydawania ustaw określających prawa i obowiązki członków społeczności, druga porucza mu czuwanie nad ich ścisłym wykonywaniem a trzecia oddaje mu wymiar sprawiedliwości w zachodzących między członkami społeczeństwa sporach i pociąganie do odpowiedzialności wykraczających przeciw ustawom.

Rząd taki może albo społeczność sama w swój zbiorowości sprawować bezpośrednio a wtedy nazywamy go gminowładnym czyli demokratycznym, albo powierzyć go wybranym najzdolniejszym i najlepszym osobom, co stanowi istotę rządu wielowładnego czyli arystokratycznego, albo oddać go warunkowo lub bezwarunkowo jednemu i tym sposobem utworzyć rząd jedynowładny czyli monarchiczny. W rządzie gminowładnym są zwykle owe trzy główne atrybucye czyli władze rządowe rozdzielone i osobno piastowane, w jedynowładnym skupiają się najczęściej w osobie monarchy. Rząd gminowładny może się łatwo wyrodzić w motłochowładny czyli ochłokratyczny, rząd zaś arystokratyczny przedzierzga się z czasem w możnowładczy czyli oligarchiczny. Nie wdając się w wyczerpujące określenie natury wszystkich rodzajów rządu przejdę w prost do wskazania genezy i natury rządu monarchicznego, ponieważ dokładne ich poznanie nastręczy nam możliwość ocenienia wartości i doniosłości praw dynastycznych.

Jest rzeczą niewątpliwą, że na utworzenie téj lub owéj formy rządu w normalnych stosunkach wywierał klimat wpływ ogromny. Widzimy bowiem, że wszędzie, gdzie bogata przyroda dostarcza człowiekowi mnogich środków wyżywienia a przytém przez wczesne dojrzewanie indywiduów obojga płci sprzyja nagłemu rozplądaniu się rodzin w znaczną liczbę członków, powytwarzały się rządy monarchiczne w bardzo wczesnej dobie dziejowej, w stronach zaś mniej od natury uposażonych i nie sprzyjających prędkiemu rozplądaniu się rodzin, powstawały przeważnie rządy gminowładne. Przyczynę naturalną tego zjawiska łatwo oznaczyć. W piérwszym wypadku pozostaje szybko się mnożąca rodzina w kupie, ponieważ łatwość wyżywienia nie zniewala jej do rozejścia się i szukania środków

utrzymania. Będąc zaś razem podlega ojcu wspólnemu a po jego zejściu najstarszemu w rodzie jako naturalnemu kierownikowi. Tym sposobem wytworzyły się rządy patryarchalne. Dobrowolne lub przymusowe połączenie się rodów takich, nawykłych do rządu patryarchów, w większą społeczność stwarzało monarchyą, która na razie miała cechy patryarchalnej, następnie zaś w skutek wojen, podbojów i przywłaszczytelstwa przeistaczała się w samowładną i absolutną pod berłem dziedzicznych monarchów. Patryarchalność utrzymywała się zwykle w ciągu koczowniczego życia, a z chwilą zajęcia stałych siedzib stawała się monarchyą. Inaczej tworzyły się i rozwijały związki społeczne w krajach mniej od natury uposażonych. Brak dostatecznych środków wyżywienia zniewalał rozmnażające się rody do rozdziału celem szukania sobie środków do życia. Rozchodzący się nieustannie odwykali w drugim lub trzecim pokoleniu od siebie, a o uznawaniu kierownictwa ojca wspólnego rozpierzchłych i w znaczném od siebie oddaleniu przebywających członków rodziny nie mogło być mowy. Każdy jój odłam żył po swojemu i dla siebie a nie ulegał władzy zwierzchniczej wspólnego naczelnika rodu. Gdy zaś potrzeba czy to wspólnej obrony czy też wspólnego przedsięwzięcia zniewalała rozpierzonych do łączenia się z sobą, następowało to na podstawie równości i niezależności osobistej jednych od drugich. Z takiego połączenia powstawały gminy najprzód, w których rząd sprawowali wszyscy razem, a następnie grupy gmin sprzymierzonych z sobą, które będąc niezależne wzajem od siebie załatwiała sprawy wspólne na zebraniach czyli radach, złożonych ze starszyny wszystkich gmin do związku należących. W razie niebezpieczeństwa, które należało wspólnie odpięrać siłami, wybierano wodzów na czas trwogi i uposażano ich doczesną władzą, która ustawać miała z ustaniem niebezpieczeństwa. U ludów spokojnego usposobienia, zamiłowanych w zajęciach gospodarstwa rolnego, utrzymywał się ten stan społeczny bardzo długo i stał się u nich niejako normalnym. Ludy te charakteryzuje wstręt do wypraw wojennych zaczepnych i podbójczych a nawet w ogóle wstręt do bojownictwa czyli żołnierki. Takiem uspo-

sobieniem odznaczały się ludy sławiańskie o czém świadczą zgodne podania odnoszące się do ich dziejów pierwotnych.

Inaczej nieco kształtowały się stosunki społeczne u ludów porywczych, niespokojnego charakteru i usposobienia awanturniczego, któremu dogadzały więcéj niebezpieczeństwa wypraw wojennych niż zajęcia rolne, zniewalające do pracy, gdy wyprawy nastęczały możność wydarcia innym owoców ich pracy. U nich to wyrobiło się owo junactwo, które nie mając zajęcia w domu, wyrażało się pod wodzami swymi na zewnątrz i łupieżyło bliższych i dalszych sąsiadów spokojnych. Powodzenie wypraw łupieżczych było z jednej strony zachętą dla pozostałych w domu do uczestniczenia w nowych wyprawach, a z drugiej podnosiło znaczenie i sławę wodzów szczęśliwych, pod których téż rozkazy wszyscy szli najchętniej, wiedzeni nadzieją szczęścia wojennego. Gdy zaś tym sposobem u tych ludów wyrabiało się coraz silniej usposobienie wojownicze, a każdy wódz szczęśliwy mógł z łatwością zgromadzić około siebie drużynę wiernych i całkiem mu oddanych towarzyszy, musiało naturalnym biegiem rzeczy ludzkich przyjsć do tego, że tacy wodzowie podgarnęli pod swe władanie, co się tylko dało, i że najrzęczniejszy z nich pozniwalał innych powoli do ulegania jego zwierzchnictwu, a odzirywszy władzę, starał się ją przelać na swych potomków. Była to władza wojskowej natury, a zatém dość obszerna, lecz ze względu na charakter ludu i jego zwyczaje ograniczona przez pewien współdział w niej starszyny i ogółu wolnych ludzi. Tak powstała u ludów giermańskich w czasach już przedchrześcijańskich władza królów i książąt dziedzicznych. U niektórych plemion giermańskich jak n. p. u Gotów wyrobiła się tradycya o pochodzeniu ich królów od bogów, co im tém większego dodawało uroku. Z powodu zaś wojowniczego ducha tych ludów, który ich wiódł do podbojów, wyrobiła się u nich bardzo wczesnie nierówność obywatelska i społeczna, dzieląca ogół na wolnych i niewolnych. Pierwotna plemienna ludność podzielona na kilka stanów była wolną, a ludność zawojowana i podbita dźwigała jarzmo niewoli cięższe lub lżejsze stosownie do dzikszego lub łagodniejszego usposobienia podbójców.

Ludom sławiańskim była wojna na równi z jedynowładztwem wstrętą. Najazdy jednakże obcych, którzy nie tylko ich siedziby niszczyli, ale w dodatku wkładali na ich karki jarzmo niewoli, zmusiły ich do obeznania się w celach obrony własnej z rzemiosłem wojennym, i do zobowiązania wszystkich członków gminy, aby w razie napadu nieprzyjacielskiego stawali bezzwłocznie pod bronią i odpierali takowy. To spowodowało pewne zmiany w pierwotnej organizacyi gmin z sobą złączonych, ponieważ należało oznaczyć z góry wodzów, przy których obrońcy mieli się skupiać w czasie trwogi, a którym musiała przysługiwać władza rozkazywania, jeżeli walka obronna z najazdem miała być skuteczną. Wybierani i doczesną władzę uposażani wodzowie, zwani zwykle wojewodami, nie sprawowali rządów w właściwym wyrazu tego znaczeniu, ponieważ mieli jedynie prowadzić zbrojną siłę gminy lub gmin przeciw wrogom w razie napaści lub wyprawy odwetowej. Lecz z czasem, gdy potrzeba występowania zbrojnego stawała się częstszą, a wodzowie bądź w obronie zagrożonych przez nieprzyjaciela siedzib ojczystych bądź też w wyprawach odwetowych okryli się sławą rycerską i zaskarbili sobie tém wdzięczność rodaków, zaczęli w różnych stronach sławiańszczyzny pojawiać się ambitni ludzie, którzy przywłaszczywszy sobie na czas tylko powierzoną władzę, narzucili swe rządy gminie lub gminom zrzeszonym, a w dodatku i inne sąsiednie gminy podbijali pod swe panowanie. W jednym miejscu odbyło się to prostym zamachem stanu, w innym zaś zręcznym podstępem bez użycia siły, gdy indziej sami mieszkańcy formalnym wyborem władzę rządową oddawali dzielnemu obrońcy swemu. W podaniach urywkowych i niejasnych pozostały ślady wszystkich tych sposobów wytwarzania się rządu jedynowładczego między Sławianami. Z zasadą jednakże dynastyczną trudniej się było Sławianom oswoić, a gdzie tylko pierwiastek sławiański w czystości się utrzymał, wszędzie spstrzegamy po zaprowadzeniu nawet jedynowładztwa przeczenie prawa dziedziczności władzy to jest prawa dynastycznego, ponieważ wszędzie tam przeważa zasada obieralności monarchów.

Z tego zestawienia widzimy, że wszędzie niemal wojna bądź zaczepna bądź odporna była główną przyczyną powstania rządów monarchicznych, że u ludów spokojnych, nie dybiących na cudze, był wstręt nieprzełomny do takich rządów, i że przeciwnie u ludów pochopnych do rozbójniczego napastowania, pokrzywdzania, łupieżenia i podbijania drugich objawiała się wcześniej skłonność do monarchizmu. U pierwszych i drugich dobił się najczęściej szczęśliwy wódz najwyższej władzy rządowej siłą lub podstępem, a dzierząc ją w ręku, przelewał na swych potomków, co z następstwem czasu stało się u ludów wojowniczych zwyczajem uświęconym i źródłem prawa dynastycznego, przysługującego rodom panującym. Hierarchya świecka, opierająca swe uroszczenia i przywileje na prawie historycznym, musiała z interesu własnego stanowego występować w obronie prawa dynastycznego, ponieważ na niém opierało się i jej prawo uprzywilejowanej wyłączności, a z jego obaleniem musiałoby runąć. Gdy później hierarchya duchowna weszła z powodu swych posiadłości ziemskich i przywilejów w skład feudalnej hierachyi świeckiej, było i jej również interesem występywanie w obronie praw dynastycznych i historycznych, którym w dodatku starała się nadać znaczenie praw z wolą bożą zgodnych i dla tego nietykalnych. Lecz wszystko to razem a nawet wielowiekowa tradycja i używanie nie potrafiły zmienić istotę rzeczy i przekształcić uroszczenia na czynie dokonany oparte w prawo niewątpliwe, czém zasadniczo nigdy nie były i być nawet nie mogły, ponieważ są w sprzeczności z prawem przyrodzonym. Nadużycia zresztą, jakich się pod osłoną tych praw mniemanych używający tychże dopuszczali, nie świadczyły również o ich zbawienności dla społeczeństwa, przez co i to nawet uzasadnienie potrzeby ich podtrzymania musiało odpaść.

Z uświęceniem praw dynastycznych powstało i pojęcie prawowitości czyli legitymizmu, które na tém się zasadza, że tylko potomek niewątpliwy rodu panującego w jakim kraju ma wyłączne prawo do sprawowania w nim rządów wedle norm, jakie mu się podoba tym rządóm nadać, że zatem narody nie mają praw domagania się ani uwarunkowania

władzy rządowej, ani ograniczenia jej w tém nawet, gdzie się stała krzyczącém i powszechności szkodliwém nadużyciem, lecz winne z pokorą czekać, aż panującemu z bożej łaski prawowitemu monarsze się podoba popuścić im trochę cugli, lub im przyznać w większym lub mniejszym zakresie prawo kontrolowania czynności rządowych i wpływania na takowe. Tak pojmuje prawowitość dynastyczną p. Walewski w swój historyozofii, a inaczej myślących potępia bez osłon jako zbrodniarzy. Dziś atoli trudno o zwolenników legitymizmu w znaczeniu powyższém, a nawet francuzcy legitymiści, najwytrwalsi ze wszystkich, będą musieli niebawem zejść zupełnie ze sceny, ponieważ ich średniowieczne wyobrażenia o nietykalności i świętości praw dynastycznych okazały się niezgodnemi z duchem czasu i ogólnym postępem ludzkości, a zatem istną są donkiszoteryą.

Z pojęciem prawowitości wyrobiło się równocześnie pojęcie lojalności w wiekach średnich. Lojalność jest wyrazem francuzkim i pochodzi od wyrazu la loi, ustawa. Biorąc zatem wyraz ten w ścisłym znaczeniu, należałoby pod nim rozumieć poczuwanie się do obowiązku postępowania zgodnego we wszystkiém z ustawami istniejącymi. Gdy jednakże we Francyi przed r. 1789 jedynym ustawodawcą i to nieograniczonym był król, nadano temu wyrazowi znaczenie bezwarunkowój we wszystkiém dlań uległości i wierności osobistój. Do takiej uległości i wierności osobistój był też każdy feudalny pan i wazal obowiązany względem suzerena czyli monarchy jako swego zwierzchniego pana. Pan Walewski nie uwzględnia zmienionych obecnie w całym świecie stosunków, i dla tego prawi o niezbędnój potrzebie lojalności w powyższém znaczeniu średniowiecznym. Lecz jak prawowitość dynastyczna ma dziś zupełnie inne niż dawniej w praktyce znaczenie, tak uległo i pojęcie lojalności wielkiej zmianie i nie mieści już w sobie obowiązku średniowiecznej bezwarunkowości. Lojalność zalecana przez p. Walewskiego narodowi naszemu byłaby w terażniejszych stosunkach albo obłudą płamiącą każdego, kto by ją udawał, albo w razie przeciwnym oznaką ducha i usposobienia niewolniczego, nigdy zaś dowodem téj cnoty obywatelskiej, którą jedynie

wzrastają niepodległe narody w sławę i potęgę a upadłe odzyskują utracone stanowisko. Lecz o legitymizmie i lojalności będziemy mieli sposobność pomówienia obszerniej przy rozbiórce innych twierdzeń historyzoficznych autora, odnoszących się wprost do dziejów polskich.

Zapowiedź biblijna, że po upływie wieków będzie na świecie jeden tylko pastérz i jedna owczarnia, każe chrześcianom spodziewać się nadejścia kiedyś chwili, w której ludzkość dążąca do coraz większej doskonałości moralnej przez wykonywanie przykazania miłości ku Bogu i bliźnim pouchyla to wszystko, co oddziela i od siebie wzajem oddala narody i stany, i zleje się w jedną niejako rodzinę spojona między sobą i z Bogiem miłością zestopniowaną do ideału. Temu symbolicznemu wyrażeniu się biblii podsunął Pan Walewski całkiem inne znaczenie, gdyż oparł na niem ową z wolą i myślą Bożą nabyto zgodną organizacją społeczno-polityczną świata, którym, jak widzieliśmy, pod stérownictwem nieomylnego papieża rządzić mają dwaj z sobą porozumiewający się cesarzowie w pierwszym a zależni od nich mnodzy królowie i książęta udzielnicy przy pomocy hierarchów duchownych i świeckich w drugim rządzie. Uczony nasz historyzof nie spostrzegł widocznie, że zamiast jednego pastérza biblijnego musiał celem utrzymywania w sfornéj karności i wychowywania różnowełniastych owieczek ustanowić aż trzech naczelných pastérzy, wielu bardzo pastuchów i ogromną liczbę pastuszków, że zatém powyższa zapowiedź biblijna do wymarzonej przezeń najdoskonalszej organizacyi społeczno-politycznej rodzaju ludzkiego żadną nie da się zastosować miarą. Przekonany atoli o nieomylności swego pomysłu historyzoficznego uderza nielitościwie na wszystkich rozumujących liberałów, reformatorów, rewolucjonistów, demokratów socyalistów, komunistów i innych podobnych im anarchistów, jako na wilków skradających się do cudownie przezeń urządzonéj owczarni i chcących kosztem zamkniętych w niej i tak ślicznie przez dostojne grono pasterskie strzeżonych i pielęgnowanych owieczek nasycić zgłodniałe swe żołądki. Z tego też powodu jest każde najleksze powątpiewanie o nieomylności

papieża lub o pochodzeniu władzy jego tudzież władzy cesarzów, królów i książąt od Boga, każde pragnienie swobód dla ogółu rządzonych lub dążenie do reform zapewniających narodom większy lub mniejszy współdział w sprawach rządowych, słowem każdy zamiar przeistoczenia istniejącego z łaski bożej porządku rzeczy najczarniejszą w oczach jego zbrodnią, zasługującą na bezwzględne potępienie i ukaranie, ponieważ wiedzie państwa i narody do anarchii i upadku.

Autor, który bardzo szeroko się rozpiął o przyczynach anarchii w Polsce, niema w rzeczy jasnego i dokładnego wyobrażenia o tém, co stanowi jej istotę. Anarchya a po polsku bezrząd jest przeciwieństwem i negacją wszelkiego rządu bez względu na formę jego i na podział w nim władz współczesnych to jest ustawodawczej, administracyjno-wykonawczej i sądowniczej. Jeżeli te władze, czy one są skupione w ręku jednej osoby czy też sprawowane osobno i pod pewnym względem niezależnie od siebie przez ustanowione do tego korporacje, funkcjonują prawidłowo i dopełniają swego zadania, w ówczas objawia się wszędzie ład i porządek, świadczący o tém, że jest rząd w kraju. Gdy zaś przeciwnie bądź wszystkie te władze bądź jedna z nich nie dopełnia należycie swych obowiązków, powstaje zaraz nieład i rozprzężenie wskazujące nam, że miasto rządu wytwarza się bezrząd. Jak dobroć i sprężystość rządu nie zależy od formy jego, ale wyłącznie od sposobu, w jaki funkcjonuje w trzech powyższych wskazanych kierunkach, tak może z każdej ze znanych form rządu wywiązać się bezrząd, jeżeli funkcjonowanie władz jego nie będzie odpowiednie celowi. Dążenie do reform i dokonywanie tychże w jakimkolwiek kierunku nie sprowadza jeszcze w koniecznym następstwie bezrządu, jeżeli reforma podjęta czy to z góry czy też zdołu, nie ma na celu uchylenia rządu, ale dąży bądź do zmiany stosunku władz jego do siebie i do rządzonych i składu tychże, bądź do ich rozdzielenia lub skupienia, bądź w końcu do lepszego określenia ich atrybucyi. Z tego wynika, że gwałtowny nawet przewrót, obalający istniejącą formę rządu, nie spowoduje bezrządu, jeżeli w miejsce obalonój ustanowi nową, zaraz

formę tegoż a wszystkie jej władze z należytą zaczną funkcyonować sprężystością, i opierające się nowemu porządkowi rzeczy żywiły zniewolą do uległości. Przeciwnie powstaje bezrząd wszędzie i to w najspokojniejszym nawet czasie, gdzie władze rządowe nie umieją swemu sprostać zadaniu.

Pan Walewski innego jest zdania. W jego przekonaniu musi natychmiast nastąpić bezrząd, jeżeli monarcha straci część nieograniczoności swęj władzy rządowej. Każdy więc zamiar ograniczenia monarchy z bożej łaski na rzecz rządowych jest według niego dążeniem do bezrządu, wiodącym narody do upadku. Sejmy i wszelkie inne nowoczesne urządzenia konstytucyjne, ścieśniające władzę monarchiczną, są w jego oczach gusłami najszkodliwszemi, wymyślonemi przez anarchistów, którzy pragną tylko korzystać z zamętu tém spowodowanego. Najlepszy nawet parlament jest mu wstrętnym, ponieważ i w takim mają zebrani razem stanowić o tém, czego nie rozumieją. Cieszy się téż niezmiernie z wielkiego odkrycia swego, to jest, że papież za równo z carem jest przeciwny wszelkim parlamentom, w których zwykle największą rolę odgrywają rozumkujący anarchiści wszelkiego rodzaju.

Rozwijając swe pomysły historyozoficzne, nie mógł p. Walewski pominąć rewolucyi francuzkiej w r. 1789, która spowodowała zupełny prawie przewrót stosunków społecznych a nawet politycznych w Europie. Tę rewolucyą zgruchotało zdaniem jego kilku grenadyerów, a gdyby komendant tychże był się poradził naszego autora, nie byłoby dziś i śladu po niej. Lecz on dążył niestety do uniwersalnej monarchyi, a zatem znów do rewolucyi, czém wszystko zepsuł, i zagaił w dodatku ową kosmopolityczną rewolucyą, z którą teraz jest w sojuszu rząd pruski z ks. Bismarkiem na czele, a od której świat wyzwolić może tylko „powrót do Rptej chrześciańskiej, do jej zasad i powag, przywrócenie rządu naczelnego papiesko-cesarskiego, zatem tylko zgoda dwóch cesarzów z papieżem, z władzą, która nigdy od zasad restauracyi nie odstąpiła i z rewolucyą walczyć nie przestała“ itd. itd..

Trudno rzeczywiście pojąć i zrozumieć przyczyny obłędu, w jaki nasz historyzof popadł, kreśląc powyżej zestawione niedorzeczności. Tak wielkie zdarzenie, jak rewolucya francuzka z r. 1789, nie da się zbyć kilku frazesami i deklamacjami, zwłaszcza ze względu na jej ostateczne wyniki. Autor okazał swém twierdzeniem, jakoby batalion grenadyerów zgruchotał rewolucyą, że nie ma pojęcia o jój znaczeniu i przebiegu. Batalion ów usunął tylko wytworzononą władzę, aby natomiast ustanowić inną, lecz nie tknął w rzeczy zasadniczych dążeń rewolucyi, która pod stérownictwem wojskowego dyktatora, jakim był Napoleon I. jako piérwszy konsul i cesarz, rozpoczętego dokonywała dzieła, i zwyciężyła ostatecznie, ponieważ uchyliła bezpowrotnie dawny porządek rzeczy nie tylko we Francyi, ale i w całej Europie a dziś sięga do Azji, burzy tam powoli stare, z rozumem i dobrem społeczeństw niezgodne porządki, zdobywa nieustannie prawa dla człowieka jako jednostki w społeczeństwie, obala przywileje i wyłączności stanów i kast, słowem demokratyzuje wszystkie kraje. Przewaga czasowa tego lub owego rządu i narodu jest tu rzeczą podrzędną, gdyż idzie głównie o zwycięstwo zasad, które na swym sztandarze wywiesiła rewolucya francuzka. Każda prawda i zasada może w praktyczném zastosowywaniu z powodu oporu jednych a nacisku drugich dać pochóp do spełniania nadużyć, niesprawiedliwości i gwałtów oburzających, lecz nierozum tylko zdoła na jej karb takowe zaliczyć. Są to nieuniknione skutki walki, wśród której i przez którą nowe ideje wcielają się w społeczeństwa ludzkie. P. Walewskiego zadziwia, że dotąd zgody nie ma, lecz nie dziwiłby się pewnie, gdyby był głębiój wniknął myślą w dzieje powszechne i narodów, ponieważ byłby się mógł przekonać, że wieków częstokroć potrzeba, zanim wielka nowa idea zwycięży ostatecznie na wszystkich stanowiskach. Wszakże i chrześcijaństwo potrzebowało kilku wieków do ustalenia się swego, a dotąd jeszcze nie spełniło ostatecznego zadania swego. Lekarstwo proponowane przez autora na uśmierzenie rewolucyi kosmopolitycznej jest dziwadłem szczególnego rodzaju, ponieważ wymaga powrotu do

form zużytych już zupełnie, które w swoim czasie, gdy doszły do rozkwitu, nie doprowadziły do odrodzenia ludzkości, a dziś wśród zmienionych zupełnie stosunków miałyby tak wielkiego dokonać zadania. Co raz jako zużyte upadło, a tym samym warunków bytu już nie ma w sobie, tego nawet i najjenialniejszy historyzof nie potrafi przywrócić. Autor wygląda zbawienia ludzkości od nowego mesyasa. Ma nim być car moskiewski, który uzbrojony knutem porozpędza na cztery wiatry lub wytępi ze szczętem wszystkich liberałów, rewolucjonistów, demokratów itp. arnachistów, zamknie raz na zawsze wszystkie parlamenty, obali konstytucye ograniczające władze monarchów z bożej łaski, i łącznie z drugim cesarzem i papieżem zaprowadzi ład i porządek wedle swojej a więc bożej myśli w całym świecie, oparty na uszanowaniu powag naczelnych i doskonale uszczęblowanej hierarchyi duchownej i świeckiej. Wierząc w to wielkie posłannictwo cara moskiewskiego, nie rozbiera autor nawet pytania, co będzie w ówczas, jeżeli car - zbawca miasto skojarzyć się z drugim cesarzem i papieżem zechce sam wyłącznie panować? jeżeli nie uzna ich obu za współrzędnych? jeżeli zaprzeczy papieżowi szczególnie wszechwładztwa duchownego i nieomylności? W cóż się obróci wtedy cała ta cudowna utopia o dwóch cesarzach działających w zgodzie z papieżem?

Pana Walewskiego cieszy niezmiernie, że car jest oraz królem polskim i jako taki występuje i działa na widowni świata. Podnosi też okoliczność tę z naciskiem, aby ogół narodowy przekonać, że winien lgnąć duszą i ciałem do króla swego, który odgrywając tak świetną w świecie rolę, tym samym i jego znaczenie podniósł. Jest że to omamieniem tylko autora, czy czémś gorszém nierównie? W piéwszym wypadku możnaby jedynie ubolewać, że w swych poglądach i rozumowaniach zbłąkał się autor na bezdroża, a w drugim zasłużyłby na bezwarunkowe potępienie. Nie rozstrzygając tego pytania, powiem tyle jedynie, że pojęcia króla polskiego i cara moskiewskiego, które autor we wszystkich po polsku pisanych dziełach radby zlać w jedno, tak sprzecznej są natury, że nie dadzą się nigdy z sobą pogodzić. Najlepszym

tego dowodem są dzieje Polski i Moskwy od najdawniejszych do najnowszych czasów, w których się przecież najdokładniej uwydatniły całkiem odmienne charaktery, dążenia i usposobienia narodowe Polaków i Moskali. Przemocą i gwałtem można ich sprządnąć razem i w takie same ubrać szynele, lecz złąć ich w jedno nikt nie potrafi. Wyznał to dość otwarcie sam Aleksander I, który chciał pogodzić z sobą tak sprzeczne z natury swój żywioły, lecz po latach dwudziestu kilku przekonał się o bezskuteczności swych usiłowań. Jeżeli zaś zważymy, że prócz wskazanych przyczyn całe morze krwi i łez przelanych oddziela nas od Moskwy i jej carów, dziwić się można słusznie, że autor podjął się daremnnej pracy pogodzenia nas z myślą zlania się w jedną bratnią rodzinę z Moskalami pod tak wielkim i wspaniałomyślnym i tak dobroczynnym monarchą, jak Aleksander II, który ma nas ubłogosławić jakimś niebiańskim szczęściem, jakiego nawet ś. Jan w swój apokalipsie nie przeczuwał.

Autor zastanawia się w obszernym wywodzie nad znaczeniem oświaty, a mając nieustannie przed oczyma ową mniemaną walkę ducha z materią t. j. spiritualizmu z materjalizmem, racjonalizmem i liberalizmem, dochodzi do dziwnych rzeczywiście wyników, ponieważ twierdzi, że oświata ludzkości i narodów polega na tém, aby dawały pierwszeństwo zasadom przed namiętnościami, wierze przed rozumkowaniem, prawu przed dowolnością i nagą siłą, czyli jedném słowem duchowości przed materjalizmem.“ Z tego wnosi, że „gdzie jest najwięcej uległości dla władzy zwierzchniej i powagi, tam jest najwięcej oświaty, tam już jest lub kiedyś będzie najwięcej kultury, albowiem tam jest najwięcej duchowości“ i t. d. Określenie to oświaty, odróżnianie od niej wykształcenia i kultury bez bliższego ich oznaczenia przekonuje nas, że p. Walewski nie ma jasnego pojęcia o tém wszystkim. Jego bowiem określenie oświaty, wyklucza najzupełniej postęp i odmawia człowiekowi prawa badania i dochodzenia prawdy we wszystkich kierunkach wiedzy, a skazuje go na ślepe posłuszeństwo i wiarę we wszystko, co mu zwierzchność i powagi z bożej łaski ustanowione wykonać i wierzyć nakazą. Mając tak mylnie

pojęcie o oświacie, musiał autor oczywiście stanowczo potępić negacyą i rozumowanie, które nazywa rozumkowaniem, ponieważ nie obeznawszy się dokładnie z dziejami oświaty, nie mógł spostrzedz wyrzytego na każdej ich karcie dowodu, że negacya dawała zawsze pochóp do dociekania i odkrycia prawdy, a zatem wiodła do oświaty, która przecież polega na poznaniu prawdy i moralném doskonaleniu się przez nią. Każda zdobycz w odkrywaniu prawdy jest jednym ze szczegółów, po których ludzkość i narody wznoszą się stopniowo do oświaty prawdziwej, ukształcenie zaś i kultura nie są jak twierdzi autor dopiéro jej wynikiem, ale jedynie przygotowaniem do niej, czyli mniej doskonałym jej stanem. Człowiek nie na to otrzymał władze duchowe, aby ich nie używał i gnuśniał w umysłowym lenistwie, lecz aby je rozwijał i przez to rozszerzał swą wiedzę, aby zatem natężył władzę myślenia i rozumowania, bez czego nie odkryje prawdy w żadnym kierunku. Wiara bezmyślna nie może być oznaką oświaty, ponieważ z takiej wiary zradzają się przesady, gusła, zabobony i mnogie inne podobne obłądki umysłowe, będące przeciwieństwem prawdy, z których właśnie przez oświecenie się jedynie za pomocą myślenia i rozumowania można się otrząść. Powątpiewanie o czemś za prawdę uchodzącem wywołuje najprzód zaprzeczenie czyli nagacyą téj prawdy mniemanéj a następnie szukanie czyli dochodzenie rzeczywistej prawdy. Negacya zatem nie jest wpływem i dowodem materializmu, lecz wstępném działaniem rozumu, tej czysto-duchowej władzy w człowieku, danéj mu na to, aby mógł dociekać prawdy i przez to dójść do prawdziwej oświaty, będącej najwyższém zadaniem pracy duchowej tak każdego człowieka jak również narodów i ludzkości całej. Praca ta odbywa się powolnie, ponieważ duch ludzki posługując się zmysłami podlegającými złudzeniom, musi uzyskane przez nie wrażenia niedokładne przez porównywanie i badanie długo sprawdzać i oczyszczać, zanim dotrze do rdzenia samej prawdy. Schodzące jedno po drugiem pokolenia odbywają tę pracę i przekazują następnym uzyskane z niej owoce, przez co jedynie umożliwia się postęp ciągły ludzkości. Rozliczne

przyczyny mogą wpływać na większą lub mniejszą rażność i skuteczność tej pracy, dokonywaną przez następujące po sobie pokolenia, z czego wynikają wszystkie uwydatnione w dziejach ludzkości i narodów zwroty, zbaczania z drogi postępu i towarzyszące im zwykle dążenia wsteczne, wśród których częstokroć przepadają lub nieużyte marnieją owoce zdobyte pracą poprzednich pokoleń. Filozofia dziejów winna nam wskazać owe przyczyny a oraz wszystkie zdobycze duchowe dokonane pracą ludzkości i narodów poszczególnych w ciągu wieków ubiegłych, tudzież zwroty wsteczne i zboczenia. Z tego ważnego zadania nie wywiązał się Pan Walewski, a natomiast zestawiał cały szereg paradoksalnych twierdzeń, ochrzczonych najniewłaściwiej mianem zasad.

Przechodząc od określenia, czém jest oświata, do wystawienia tejże, jaką była u starożytnych ludów a w szczególności u Greków, popada autor w mnogie niedokładności i obłądki. Otóż twierdzi między innemi, że Bóg sam ustanowił rządy patryarchalne czyli monarchiczne. Twierdzenie to jest najlepszym dowodem, że autor nie ma wyobrażenia, czém były rządy patryarchalne, a co stanowi istotę rządów monarchicznych, jeżeli je zestawia jako równoznaczne. Ojciec wspólny rodziny, jakim był każdy patryarcha, był jej głową na zasadzie prawa natury, gdyż jemu byli winni wszyscy jej członkowie wdzięczność i miłość a ze względu na jego doświadczenie i wiek uległość. Że z czasem i po kilku pokoleniach, gdy rodzina w znaczną rozrosła się liczbę, już nie ojciec wspólny ale najsędziwszy z jej członków był jej głową czyli patryarchą, nie zmienia natury jego powołania, które na tem polegało, że miał sprawować czynności wspólnego ojca, a zatem wszystkich członków pokolenia równą ogarniać miłością i z równą troskliwością czuwać nad ich dobrem. Monarchizm zaś był wszędzie niemal skutkiem przywłaszczenia sobie władzy zwierzchniej przez jednego nad resztą, dokonanego podstępem albo przemocą i przelanie jej na potomków przywłaszczyciela. Pana Walewskiego uwiódło podobieństwo sprawowania w obu formach rządu władzy naczelną, że tu i tam jeden ją dzierżył a nie zbiorowość, lecz zapomniał, że same

nazwy patriarchy i monarcha wskazują aż nadto ogromną między niemi różnicę, ponieważ pierwsza oznacza rząd ojca, a druga rząd jednego. Wolno wprawdzie mniemać, że rządy jednego mają znaczenie ojcowskich, ponieważ monarcha winien z obowiązku wszystkich poddanych swoich równą ogarniać miłością ojcowską. Lecz dzieje świadczą zupełnie inaczej, a kto je studyował sumiennie, mógł się przekonać, że ojciec-monarcha należy w nich do najrzadszych wyjątków.

Że w pierwotnym stanie społeczeństw ludzkich władza naczelną czy to ojcowska czy monarchiczna łączyła się z kapłaństwem, jest rzeczą znaną, i inaczej być nawet nie mogło. Było tak wszędzie, a oddzielenie kapłaństwa od naczelnictwa rządowego nastąpiło dopiero później. Grecya nie mogła przeto stanowić wyjątku w tej mierze, i dlatego myli się autor wielce, gdy w tym połączeniu władzy kapłańskiej z rządową upatruje dowód jakiegoś spiritualizmu, który doprowadził Greków do znamienitej oświaty. Gdyby bowiem z tego jedynie źródła wypływała oświata, w ówczas nie pojmujemy, dlaczego jej nie było tam wszędzie, gdzie się patriarchyalizm lub monarchizm w połączeniu z kapłaństwem nierównie dłużej niż w Grecyi utrzymał? Widać zatem, że w Grecyi inne współdziałały przyczyny, i że im a nie owym królom-kapłanom Grecyi zawdzięczali swą oświatę, tudzież rozwój sztuk i nauk, które dziś jeszcze wzbudzają podziw. Autor rad, że mu się nawinęli królowie-bohaterowie, którzy byli oraz kapłanami, przypisuje im to wszystko, co później duch grecki zdziałał na polu sztuki, nauki i oświaty, ponieważ to uwalnia go od mozolnego dochodzenia przyczyn prawdziwych tego wszystkiego. Zapomina atoli, że już w czasie wyprawy na Troję nastąpiło oddzielenie władzy kapłańskiej od królewskiej. I gdyby był trochę się zastanowił, byłyby zaraz odkrył jedną z przyczyn tak świetnego rozwoju Greków, którą był rozdział ich na wielkie mnóstwo małych republik, rozwijających się w rozmaity sposób i współubiegających się z sobą. To usposobienie Greków wstrętne skupianiu się i centralizacyi, spowodowane w znacznej części położeniem

przyczyny mogą wpływać na większą lub mniejszą rażność i skuteczność tej pracy, dokonywanej przez następujące po sobie pokolenia, z czego wynikają wszystkie uwydatnione w dziejach ludzkości i narodów zwroty, zbaczania z drogi postępu i towarzyszące im zwykle dążenia wsteczne, wśród których częstokroć przepadają lub nieużyte marnieją owoce zdobyte pracą poprzednich pokoleń. Filozofia dziejów winna nam wskazać owe przyczyny a oraz wszystkie zdobycze duchowe dokonane pracą ludzkości i narodów poszczególnych w ciągu wieków ubiegłych, tudzież zwroty wsteczne i zboczenia. Z tego ważnego zadania nie wywiązał się Pan Walewski, a natomiast zestawił cały szereg paradoksalnych twierdzeń, ochrzczonych najniewłaściwiej mianem zasad.

Przechodząc od określenia, czym jest oświata, do wystawienia tejże, jaką była u starożytnych ludów a w szczególności u Greków, popada autor w mnogie niedokładności i obłądy. Otóż twierdzi między innymi, że Bóg sam ustanowił rządy patryarchalne czyli monarchiczne. Twierdzenie to jest najlepszym dowodem, że autor nie ma wyobrażenia, czym były rządy patryarchalne, a co stanowi istotę rządów monarchicznych, jeżeli je zestawia jako równoznaczne. Ojciec wspólny rodziny, jakim był każdy patryarcha, był jej głową na zasadzie prawa natury, gdyż jemu byli winni wszyscy jej członkowie wdzięczność i miłość a ze względu na jego doświadczenie i wiek uległość. Że z czasem i po kilku pokoleniach, gdy rodzina w znaczną rozrosła się liczbę, już nie ojciec wspólny ale najsędziwszy z jej członków był jej głową czyli patryarchą, nie zmienia natury jego powołania, które na ten polegało, że miał sprawować czynności wspólnego ojca, a zatem wszystkich członków pokolenia równą ogarniać miłością i z równą troskliwością czuwać nad ich dobrem. Monarchizm zaś był wszędzie niemal skutkiem przywłaszczenia sobie władzy zwierzchniej przez jednego nad resztą, dokonanego podstępem albo przemocą i przelanie jej na potomków przywłaszczyciela. Pana Walewskiego uwiódło podobieństwo sprawowania w obu formach rządu władzy naczelną, że tu i tam jeden ją dzierżył a nie zbiorowość, lecz zapomniał, że same

nazwy patriarchy i monarcha wskazują aż nadto ogromną między niemi różnicę, ponieważ pierwsza oznacza rząd ojca, a druga rząd jednego. Wolno wprawdzie mniemać, że rządy jednego mają znaczenie ojcowskich, ponieważ monarcha winien z obowiązku wszystkich poddanych swoich równą ogarniać miłością ojcowską. Lecz dzieje świadczą zupełnie inaczej, a kto je studyował sumiennie, mógł się przekonać, że ojciec-monarcha należy w nich do najrzadszych wyjątków.

Że w pierwotnym stanie społeczeństw ludzkich władza naczelna czy to ojcowska czy monarchiczna łączyła się z kapłaństwem, jest rzeczą znaną, i inaczej być nawet nie mogło. Było tak wszędzie, a oddzielenie kapłaństwa od naczelnictwa rządowego nastąpiło dopiero później. Grecya nie mogła przeto stanowić wyjątku w tej mierze, i dlatego myli się autor wielce, gdy w tym połączeniu władzy kapłańskiej z rządową upatruje dowód jakiegoś spiritualizmu, który doprowadził Greków do znamienitej oświaty. Gdyby bowiem z tego jedynie źródła wypływała oświata, w ówczas nie pojmujemy, dlaczego jej nie było tam wszędzie, gdzie się patriarchalizm lub monarchizm w połączeniu z kapłaństwem nierównie dłużej niż w Grecyi utrzymał? Widać zatem, że w Grecyi inne współdziałały przyczyny, i że im a nie owym królom-kapłanom Grecyi zawdzięczali swą oświatę, tudzież rozwój sztuk i nauk, które dziś jeszcze wzbudzają podziw. Autor rad, że mu się nawinęli królowie-bohaterowie, którzy byli oraz kapłanami, przypisuje im to wszystko, co później duch grecki zdziałał na polu sztuki, nauki i oświaty, ponieważ to uwalnia go od mozolnego dochodzenia przyczyn prawdziwych tego wszystkiego. Zapomina atoli, że już w czasie wyprawy na Troję nastąpiło oddzielenie władzy kapłańskiej od królewskiej. I gdyby był trochę się zastanowił, byłby zaraz odkrył jedną z przyczyn tak świetnego rozwoju Greków, którą był rozdział ich na wielkie mnóstwo małych rzeczypospolitych, rozwijających się w rozmaity sposób i współbiegających się z sobą. To usposobienie Greków wstrętne skupianiu się i centralizacyi, spowodowane w znacznej części położeniem

geograficzném ich kraju, podzielonego górami i strumieniami na wiele odrębnych kraików, odbiło się najprzód w utworzeniu jak mówiliśmy wielkiej mnogości Rptych, złożonych z miast i ich okręgów, a następnie w urządzeniach społeczno-politycznych tych drobnych państw, w których bardzo wczesnie człowiek jako osoba moralna uzyskał prawa mu należne, a z niemi możność rozwijania się samowiednego we wszystkich kierunkach. Ta rozliczność drobnych państw a raczej gmin niezależnych od siebie, szczęśliwy klimat i piękna przyroda przyczyniły się do rozbudzenia owój ruchliwości Greków, która w ustanowionych wielkich igrzyskach znalazła pole do współzawodnictwa, a to znów stało się podniecią dla każdego z osobna do pracowania nad sobą, aby się odznaczyć. Temu sprzyjały i urządzenia społeczno-polityczne pojedynczych kraików, które mimo swój odmienności nie krępowały nigdzie indywidualizmu każdego z Greków w taki sposób, by nie mógł rozrządzać sobą i rozwijać się jako istota moralna. Sam fakt w dziejach stwierdzony, że sztuki, nauki i oświata w Grecyi w ogóle a w poszczególnych jej częściach tam się najbardziej rozwinęły i zakwitły, gdzie człowiek jako osoba był najswobodniejszym, dowodzi najwymowniej, że téj właśnie swobodzie a nie manarchizmowi należy przypisać ów zadziwiający rozwój oświaty greckiej.

Pan Walewski upewnia nas, że Grecya, która na polu oświaty tak chlubnie się odznaczyła, na polu konstytucyjnych ustaw skrewiła, ponieważ „władza patryarchalna wyrodziła się u niój w demokratyczną albo despotyczną, z których to form rządu żadna długo trwać nie mogła jako nie odpowiadająca duchowemu powołaniu społeczeństw i nieopierająca się na wierze i legitymizmie.“ O demokracji powiada że „jest powagą liczby, uświęceniem siły nagiój, że prowadzi koniecznie do bezrządu, puszcza cugle stronictwom, rozwiązuje społeczeństwo i rządami demogogii toruje drogę tyranii, jeżeli jej nie uprzedził obcy zdobywca.“

Są to czcze frazesy, niczego nie dowodzące. Nie pojmujemy najprzód, dla czego monarchiczna forma rządu miałaby więcej duchowemu powołaniu społeczeństw odpowiadać, niż demokra-

tyczna czyli gminowładna? Czy zechce w nas może p. Walewski wmówić, że odziedziczenie władzy monarchicznej przynosi z sobą i uzdolnienie do jej piastowania a w dodatku i zacność moralną jako niezbędną z urodzenia przymioty? Zkądże wzięło się tylu niedołęgów i moralnych potworów na tronach dziedzicznych? Zkąd powstało owe zepsucie moralne, panujące zwykle na dworach, a na które wszyscy moralisci całego świata od wieków zgodnie narzekają? Jeżeli więc namaszczenie koronacyjne pomazańca bożego nie zdołało jego samego ulepszyć moralnie a przynajmniej ustrzedz od zepsucia, czyż akt tego namaszczenia może w skuteczniejszy sposób oddziaływać na poddaną jego rządów społeczność i pomagać jej do zadość uczynienia swemu powołaniu duchowemu? Pan Walewski odpowie zapewne, że wyrodność tego lub owego monarchy nie stanowi dowodu przeciw dobroci tej formy rządu. To prawda a co więcej przyznamy nawet, że forma monarchiczna rządów byłaby najodpowiedniejszą, gdyby na tronach zasiadali sami aniołowie, czyli jak chciał Plato, filozofowie w najszczytniejszém tego wyrazu pojęciu. Lecz gdy tak nie jest, a dzieje, jak już mówiłem, rzadko nam wskazują takich wyjątkowych królów, trudno się dziwić narodom, że starały się doświadczać innych form rządu i niekoniecznie w samej tylko monarchicznej upatrywali doskonałość.

Pan Walewski prawi w swęj historyozofii bardzo wiele o chrześciance, a mimo to nie wniknął w ducha jego i nie zrozumiał zasadniczej myśli jego, skoro zeń wysnuł wszystkie owe pojęcia o rządach samowładnych, opartych na nierówności stanów, a nawet na niewoli masy ludowej, zdanęj na łaskę i niełaskę stanów wyższych, które były powołone niby do jej wychowywania. Pojęcia te są najzupełniej sprzeczne z przykazaniem miłości Boga i bliźniego, stanowiącém istotę chrześciance. Wszakże sam zbawiciel powiedział wyraźnie, że kto bliźniego nie kocha, nie zdoła wznieść się do umiłowania Boga, przez co wskazał, że tylko przez miłość bliźniego wyrabia się w sercu człowieka miłość ku Bogu. Jeżeli więc postulatem niezbędnym chrześciance jest miłość bliźniego, bliźnim zaś w znaczeniu chrześciance jest każdy

człowiek, jako stworzony na podobieństwo Boga, czyż wolno twierdzić, że zepchnięcie milionów ludzi do rzędu bydła jest zgodne z duchem chrześcijaństwa lub nastąpiło z woli i łaski bożej? Czyż te miliony nie były stworzone na podobieństwo Boga i nie składały się z bliźnich? Czyż ponizenie ich lub odjęcie im wszelkich praw zgadza się z przykazaniem miłości bliźniego? Wszakże to przykazanie mieści w sobie najwyraźniej pojęcie braterstwa a tém samem i pojęcie równości między ludźmi, z czego wynika, że tylko takie urządzenia społeczno-polityczne są zgodne z wolą bożą, które nie są w sprzeczności z owém przykazaniem miłości chrześcijańskiej. Człowiek bowiem każdy będąc równy z innymi w obliczu Boga, powinien być im równym w używaniu praw przyrodzonych. Tę zaś równość nie lubi Pan Walewski, a chociaż takowa jest prostym tylko loicznym wynikiem zasadniczej myśli chrześcijaństwa, zalicza przecież wcielanie jęj w praktyce życia społecznego do najszkodliwszych objawów materyalizmu, tego przeciwieństwa wszelkiej duchowości. Gdybyśmy chcieli rozwiiane w historyozofii p. Walewskiego pojęcia z całą konsekwencją loiczną, do twórcy chrześcijaństwa zastosować, musielibyśmy go nazwać największym ze znanych materyalistów.

Równość społeczna i wynikająca z niej demokracja są naszymu historyozofowi między innemi i dla tego wstrętne, ponieważ w demokracjach panuje powaga liczby, z czego ma wynikać uświęcenie siły nagięj, bezrząd, rozpasanie stronnictw, rozbicie społeczeństwa, rządy demagogii a w końcu tyrania, jeżeli tej nie uprzedzi obcy zdobywca. Przypatrzmy się więc bez uprzedzenia, czy rzeczywiście to wszystko jest koniecznym wpływem demokracji. Że w demokratycznie urządzonej społeczności panuje powaga liczby, tak wstrętnej zawsze p. Walewskiemu, wypływa z samej natury rządu demokratycznego, gdyż inaczej nie miałby tęg nazwy. Lecz nie pojmujemy, dlaczego z tęg wyłącznie formy rządu miałyby się wywiązać uświęcenie siły nagięj, to jest siły nie szanującej prawa i nie troszczącej się o takowe? Z zasad rządu demokratycznego nie wynika bynajmniej takie uświęcenie czyli uczczenie siły tęg, ponieważ przeciwnie forma ta rządu po-

lega głównie na uszanowaniu praw każdego z członków społeczności, a oraz na ich zrównoważeniu z obowiązkami jego. Do tych obowiązków należy w pierwszym rzędzie troskliwość o dobro i bezpieczeństwo powszechne i poświęcenie w razie potrzeby własnego dobra a nawet osoby w ich obronie. Wypełnianie tego obowiązku nazywamy cnotą obywatelską, bez której żadna Rpta a tém bardziej demokratyczna nie mogłaby się ostać, ale musiałaby runąć natychmiast. Jeżeli więc cnoty obywatelskie stanowią podstawę a oraz siłę i potęgę demokratycznie rządzonego społeczeństwa, czyż wolno twierdzić, że ztąd wywiązuje się uświęcenie siły nagięj, czyli przeciwieństwa owych cnót? Gdzie takie uświęcenie nastąpiło, tam upadły już cnoty obywatelskie a z niemi i demokratyczne urzędnienia, co być może następstwem jedynie powszechnego zepsucia, od którego żadna forma rządów nie ubezpiecza społeczeństw ludzkich, a które się zwykle wytwarza w skutek ich zбочeń z wytkniętej im drogi prawdziwego rozwoju i odstępstwa od zasad sprawiedliwości bezwzględnej.

Twierdzenie autora, że demokracja wiedzie do bezrządu, jest bezzasadném, ponieważ w dobrze urzędzonej Rptej demokratycznej, gdzie podział władz jest koniecznym, funkcjonowanie tychże musi się odbywać bardziej prawidłowo, niż w monarchyi, skoro pod ciągłym jest nadzorem dbającego o swe dobro i niém się przejmującego ogółu. Żadna też usterka nie ujdzie uwagi powszechniej, i dlatego jest wczesna naprawa umożliwioną. Z ruchliwości tak urzędzonych społeczeństw nie wywiązuje się bezrząd jako konieczność nieunikniona. Bezrząd bowiem powstaje tam jedynie, gdzie władze rządowe nie dopełniają swych obowiązków bądź z powodu wadliwych ustaw bądź z braku ścisłego nadzoru. Jeżeli zatem w Rptej demokratycznej powstanie bezrząd, będzie to skutkiem wadliwości ustaw, a nie wynikiem koniecznym téj formy rządów. Przecież i sam autor przyzna, że w bezrząd popadały i monarchye najsamowładniejsze, co właśnie dowodzi, że nie z formy rządu, ale z innych przyczyn wytwarza się bezrząd.

Autor nie lubi w ogóle stronnictw i ich ścierania się niestannego. Lecz stronnictwa wytwarzają się wszędzie,

gdzie tylko obywatelom kraju wolno się zajmować sprawami publicznymi. Tam ich tylko nie ma, gdzie ślepe posłuszeństwo i niewola panują. W Chinach nie ma stronnictw, a wątpię, by nawet p. Walewski mimo zamiłowania swego do monarchii z bożej łaski i drabinki hierarchicznej, chciał je nam dla tego jako wzór naśladowania godny zalecać, że w nich jest na tronie potomek słońca, mający do posługi i pomocy podzielonych na klasy niezliczonych mandarynów i ślepo uległe jego woli mnogie miliony ludu spełniającego bez szemrania i rozumkowania ogłaszane rozkazy. Z natury rządu demokratycznego wynika koniecznie, że wszyscy obywatele przypuszczeni do współdziałania w jego czynnościach zajmują się żywiej niż w państwach inaczej urządzonych sprawami publicznymi, ponieważ sam ów współdziałal wkłada na nich ten obowiązek i czyni ich odpowiedzialnymi za każdą szkodę, jaka z nieodpowiedniego celowi załatwienia tychże może dotknąć czy to powszechność czy też pojedynczych jej członków. Gdzie zaś każdy członek społeczeństwa czuje tę potrzebę zajmowania się sprawami publicznymi a nawet do tego jest obowiązany, tam muszą się wytwarzać stronnictwa różniące się tak w celu, którym jest dobro powszechne, jak w środkach dojścia do niego, ponieważ niepodobna nawet przypuszczać, by kiedykolwiek i gdziekolwiek wszyscy mogli w obu tych względach być zawsze jednego zdania. Im zaś ważniejsze i żywotniejsze sprawy są na porządku dziennym, im bardziej ich załatwienie pomyślne lub szkodliwe zależy od postanowienia ogółu, tém silniej ścierają się z sobą zdania przeciwne, i tém więcej zaogniają się umysły walczących z sobą. To może wieść nawet do czynów gwałtownych, jeżeli władze rządowe nie mają dość siły do powściągnięcia wybuchów namiętności. Autor twierdzi, że demokracja puszcza cugle stronnictwom, lecz nie uzasadnił swego twierdzenia. Demokracja w czystym tego wyrazu pojęciu nie puszcza tych cugli, a jeżeli w demokratycznie urządzonych Rptych przychodziło do czegoś podobnego, jest to świadectwem jedynie, że były wady w rządzie a nie w jego formie. W rządnej bowiem Rptej demokratycznej ścierają się z sobą stronnictwa, gdyż takie

ich ścieranie się jest dowodem jęj żywotności, lecz o puszczeniu im cugli nie ma mowy. Twierdzenie, że demokracja rozwiązuje społeczeństwo jest tak niedorzeczném, że nie warto go nawet zbijać, skoro autor z gołosłownym wystąpił zarzutem i nie poparł go niczém.

Występywanie demagogów w takich Rptych nie może nikogo dziwić, kto uwzględni z jednéj strony naturę ludzką a z drugiejj naturę téj formy rządu, otwierającéj wszystkim obywatelom możność współzawodniczenia i współubiegania się o stanowiska publiczne, i o wpływ na sprawy rządowe. Między ubiegającymi się i walczącymi z sobą o przewagę wpływu i znaczenia mogą być ludzie rozmaitych usposobień i przekonań, a nawet tacy, którzy szukając własnych tylko korzyści, radziby społeczeństwo wyzyskiwać i dla tego w celu dopięcia swych samolubnych zamiarów do każdego gotowi są uciec się środka. Nie raz téż zwyciężają właśnie tacy dzięki swym zdolnościom i zręczności, z jaką umieją schlebiać i ujmować sobie współobywateli. Dzieje się to zwykle po wielkich niepowodzeniach i klęskach publicznych, gdy rozdrażnienie umysłów tém spowodowane skłania je do oskarzania u stéru będących i dla tego ułatwia zręcznym wicherzycielom możność dojścia do władzy. W takich też chwilach uzyskiwali w Atenach przewagę demagogowie i odzierali władzę. Czyż to stanowi dowód, że demagogia jest nieodłączną od Rptéj demokratycznéj? Wszakże i w monarchiach wszelkiéj kategorii bywali bardzo często ludzie z gruntu źli i zepsuci a w niczém nie lepsi od demagogów u stéru rządów. Idąc zatem drogą wskazaną przez p. Walewskiego, możnaby równém prawem twierdzić, że w monarchyi los państwa spoczywa zwykle w ręku najgorszych ludzi, którzy goniąc za zyskiem i nie przebierając w środkach, umieją pozyskać nieograniczoną ufność monarchy i takową ze szkodą dobra powszechnego tak długo na swą wyłącznie wyzyskiwać korzyść, dokąd inny zręczniejszy matacz nie zepchnie ich z zajmowanego stanowiska, aby następnie w taki sam sposób sobie poczynać. Pan Walewski nie zaprzeczy pewnie, że na poparcie tego twierdzenia można bardzo liczne przytoczyć dowody z dziejów.

W państwach \*konstytucyjnych a szczególnie w Rptych objawia się zwykle w wysokim stopniu między ludźmi ambicya czyli chęć zdobycia sobie wpływu i znaczenia przez współudział w sprawach publicznych. Jeżeli chęć ta wynika z pobudek szlachetnych, a mając dobro powszechne głównie na celu, walczy z innymi o lepsze w uczciwem służeniu ojczyźnie, w dążeniu zaś do tego celu nie posługuje się środkami przeciwnymi ustawom i moralności, nazywamy ją cnotą obywatelską. Lecz w każdej społeczności są ludzie rozmaitych usposobień, nic więc dziwnego, że i w demokratycznie urządzonej między ambitnymi mogą być i tacy, którzy kojarząc znakomite uzdolnienia z przewrotnością i brakiem zasad moralnych, udają najlepsze chęci, aby tylko podejść łatwowierny ogół, w rzeczy zaś dążą podstępnie do opanowania władzy i sprawowania jęj po tyrańsku, skoro zbieg okoliczności umożliwi dokonanie zamachu stanu. Niepowodzenia i klęski a szczególnie spowodowane niemi niezadowolenie zubożałego spóółstwa, przypisującego winę rządowi, torowały zwykle w starożytnych Rptych przywłaszczycielom drogę do odzierzenia władzy najwyższej. Z tego nie wynika przecież, że taki sam los czeka każdą społeczność demokratycznie urządzoną, lub że forma ta rządu z natury już swojej jest nietrwałą, jak nas upewnia p. Walewski. Nam się zdaje przeciwnie, że ze wszystkich znanych form rządu właśnie demokratyczna ma najwięcej warunków trwałości, jeżeli ją z należytą kosekwencyą w całości i w szczegółach zdołano przeprowadzić a rozumnie i na wszelkie wynikiłości i wypadki obliczonemi ustawami obwarować. Przyznając bowiem w ówczas wszystkim bez wyjątku mieszkańcom równe prawa i swobody obywatelskie, a nie przeciążając obowiązkami jednych na korzyść drugich, otwiera każdemu z nich szerokie pole do pracy skutecznej dla siebie i powszechności, a przez to uchyla powody niezadowolenia z istniejącego stanu rzeczy i uwalnia społeczność od zaburzeń, wynikających zawsze z nierównowagi praw i obowiązków, zwykłej w państwach, które inną mają formę rządów. Wszystko, co p. Walewski zarzuca demokracji, nie dotyczy właściwie téj formy rządów, ale odnosi się jedynie do jęj

niedokładnego a nawet wadliwego przeprowadzenia w starożytnych Rptych, w których nie umiano wytworzyć rządu demokratycznego we wszystkich trzech powyżej wskazanych kierunkach prawidłowo i sprzeżyście funkcjonującego.

Ubłogosławiwszy Rptę chrześcijańską rżadem z woli ni-byto opatrności ustanowionym a złożonym z papięza, cesarza i królów, dowodzi nasz historyozof po swojemu, to jest, twierdzeniami w formie dogmatów wypowiedaniami, że temu rżadowi zawdzięczają narody i ludzkość cała swe ocalenie po upadku państwa rzymskiego a oraz późniejsze wychowanie i oświatę, i że tylko pod tym rżadem przez Boga tak doskonale obmyślonym mogą dalej się rozwijać i dążyć do zupełnego uszczęśliwienia, byle się strzegły rozumkowania wiodącego do liberalizmu, demokratyzmu, bezwyznaniowości, komunizmu i innych podobnych guseł anarchyi, i byle ulegały z nieograniczoną wiarą i posłuszeństwem powagom przez samego Boga ustanowionym. Na poparcie swego twierdzenia przytacza w pobieżnym opisie, co każda z tych powag zdziałała dla dobra ludzkości i narodów. W opisie tym nakręca autor znane fakta dziejowe, aby z nich wydobyć dowody na poparcie swych twierdzeń. I tak przypisuje cesarzom, co przed nimi zdziałała Rpta rzymska, a co oni następnie wykoszlawili i popsuli. Co zaś zdziałała idea chrześcianizmu, idzie wprost na rachunek papięza, który sam antentycznie tłumaczy tkwiące w tój idei słowo boże. Nikt dotąd nie wąpił o potężnym wpływie chrześcianstwa na rozwój i kierunek nowożytnęj oświaty, i nie odmawiał należnej w tym względzie zasługi kościołowi i duchowieństwu. Lecz z drugieję strony nikt rozumny nie może dla tego, że tak chce p. Walewski, zaprzeczyć współdziałania innych bardzo ważnych czynników. W pierwszym rżędzie są niemi pozostałe po starożytnych narodach instytucye, prace naukowe, dzieła sztuki i inne zabytki ich cywilizacji. Pan Walewski przeczy temu, a wdo-wód przytacza, że wszystkie te zabytki nie ochroniły państwa bizatyńskiego, w którém były lepiej znane niż w zachodnieję Europie, od zgnilizny i strupieszenia, i że zbiór ustaw rzymskich Justyniana był bardzo długo zupełnie nieznaný zachodowi,

gdzie mimo to rozwinęło się pod wpływem kościoła nowe ustawodawstwo. Szanowny historyk zapomniał widocznie, że najprzód zgnilizna państwa bizantyńskiego wynikała z absolutyzmu rządu niczem nie ograniczonego, który podgarnawszy wszystko a nawet kościół i kler pod swą władzę, zmienił je w narzędzia swjej woli, zepsuciem zaś własnem zaraził ogół pozbawiony wszelkiego poczucia obywatelskiego, a powtóre, że barbarzyńcy, którzy zdobyli prowincye państwa zachodnio-rzymskiego i w nich wytwarzali własne, nie z kodeksów i zbioru Justyniana, ale z pozostałych urzędzeń i zabytków cywilizacji rzymskiej nabywali pojęcia prawnego i piérwszych zarodków oświaty, które następnie pod wpływem kościoła rozwijały się stopniowo. Oddziaływanie obu tych czynników na rozwój wszelkich urzędzeń i na oświatę wieków średnich jest tak widoczne, że nie da się żadną miarą zaprzeczyć i nikt téż przed p. Walewskim nie wystąpił z podobnym zaprzeczeniem. Każdy z badaczy obeznanych dokładnie z dziejami średnich wieków wiedział o wpływie ustaw kanonicznych i procedury sądów duchownych na ustawodawstwo cywilne i karne w średnich wiekach, lecz wiedział oraz z drugiej strony, że przez to powcisnęły się do ustaw i procedury sądowej w sprawach szczególnież karnych mnogie niewłaściwości a nawet przepisy nieludzkiej surowości, które nie były znane ani ustawom rzymskim ani zwyczajowemu prawom ludów germańskich. Owe sądy boże, czyli próby ognia, wody i pojedynku, owe sądy na czarownice i używanie najsroższych męczarni, aby wymusić niemi na oskarżonych przyznanie się do winy, istniały bardzo długo pod egidą kościoła, który srogim postępowaniem z kacerzami sam dawał zły przykład pastwienia się nad obżałowanymi. Pan Walewski twierdzi wprawdzie, że tych srogości nie można przypisać kościołowi, lecz nie wskazuje najprzód, z kąd się takowe wzięły w sądownictwie średniowiecznym i nie przytacza dowodów, że w sądach duchownych nie dopuszczano się podobnej srogości. Czemuż wszechwładny aż do reformacji w w. XVI. kościół nie usunął ich, a i później nie dążył łagodzącym swym wpływem do ich uchylenia, ale czekał, aż rozumkujący liberaliści XVIII. wieku przez zaniecenie

nowożytnej oświaty wszystkie te dziwadła i okrucieństwa nieludzkie obalą raz na zawsze? Gdyby autor był się głębiej nad tém wszystkiém zastanowił, i po słuszności zastosowywał wyrażoną w dwu wyrazach ważną zasadę: „*sum cuique*,” byłby niewątpliwie mniej się sierzdił przeciw rozumkującym liberałom i mniemanym przedstawicielom materyalizmu, ale za to byłby w większej zgodzie z prawdą dziejową i z loiką.

Twierdzenie jego, że kilka wieków wystarczyło, aby wykazać rażącą różnicę między epoką pogańsko-republikańską a chrześcijańsko-monarchiczną, mieści w sobie dziwne zmieszanie pojęć nic z sobą wspólnego nie mających. Ani poganizm bowiem nie był ściśle i koniecznie złączony z republikanizmem, ani chrześcijaństwo nie zawarło z monarchizmem związku wieczystego. Powyższe zaś twierdzenie autora zdaje się oznaczać, że poganizm a republikanizm, chrześcijaństwo a monarchizm są synonimami, wyrażającymi te same pojęcia, co zakrawa na niedorzeczność loiczną. Nikt dotąd nie wątpił o wyższości idei chrześcijańskiej nad wszystkimi religiami, które ją poprzedziły, a nawet przeciwnie wszyscy są w tém zgodni, że przez nią nastąpiło odrodzenie ludzkości, objawiające się we wszystkich jej dążeniach następnych do coraz większej doskonałości moralnej. Lecz cóż ta idea miłości i braterstwa ludzi ma wspólnego z monarchizmem? lub jaki związek loiczny zachodzi między politeizmem a republikańską formą rządów? Czyż przed erą chrześcijańską nie było monarchii? Czyż z drugiej strony chrześcijaństwo potrzebuje pomocy monarchizmu, aby dokonać całkowitego odrodzenia ludzkości przez miłość i braterstwo? Na te pytania nie odpowiedział w sposób przekonujący nasz historyzof, lecz zbył wszystko ogólnikowemi twierdzeniami, będącemi najczęściej w rażącej sprzeczności z faktami dziejowemi i z tém, co się dzieje obecnie. Wolnoby również zapytać, czy sojusz hierarchii kościelnej zawarty z monarchizmem nie przyczynił się do spaczenia i wykrzywienia wzniosłych zasad etyki chrześcijańskiej? czy niektórymi dogmatami nie podkopał lub przynajmniej nie nadwątlił wielkiego przykazania miłości? czy hierarchia duchowna nie wyzyskiwała zbytecznie na swą korzyść

materyalną zyskaną w średnich wiekach supremacji, i czy takowej nie nadużywała ze szkodą głównych zasad i zadań kościoła? Fakta dziejowe odpowiedziały bardzo dobitnie na te pytania, a odpowiedź nie wypadła korzystnie dla hierarchii. Lecz p. Walewski nie raczy uwzględnić tych faktów, ponieważ woli wojować czczemi frazesami i argumentami przypominającymi scholastykizm średniowieczny.

W dowód, jak p. Walewski ocenia wypadki dziejowe w swęj historyzofii, przytoczę, co powiada (str. LXI i LXII) we wstępnej części tejże: „Było, widać, w planie Opatrzności, aby rzymskie cesarstwo upadło, albowiem cesarz, najdawniejszy z trzech monarchów, otoczony urokiem majestatu wszechwładnego i olbrzymiej potęgi, mógł swym blaskiem przyćmić skromne początki papieństwa i monarchów germańskich. Cesarz miał oczywiście posłannictwo utrzymać świat, którego był Panem (Dominus mundi), osłaniać kolebkę duchowieństwa i młodość monarchii, zachowywać pyszną kulturę rzymską, oswajac z nią Germanów i ich monarchów, będących urzędnikami pogranicznymi rzymskiego Państwa i szerząc chrześcijaństwo, o którego obywatelskich zaletach przekonali się w końcu cesarzowie, władzę Biskupów rzymskich wynosili sami. Mimo to, chwiała się ze spomnionych przyczyn władza cesarska i po długowiekowym pasowaniu się z wewnętrznym zemdleniem i zewnętrznymi najazdami upadła, ludzkość osierociła, jak się powszechnie zdawało. Przytoczyłem, że ludzkość istotną sierotą nie została, że biskup rzymski i jego kapłańskie legiony opiekowali się ludzkością. Ale sam kapłan nie mógłby bez pomocy rycerza obronić ludzkości, więc wzywał Germanów do jej opieki, rokował z ich królami, prowadził ich za rękę przez chrzest do oświaty“ A dalej: „Przez zasługę królów (germańskich), że z gruzów Państwa rzymskiego utworzyli przy pomocy kościoła Państwa nowe, żyją do dziś dnia dynastye i zasługują na wdzięczność narodów, bo im życie i wiarę nadały, same zaś dynastye obowiązane do wdzięczności dla kościoła, który był ich regulatorem i edukatorem“ itd. itd. — I to ma być historyzofia! W rozumowaniach zawartych w przytoczonych ustępach nie ma

ani związku loicznego ani dowodów, lecz sama tylko czcza gadanina o urojoném powołaniu cesarza, o sieroctwie ludzkości, o zasługach królów germańskich i kościoła. Trzeba być rzeczywiście Walewskim, aby upatrywać w zawojowaniu prowincyi rzymskich zasługę, której się należy wdzięczność. Jeżeli królowie germańscy byli urzędnikami pògranicznemi państwa rzymskiego, którego cesarz miał tak szczytne powołanie, jakimże cudem zasłużyli się ludzkości rozbiciem tego państwa? Podbój stworzył owe państwa, w czém téż nie ma zasługi, a państwo rzymskie musiało upaść, ponieważ nie miało samo w sobie, jak to wyżej wskazałem, warunków istnienia. Twierdzenie, że dynastye germańskie dały narodom nowym życie i wiarę i za to na wdzięczność sobie zasłużyły, jest śmieszném, ponieważ ani jedno ani drugie nie było ich dziełem. Ze zmieszania się podbójców z podbitymi wytworzyły się wprawdzie nowe narodowości, lecz to było koniecznością dziejową a nie zasługą dynastów. Wiarę zaś krzewiło duchowieństwo a nie królowie germańscy.

Pan Walewski powynajdywał tyle dobrodziejów ludzkości, że ta biedaczka w nie małym być musi kłopotcie, komu przed innymi ma wynurzać swą wdzięczność za ocalenie z sieroctwa, w które popadła po rozbiciu państwa rzymskiego. Prawiąc o zasługach Germanów w odrodzeniu ludzkości, przeskakuje nasz autor nagle do Prusaków dzisiejszych i odmawia im stanowczo prawa poczytywania się za Niemców. Moznaby go słusznie zapytać, czy mówi na seryo, czy sobie stroi żarty z swych czytelników? Wszakże jako historyk powinienby wiedzieć, że niemieccy krzyżacy wyplenili prawie ze szczętem pierwotną ludność pruską a natomiast sprowadzili osadników niemieckich, a pozostałe resztki Prusaków Niemczyli także bardzo starannie; że następnie po utworzeniu księstwa pruskiego, jako lenna polskiego, lenno to dostało się margrabiom brandeburskim, którzy byli czystej krwi Niemcami, a osiągnąwszy najprzód uwolnienie z lennictwa polskiego w r. 1657, i tytuł królewski (w 1701.) mienili się wprawdzie królami pruskimi w przewidzeniu późniejszej aneksyi na podstawie i prawem niby tego tytułu, lecz w rzeczy widzieli

główną siłę i potęgę w niemieckich swych posiadłościach i zawsze uchodzili za Niemców i byli téż nimi. To téż i te-  
 raźniejszy król pruski uzyskał w r. 1871 nie na podstawie  
 posiadania małego i całkiem zniemczonego księstwa pruskiego  
 ale jako posiadacz rozległych prowincyi czysto-niemieckich  
 godność césarza zjednoczonych Niemiec. Walewski chciał  
 tym dowcipem dokuczyć Niemcom, wyszydząc ich niejako,  
 że na tron swój cesarski wynieśli króla Prusaka, a zatem  
 potomka obcego rodu. Lecz dowcip nie udał mu się wcale,  
 ponieważ wszyscy wiedzą aż nadto o czystoniemieckim po-  
 chodzeniu nowego cesarza, a i prowincye polskie zabrane  
 przez rząd pruski mogą z własnego niestety doświadczenia  
 niezbitych dostarczyć dowodów o zapalczywój niemieckości  
 tego rządu.

Nader ciekawém jest historyozoficzne uzasadnienie pra-  
 wowitości i lojalności. Pan Walewski pisze bowiem (str. LXIV  
 i LXV): „Jednością historii narodowój, nicią po którój się  
 snuje pasmo wypadków miejscowych, ludowych, jest dynastya  
 twórczyni państw i narodów, zatem matka ojczyzny. Należy  
 się jój wdzięczność, wierność od narodu, lojalność obywateli  
 dla króla. Jedynie prawowitość pierwszej i szczérość drugiej  
 mogą być podstawą dobra narodu i ojczyzny. Jeżeli się za-  
 chwieje ta podstawa, bądźto przez materyalizm króla, bądźto  
 przez materyalizm narodu, wtenczas następuje rewolucya,  
 panowanie stronnictw, liczby, gminu, zatem materyalizm  
 obszerny, wydatny, zgubny, najsrozsza kara niebios nad win-  
 nymi i nad niewinnymi. Ale materyalizm raz na zawsze  
 potępiony przez Opatrzność, nie może zwyciężyć ostatecz-  
 nie, staje się pastwą obcych, albo ulega krajowój reakcyi  
 t. j. restauracyi. Ludzie konserwatywni bronią się rewo-  
 lucyi, spiskują przeciw niój. Za błędy króla, gdyby naj-  
 gorszego, nie może być odpowiedzialną dynastya, ani za  
 błędy, gdyby największe narodu, nie powinny być odpowie-  
 dzialnemi następné pokolenia. Prawowitość i lojalność przed-  
 stawiając duchowość zwyciężają, muszą zwyciężyć ludoborstwo  
 jako obrzydły materyalizm. Dla tego to nie ntrzymał się  
 żaden bunt, żadna rewolucya, ani w starożytności, ani w cza-

sach nowych; Opatrzność kierująca światem, będąc przeciwna materyalizmowi, błogosławi zawsze restauracyi, chce zachowania społeczeństw i ludzkości. Sam bunt panów feudalnych, z kąd inąd dobroczynnych, a za którymi stanęło wszechrycerstwo, nie zdołał pokonać królewskości i właśnie przyczynił się do jęj wybitnej dziedziczności, nie zdołał pokonać lojalistów, przeciwnie utworzył im pole wielkie przez świetne zwycięstwo prawowitości. Słowem, najwyższą siłą na ziemi jest obok kościoła lojalność dla dynastji. Wyjątku od tego prawidła nie znają ani dzieje powszechne, ani narodowe, jeno nauczają, że wszelki występek przeciw tym świętym zasadom do zgubnych następstw doprowadził i każda rewolucya wszędzie była, jest albo będzie ukaraną.“—

Przytoczyłem ten ustęp długi, aby wskazać sposób rozumowania i dowodzenia autora. W sumach teologicznych ascetów średniowiecznych nie rażą takie wywody, ponieważ tam jest mowa o rzeczach niedocieczonych, ujętych w szereg dogmatów, wymagających wiary a nie dowodu. Lecz w historyozofji nie można wojować dogmatami, a każde twierdzenie należy udowodnić szeregiem faktów niewątpliwych i nie naciąganych. Walewski zaś stworzył dogmata historyozoficzne i każe w nie wierzyć z taką samą bezwarunkowością jak w dogmata kościelne. Takiemi dogmatami zebranými w credo jego społeczno-polityczne są: Wierzę w święte a zatem nie-tykalne prawa dynastji, mającej na sobie cechy boskiego pochodzenia; wierzę w sakrament lojalności i wierności tudzież prawowitości ustanowiony od samego Boga, który każde powątpiewanie w tęg mierze zaliczył do grzechów śmiertelnych, nie mogących liczyć na przebaczenie ani w tęg ani w przyszłym życiu; wierzę, że każde targnięcie się na święte prawa dynastji naraża państwa i narody na największe kary niebios a w razie niepoprawności wiedzie je nawet do upadku i zatury; wierzę, że bunt i rewolucya prędzej lub później muszą być ukarane; wierzę że Bóg zawsze błogosławi restauracyi i że od niej zależy zachowanie społeczeństw i ludzkości itd. itd. Wolno p. Walewskiemu wierzyć w te dogmata, które sam wymarzył, lecz skądże znów uroszczenie, by i drudzy

z równie ślepą w nie wierzyli wiara? Papieża ogłosił sobor powszechny nieomylnym, ale panu Walewskiemu nikt dotąd, ile wiemy, nie przyznał daru nieomylności, z czego wynika, że skoro chce zreformować naukę dziejów, winien każde twierdzenie udowodnić, ponieważ historyk lub historyzof nie może przecież prawić ludziom: „Wiercie na oślep, co wam mówię, gdyż inaczej nie będziecie zbawieni.“ Przytoczony zaś powyżej ustęp wskazuje najlepší, że autor żąda wiary bez dowodów, gdyż zaręczenie jego, że ani dzieje powszechne ani narodowe nie znają wyjątku od jego dogmatu (prawidła) nie jest dowodem. Przeciwnie spostrzegamy w dziejach tak liczne wyjątki od tego prawidła mniemanego, że słusznie może zadziwiać podobne twierdzenie ze strony p. Walewskiego, który przez lat 25 był c. k. profesorem dziejów powszechnych w uniwersytecie jagiellońskim, a tém samém powinienby z niemi o tyle przynajmniej być obeznany, co piérwszy lepszy z jego słuchaczy. A wtedy wiedziałyby naturalnie, że Szwajcarya nie przepadła bynajmniej, chociaż przed pięciu z górą wiekami podniosła bunt przeciw władzy cesarza i jego namiestników wypędziła; że Anglii nie dotknęła ciężka kara niebios za wypędzenie prawowitéj dynastyi Stuartów; że zjednoczone stany północnej Ameryki mimo dokonanego buntu i zrzucenia jarzma poddałości kwitną, rozwijają się i wcale nie mają powodu do zazdrosczenia państwowi monarchicznemu szczęściu spływającego na nie z niebios za wierność i lojalność dla prawowitych dynastyi; że nawet Francya mimo wielkiej rewolucyi swój r. 1789 i wypędzenia Burbonów nie obawia się zagłady, skoro wbrew zabiegom legitymistów i lojalistów i bez restauracyi w tak krótkim czasie dźwignęła się z chwilowego upadku; że dziś najgłówniejsi przedstawiciele prawowitości dynastycznej liczą się z czynami dokonanými a godząc się na takowe jak n. p. we Włoszech, nie przedsięwiorą jak ongi wypraw restauracyjnych, ale przyznają narodom prawo stanowienia o sobie bez względu na prawa dynastyczne, które Walewski mieni świętými i nietykalnými. Twierdzenie zatem jego, że dzieje nieznają wyjątków od owego prawidła, jest nie zgodne z faktami dziejowými zestawionými powyżej.

Autor odpowie nam niewątpliwie na to, że chociaż kara za tak zbrodnicze czyny nie nastąpiła jeszcze, jest przecież rzeczą niezawodną, że takowa nastąpi w bliższej lub dalszej przyszłości. Lecz w podobne proroctwa nie wierzą dziś ludzie a za to wymagają w filozofii dziejów dowodów opartych na faktach, których nie zastąpią twierdzenia w sposób niewątpliwych dogmatów sformułowane.

Przechodząc do filozofii dziejów polskich, powiada Walewski (str. LXXV): „Głównie dla tego nie mamy filozofii historyi, ponieważ nasi pisarze lękali się powiedzieć prawdy, mianowicie gdyby gorzką, łudzeniom nieprzyjazną była. W opowiadaniu dziejów jakiej bądź epoki, w rozbieraniu, w analizie faktów pojedynczych i położeń, nie trudno pominąć prawdę, albo ukryć ją starannie. W zbiorowém, w systematyczném wystawieniu dziejów jest to nie podobnóm, bo synteza dziejów, t. j. filozofia historyi, zdaje rachunek z dziejów całych, skraca go formułkami, więc jest zniewoloną do wyrzeczenia ostatniego słowa prawdy, albo naciągany rachunek okaże się namacalnie mylnym. Kto z moich czytelników uważnie o filozofii dziejów powszechnych czytał, znaczenie zasady dynastycznej rzetelnie rozważał, ten się domyślił ostatniego słowa filozofii dziejów polskich, zasada bowiem jednych i drugich musi być ta sama.“ — Autor, który nie ma dokładnego pojęcia o filozofii dziejów, jest w błędném mniemaniu, że takowa polega na wypowiedzaniu prawd gorzkich, łudzeniom nieprzyjaznych lub zestawianiu przepisów i prawideł postępowania. Zadanie filozofii dziejów jest nieco inne i daleko wyższe, niż wskazane przez p. Walewskiego, przeistaczającego ją w zwyczajną publicystyczną rozprawę. Ma ona bowiem na podstawie ścisłego i wszechstronnego badania niezliczonych faktów wskazać prawa rozwoju dziejowego ludzkości lub narodu, a oraz warunki, wśród których tenże się odbywał, a które albo mu sprzyjały, albo nań oddziaływały nieprzyjaźnie. Celem jęj ostatecznym jest prawda, ale nie w tém pojęciu jak ją określił autor, któremu się zdaje, że zestawienie kilku formułek apriorycznych tworzy jęj zasób, i że to wystarcza do miotania obelg na każdego, kto albo

w tych formułkach nie spostrzeżę wyniku rachunku ściśle i umiejętnie przeprowadzonego, albo nie stosował się do nich w swém postępowaniu. Twierdzenie jego, że dla tego głównie nie mamy filozofii dziejów, ponieważ nasi pisarze lękali się wystąpić z prawdą a szczególnie z prawdą gorzką narodowi i niszczącą jego złudzenia, świadczy jedynie, że z jednej strony nie obeznał się powierzchownie nawet z porozbiorową literaturą naszą historyczną, a z drugiej nie ma wyobrażenia o ogromie prac przygotowawczych, które dostarczyć mają historyzofowi potrzebnego materiału, a których wśród istniejących dotąd stosunków niepodobna było dokonać. Gdyby bowiem był się obeznał z pierwszą, nie byłby pewnie śmiało wystąpić z zarzutem, że pisarze nasi się lękali tknąć niemilęj narodowi prawdy, a gdyby był sobie przyswoił drugie, nie byłby może porwał się do napisania dzieła, któremu wzięły siły i zasoby jego naukowe żadną nie mogły podołać miarą.

W krótkim wstępie do filozofii ściśle już polskich dziejów powiada p. Walewski (str. 1.), że zasady przezeń głoszone są całkiem nowe w piśmiennictwie naszym. Nie myślę temu zaprzeczać, ponieważ rzeczywiście nikt dotąd nie śmiało z czémś podobnie cyniczném a oraz niedorzeczném wystąpić. Nie mogę zaś podzielać obawy jego, którą w innym wynurza miejscu, że ogółowi nie nawykłemu do głębszego wnikania w filozoficzne znaczenie dziejów trudno przyjdzie objąć i zrozumieć utajone w nich prawdy, ponieważ książka jego, lubo ochrzczona szumną nazwą filozofii dziejów, jest aż nadto łatwą do zrozumienia. Raczej powinien się być obawiać, że tę pseudofilozofią jego ogół narodu odepchnie z obrzydzeniem.

## II.

### Odkrycia . . . . . z Pana Walewskiego.

---

Autor łamie sobie niepotrzebnie głowę (str. 6.) nad powodami, które mogły skłonić Ottona III do zwiedzenia Gniezna. Lakoniczne zapiski kronikarskie nie wyjaśniają wypadku w rzeczy nawet nie zbyt ważnego. Nie należy bowiem zapominać, że Otto III. był wtedy, gdy się wybrał do Gniezna, młodzieniaszkiem, i dla tego nie można mu podsuwać ani zbyt wielkiej przenikliwości ani głębokich kombinacji politycznych, jak to czyni p. Walewski. Mógł tak dobrze zjechać do Gniezna, aby zwiedzić grób św. Wojciecha, którego znał osobiście, jak mogła się do tego przyczynić i ciekawość poznania Bolesława Chrobrego, o którego dzielności i potędze wieść doleciała aż do Rzymu, gdzie młody cesarz przebywał. Lecz p. Walewski podniósł te odwiedziny gnieźnieńskie do znaczenia faktu pierwszorzędnego, i upewnia, że cesarz Otto III. „z obowiązku narodowościom samodzielnym przyjazny, do powiększenia niemi Rptój chrześciańskiej dążący, naśladował dziada (Ottona I.) i chciał mieć w Bolesławie Chrobrym obrońcę granic św. Imperyum, margrabiego, za co już uchodził Mieczysław I.“ Że cesarze niemieccy z domu saskiego a nawet ich następcy, rościli sobie prawo do światowładztwa, jest rzeczą wiadomą, lecz dopiero p. Walewski przyznał im to powołanie i podsunął mu znaczenie historyozoficzne. Same jednakże czyny Bolesława świadczą najlepiej, że jak dziś nikt nie uznaje w p. Walewskim pierwszorzędnego dziejopisa i historyozofa, tak król ten chrobry nie uznawał uroszczeń cesa-

rzów niemiecko-rzymskich i nie poczuwał się wcale do obowiązku odgrywania roli ich margrabiego i obrońcy granic św. Imperyum. Uroszczenia te cesarzów z jednej a papieżów z drugiej strony zamącały świat i zamącają go dotąd, a oświata nie polega na tém, aby je otaczać aureolą, uznawać jako prawa im należne i podnosić je do zaczenia prawd i zasad historyzoficznych. Ludzkość byłaby się obeszła bez tych zbrojnych i niezbrojnych opiekunów, jak dziś byłaby szczęśliwszą, gdyby nie ci opiekunowie, którzy utrzymują miliony zbrojnych zastępów, aby ją po swojemu uszczęśliwiać przez upuszczanie jój krwi od czasu do czasu.

Autor twierdzi (str. 8.), że Naruszewicz i Lelewel „nie-dokładnie obeznani z historiją powszechną“ nie rozumieli znaczenia wyrazów kronik średniowiecznych, jak między innymi wyrazów „miles Imperatoris factus.“ Jest to twierdzenie dziwaczne i śmieszne zarazem, zwłaszcza gdy autor zarzuca obu tym dziejopisom i badaczom „srogie błędy“ a dla czego? Ponieważ nie mogli się wznieść do jego pojęć historyzoficznych o godności cesarza, jako głowy świeckiej całego chrześcijaństwa. Gdyby p. Walewski się był zastanowił nad tém, że Lelewel był w całej Europie znany jako głęboki badacz przeszłości nie tylko polskiej ale i powszechniej, czego dowodzą znakomite dzieła jego, gdyby był zważył, że tenże był najwszechstronniej obeznany z dziejami powszechnymi, nie byłby pewnie śmiał mu odmówić tak elementarnej wiedzy, jaką jest nomenklatura łacińska średnich wieków.

Co autor prawi (str. 10. i następne) o potrzebie filozofii dziejów powszechnych, miałoby znaczenie, gdyby umiał tego dokonać. Właśnie dla tego, że filozofiją dziejów naszych należy łączyć z historyzofiją powszechną, winna ostatnia zawierać w sobie prawdy i zasady wysnute z samej rozliczności wydarzeń i faktów, a nie mrzonki i tendencyjne mamidła nazwane bezpodstawnie zasadami, wedle których ludzkość miała się niby rozwijać. Gdyby urojenia wystarczały, mógłby pierwszy lepszy, który się z jednego kompendyum powierzchownie obeznał z dziejami, zaraz zasiąść do pisania historyzofii, ponieważ potrzeba mu tylko nieco natężyć wyobraźnię, aby wymyślić

jakąś teorią i do niej ponaciągać wedle upodobania faktu. Tak postąpił sobie i p. Walewski. Odkrywszy majestat w Rzymie, ustroił weń Cezarów i ich następców, skojarzył cesarza z papieżem, dodał im królów z bożej łaski i hierarchów duchownych i świeckich do pomocy, ubezpieczył ich z jednej strony zasadą pracowitości a z drugiej obowiązkiem lojalności, ciężącym na hierarchyi i oto gotowy materiał do zbudowania historyozofii. Dziwi nas tylko, że ją zaczął od Cezara a właściwie od ery chrześcijańskiej. Jakże zrozumieć, co się działo przedtém? Czyż zasady odwieczne, normujące rozwój ludzkości i jej cząstek, były w omdleniu i nieczynne przed naszą erą? Z tą erą mógł nastąpić zwrot na lepsze lub gorsze, lecz zasady musiały przecież i przed nią rządzić światem. Cezaryzm i papieństwo mają jako jedy-nowładztwa przez ludzi sprawowane strony dodatnie i ujemne, a przyznanie im majestatu lub nieomylności nie uchyli ostatnich. W historyozofii zresztą wygląda dziwnie przyznanie człowiekowi nieomylności, która z pomocą jedynie cudu mogłaby się stać jego udziałem. Jako dogmat religijny należy ona wraz z innymi dogmatami do teologii a nie do historyozofii, która niemi nie może się zajmować z tego już względu, że jej zadaniem jest dociekanie prawdy na drodze najwszechstronniejszego ścisłego badania, a kościół wymaga bezwarunkowej wiary w ustanowione przezeń dogmata.

Autor zarzuca innym, że dzieła swe historyczne zapełniają deklamacyami, a sam przeszedł wszystkich w tej mierze, ponieważ wydrukował spory tom czczych deklamacyi, którymi nie uzasadnił bynajmniej praw cezaryzmu, papizmu i rojalizmu do rządzenia światem. Sam bowiem fakt istnienia w dziejach owych jego trzech powag naczelnych nie uzasadnia przyznanego im prawa wyłącznego, a jeżeli z przywłaszczenia dokonanego w starożytności wynikło rzeczywiście takie prawo, w ówczas nie pojmujemy, dla czego autor tak piorunuje na przywłaszczycielstwo Wilhelma I, Napoleona I. i innych, lub na liberalizm, republiki, sejmy i t. d. Jest to rażąca z jego strony niekonsekwencja, której nie naprawi twierdzenie, że nowsze przywłaszczenia i zmiany były dziełem rewolucyi a więc

wynikiem materyalizmu, ponieważ autor powinienby jako historyk wiedzieć, że i wszystkie powagi jego powstały wskutek rewolucyi, która musiała wprzód obalić istniejący dawny porządek rzeczy, zanim mógł się wytworzyć nowy na jego gruzach. Jeżeli więc dla tamtych wysnuł z samego tytułu pojawienia się faktycznego na widowni dziejowej wspomniane prawa, z jakiegoż powodu odmawia tym równego prawa bytu? I o Grecyi, tudzież o Rptej rzymskiej dałoby się nie jedno powiedzieć a z ich dziejów całkiem inne wysnuć zasady, niż wykryte przez autora, a obok tego inne wykazać przyczyny ich upadku, niż podane przezeń. Główną cechą jego historyzofii są owe naczelné powagi, bez których opiekuńczego i zbawczego współdziałania ludzkość i narody musiałyby przepaść niepowrotnie. Lecz jakimże cudem obchodziła się bez nich ludzkość przed erą chrześcijańską? O działaniu zaś tych powag opiekuńczych rozpowiadają dzieje bardzo wiele niepochlebnych rzeczy. Ich ciągle spory o rozciągłość władzy, ich nienasycona chciwość i ambicya były przyczyną wszystkich wojen, które świat zalewały krwi strumieniami. Piastunowie władzy naczelnéj nadużywali jéj aż nadto często, gdyż byli ludźmi, a samo uwieńczenie ich głowy tiarą lub koroną i symboliczne namaszczenie nie uwalniało ich od przywar i ułomności, jakim podlegają wszyscy inni śmiertelnicy. To téż każdy z nich dążył do nieograniczonego niczém samowładztwa, czyli do owego; „l' état c' est moi“ Ludwika XIV, i dzierzył takowe, skoro się dało, w sposób najczęściej bardzo niekorzystny dla rządzonych. Nadużycia władzy musiały zrodzić najprzód powątpiewanie o jéj pochodzeniu z bożéj łaski, co spowodowało następnie zaprzeczenie a w końcu czynną protestacyą czyli rewolucyą, która przypominała owym powagom prawo przyrodzone wszystkich bez wyjątku ludzi, a depcących takowe zniewalała do ich uszanowania, w razie oporu gruchotała ich częstokroć bez miłosierdzia. Autor mieni to materyalizmem, targaniem się na wolę bożą bez względu, czy szło o ograniczenie tylko władzy, jaką pragnęły utrzymać powagi jego, czy o ich obalenie całkowite, i potępia bezwzględnie jako walkę ciała przeciw duchowi. Lecz przypuś-

ciwszy na chwilę, że tak jest rzeczywiście, i że te powagi pochodzą od Boga, cóż zrobić w ówczas z głównym pierwiastkiem nauki chrześcijańskiej, z przykazaniem miłości bliźniego? Wszakże ta nauka nakazuje nam, abyśmy w każdym bez wyjątku człowieku widzieli bliźniego, stworzonego na obraz i podobieństwo boskie, a przez miłość mu okazywaną uszanowali w nim samego Boga, w którym każe nam czcić dobrotliwego wszystkich ojca. Nauka ta wypowiada przecież najwyraźniej, że wszyscy ludzie są sobie równi, a tym samym jednako mają prawa przyrodzone, przykazaniem zaś miłości upewnia im używanie tychże. Jeżeli więc owa budowa społeczna na nierówności ludzi czyli na przyznaniu wyjątkowych praw jednym i na odmówieniu praw przyrodzonych ogółowi, jest znamieniem duchowości, wpływem woli bożej, każde zaś przeciwne twierdzenie dowodem materializmu, chcącego opierać się Bogu: w ówczas należałoby ze względu na konsekwencją logiczną potępić bezwarunkowo naukę Chrystusa jako rewolucyjną, gdyż wiodącą ludzi do materializmu czyli do zaprzeczenia duchowości! Przyjmując w całości teorie historyozoficzne autora, niepodobna do innych dojść konsekwencji.

Wiem wprawdzie, że nie od dziś dopiero obrońcy podobnych teorii będących w rażącej sprzeczności z główną treścią nauki chrześcijańskiej, chcieli się ratować od uznania powyższej konsekwencji logicznej wymysłem odpowiedzialności mocarzy obec Boga za wszelkie nadużycia swęj władzy, czyli za pogwałcenie przykazania miłości. Lecz takie odwoływanie się od sprawiedliwości ludzkiej do sprawiedliwości Boga nie uchylało niezliczonych nadużyć i gwałtów a co gorsza nie wprowadzało w czyn wykonywania przykazań miłości chrześcijańskiej. Cóż więc dziwnego, że pokrzywdzeni zapragnęli lepszych rękojmii od owego teoretycznego odwoływania się do sprawiedliwości boskiej, które w praktyce okazało się najzupełniej bezowocnym? Doświadczenie bowiem uczyło, że samo przykazanie miłości nie było wystarczającym do powściągnięcia żądź i namiętnych usposobień ludzkich, skoro wbrew temuż działały się kradzieże, mężobójstwa, krzywoprzysięstwa,

falszywe świadectwa, cudzołóstwa i rozliczne inne zbrodnie, i dla tego musiano surowe wprowadzać ustawy, aby w części przynajmniej zaradzać tym ciągłym wykraczaniem przeciw przykazaniu miłości bliźniego. Tak samo zapragnął pokrzywdzany ogół ustaw zabezpieczających go przeciw pokrzywdzającym go mocarzom, którzy także tęp pokrzywdzaniem wykraczali przeciw przykazaniu miłości bliźniego. Wolnoż pragnienie i dążenie do uzyskania takich ustaw, które z natury swój miały na celu ograniczenie władzy panujących, nazwać dziełem materyalizmu, walczącego z duchowością? Pan Wallewski nie przeczuwał widocznie, że teoria jego wiedzie w loicznej konsekwencji do zaprzeczenia idei chrześcijaństwa.

Zgadzam się najzupełniej z autorem, że filozofia dziejów winna być nauczycielką czyli mistrzynią życia, lecz będzie nią wtedy jedynie, jeżeli wykryte w skutek sumiennych badań prawa rozwoju ludzkości, narodu lub państwa zestawi razem i z nich wysnuje zasady, których przestrzeganie jest warunkiem dalszego rozwoju. Czy autor dopełnił w swój historyozofii tego zadania? Bynajmniej, ponieważ nie wykrył praw owych, z których dopiero mógłby był wysnuć zasady.

Autor sili się niepotrzebnie na dowodzenie tego, o czém, nikt dotąd nie wątpił, a mianowicie, że brak nam pierwotnych dziejów. Pierwotne dzieje wszystkich bez wyjątku narodów gubią się w mgłę niepewności. I o Giermanach można to samo powiedzieć, co tu prawi o Polsce. Wszakże i oni wystąpili na widownię dziejową czyli według jego opowiadania obrazowego urodzili się w chwili dopiero zetknięcia się z Rzymianami a co się przed tęp u nich działo, jest taką pomroką osłonię, że z po za niej nic z goła nie widać. Mimo zaś następnych kilkuwiekowych walk z Rzymianami nie pisali sami o sobie nic z goła. Wyręczali ich w tem Rzymianie, a dopiero po przyjęciu chrześcijaństwa zaczynają się u nich między klerem pojawiać pierwsi kronikarze. Jest to zresztą tak przyrodziny porządek rzeczy, że i w Polsce nie mogło być inaczej, a sam brak dokładnych podań z czasów pierwotnych narodu nie wyklucza możności umiejętnego t. j. historyozoficznego obrobienia dziejów jego. Jeżeli dotąd nie mamy filozofii dziejów naszych, nie

wynika to z przyczyn przez autora podanych, ale z trudności które zestawilem już poprzednio. Lecz czyż wydana przezeń pod tak szumnym napisem książka, jest rzeczywiście filozofią dziejów polskich? Czyż rozwiązał w niej którekolwiek z wielkich zagadnień przeszłości? Czyż wskazał prawa rozwoju narodu, jego powołanie prawdziwe? Czyż zestawil przyczyny zbroczeń od tego powołania a oraz następstw, jakie z tąd się wywiązały? Bynajmniej. Jest wiele gadaniny i deklamacyi, ale poglądów filozoficznych na upłynione wieki życia narodowego nie spotykamy nigdzie.

O rozmyślném lub mimowiedném fałszowaniu dziejów przez stronnictwa w Polsce powiem tyle jedynie, że nie tylko u nas się działo coś podobnego. Było tak wszędzie a żadne ze stronnictw, czy ono papieskie, monarchiczne, republikańskie, legitymistyczne, opozycyjne, katolickie lub antykatolickie nie było i nie jest wolném od tego, ponieważ wszystkie są złożone z ludzi a nie z aniołów, w grze zaś namiętności trudno o spokojny pogląd i o bezstronne lub czysto-przedmiotowe ocenianie wypadków i zajęć drażliwej natury. Tak było, jest i będzie zawsze. Lecz zarzucając innym to jako zbrodnią, popada p. Walewski w ten sam błąd, i zachodzi dalej nawet, ponieważ nikt przed nim nie fałszował w tak rażący sposób dziejów przeszłości.

Twierdzenie jego, że filozofia dziejów polskich ma odtworzyć i te części tychże, które przepadły na zawsze dla właściwej historii, jest niedorzeczném. Historyozofia bowiem nie wyszperuje faktów, nie bada szczegółów składowych tychże, ale wnika w ich ducha i wskazuje prawa, których były wpływem. Badanie szczegółów należy do historii właściwej, która ma dostarczyć filozofii faktów niewątpliwych i z wszelkich naleciałości oczyszczonych. Gdzie nie ma faktów, tam nie stworzy ich historyozofia, ale milczy, ponieważ nie miałyby na czém oprzeć swych twierdzeń.

Autor dowodzi niepotrzebnie aż do znudzenia, że sama historia polska nie ma dat potrzebnych do wyjaśnienia wielu bardzo faktów i że dla tego potrzeba ich szukać w dziejach powszechnych i w dziejach państw i narodów sąsiednich. O

tém wiedzieli już wszyscy od dawna, i nikt téż nie zabierał się do kreślenia dziejów polskich, nie obeznawszy się dokładnie z dziejami powszechnými i całego sąsiedztwa. Zarzut więc jego, że nasi dziejopisowie bez takiego przygotowania się przystępywali do prac zamierzonych, jest bezzasadny a nawet śmieszny, ponieważ pomawia ich o nieznamość najelementarniejszych zasad historyografii.

Pan Walewski zastanawia się (str. 14.) nad skutkami, jakie byłyby wynikły z połączenia Polski z Moskwą pod jedném berłem po śmierci Zygmunta Augusta. Co byłoby następstwem takiego połączenia ówczesnego lub późniejszego, gdyby się było stało czynem, trudno orzekać z pewnością, skoro takowe nie przyszło do skutku. Warto jednakże zbadać, czy takie połączenie przyniosłoby było owe korzyści, jakich się autor spodziewa. Porównajmy najprzód charaktery i usposobienia obu narodów. Te były i są dotąd zupełnie sobie przeciwne. Polacy dążyli zawsze do wolności, a chcąc ją ubezpieczyć przeciw samowładztwu rządu, ubezwładnili go w końcu, czém spowodowali nawet bezrząd, byle tylko ochronić wolność. Moskale nie dbali o wolność i nie pragnęli jej wcale a cała ich duma polegała na tém, że ich car był wszechpotężny. Połączenie tak sprzecznych żywiołów byłoby stworzyło antagonizm rażący, z czego wynikłaby walka o supremacyą polityczną. W tej walce stałby car po stronie swych Moskali, ponieważ chciałby i w Polsce według tych samych zasad i prawideł panować, jak w Moskwie, i dla tego dążyłby do stłumienia wszelkiej wolności, coby znów musiało być wywoływać najzaciętszy opór Polaków. Dodajmy do tego różnicę wyznania religijnego, któraby tu ogromną odgrywała rolę, a przekonamy się z łatwością, że takie połączenie miasto przywieść oba narody do zjednoczenia, byłoby tylko spowodowało walkę najzaciętszą między niemi. Car bowiem, któremu kler prawosławny niewolniczo ulegał, nie przyjąłby pewnie wyznania katolickiego i nie poddałby się pod zwierzchnictwo papieża w sprawach religijnych; nie szanowałby również wolności w Polsce i ustaw takową ubezpieczających, ale swými żołdatami byłby pomuszał naród do zmiany wy-

znania i do wyrzeczenia się i cienia wolności. Byłoby to zatem połączeniem żywiołów tak przeciwnych sobie, że niepodobna myśleć o utrwaleniu związku bez całkowitego pokonania jednego z połączonych i nagięcia go pod władzę drugiego. Co zaś do rokowań dyplomatycznych Jana Kazimierza z carem Aleksym, nie należy zapominać, że król nasz nie działał pewnie szczerze, ale mając kilku nieprzyjaciół na karku, chciał się zręcznym zwrotem pozbyć na czas przynajmniej jednego z nich i to najniebezpieczniejszego. Żudził więc cara, któremu się zachciało korony polskiej, nadzieją upewnienia mu téjże. Obietnicy téj nie brał na seryo, gdyż wiedział, że nie potrafiłby jój nawet ziścić, ponieważ nie rozrządzał koroną, którą sam zawdzięczał wyborowi. Gdyby nawet Marya Ludwika nie chciała być forytować wyboru księcia francuzkiego za życia Jana Kazimierza jako następcy tronu, a sam Jan Kazimierz najszczerzej działał był na rzecz Aleksego, musiałyby się być rzecz rozbić o zasadnicze ustawy Rptój. Czy te ustawy były dobre lub złe, nie wchodzi tu w rachubę, lecz zawsze obowiązywały króla i naród, a na ich pogwałcenie trzeba było zamachu stanu, który nie mógł się w ówczas udać, jak świadczy rozbięcie się planów Maryi Ludwiki. Zresztą czyż autor mniema, że Leopold I, ów serdeczny sprzymierzeniec Jana Kazimierza, byłby spokojnym patrzył okiem na to połączenie a raczej wcielenie Polski do Moskwy? Nam się zdaje, że raczej byłby się połączył ze Szwecyą i Francją, aby temu przeszkodzić, ponieważ takie połączenie zagrażało jego własnemu państwu dziedzicznemu. Polska nie miała nigdy usposobień podbójczych, i dla tego nie była groźną sąsiadom. Lecz Moskwa jest podbójczą z natury swój i będzie nią zawsze, a połączenie z nią wcześniejsze Polski bez poprzedniego zaboru gwałtownego musiało się tak samo skończyć zupełnym w nią wcieleniem, jak obecnie po mniemanem jój wskrzeszeniu przez Aleksandra I. Samo terazniejsze postępowanie Moskwy dowodzi najlepiej, że myśl połączenia z nią Polski z zachowaniem wzajemnej odrębności jest mrzonką w nowszych nawet czasach, ponieważ

autokratyzm moskiewski nie może nigdy pogodzić się z ideą, którą reprezentuje Polska, a cóż dopiero w wieku XVI. i XVII?

Pan Walewski oświadcza (str. 17.) łaskawie, że widząc na bezdrożach historyografią polską, postanowił zreformować tę naukę i nowe dla niej utworzyć tory, i że dla tego napisał swą historyozofią. Na takie oświadczenie kategoryczne ośmielam się wynurzyć przekonanie, że sz. autor podjął się pracy, która przechodzi jego siły i zasoby naukowe. Chociaż bowiem zajmował przez lat 25 jako c. k. profesor katedrę dziejów powszechnych w Uniwersytecie Jagiellońskim, wydał kilka dość sporych dzieł historycznych i znalazł się w gronie owych pierwszych dwunastu apostołów oświaty narodowej, którym powierzono utworzenie dzisiejszej c. k. akademii umiejętności w Krakowie: nie dowiódł przecież tak wszechstronnej i gruntownej znajomości dziejów polskich, by mógł rościć sobie prawo do zreformowania téj nauki. Wystąpić z mrzonkami potrafi każdy. Lecz kto chce odegrać rolę reformatora którejkolwiek z nauk, winien wiedzą swą prześcignąć wszystkich na tém polu pracowników i na każde twierdzenie przytaczać dowody czerpane z faktów. P. Walewski utyka atoli strasznie w téj nawet epoce przeszłości naszej, którą objął swemi monografiami, błąka się po omacku w dawniejszych, a dzieje wieku XVIII, szczególnie zaś czasy Stanisława Augusta są mu najzupełniej nieznane, jak to później udowodnię szczegółowo. Na czemże polegać ma ta jego reforma nauki dziejów polskich? Posłuchajmy go samego. „Sama wiara, (powiada na str. 17.) w przyszłość Rptéj i ojczyzny, a do czego Polak obowiązany, byłaby w dzisiejszém położeniu mocarstw i przewrotnych, ciemnych, nic pojąć niezdolnych stronnictw, wielce utrudnioną, niemal niepodobną. Jedyne dowody konieczności Polski zdołają utrzymać i zasilić tę wiarę, a takie dowody może podać jedynie filozofia dziejów, bo dowodząc, że się Polska stała opatrności potrzebną, udowodniła oraz, że dla kościoła i ludzkości jest konieczną.“ „Mimo duchowe, (pisze dalej) prawdziwie duchowe powołanie filozofii dziejów polskich, nawet do nowych odkryć upoważnionej, nie ma ona jednak z oderwanemi teoryami nic wspólnego i wszelkiéj

dowolności w teoriach zwykłej unika, od faktów pozytywnych i od dowodów dokładnych, zupełnych się nie odrywa. Wychodzi z prawdziwych dziejów polskich, wznosi się nad nie wysoko, rzuca okiem na okoliczne stosunki, bada przeszłe, pozaprzeszłe położenia, wznosi się nawet do praw i prawideł dziejowych wiekuistych, wszelako z téj wysokości nieustannie na dzieje polskie spogląda, nigdy ich rzeczywistości z oka nie spuszcza. Domysły wypadków, marzenia o wypadkach, apryoryczne wywody, naprzód ukartowane systemata odsyła do ideologii, do metafizyki dziejowej, czego pełno w Niemczech.“ i t. d.

Przytoczone powyżej ustępy dowodzą najwymowniej, że nasz reformator historyografii polskiej sam właściwie nie wie, na czém ma się zasadzać reforma jego. W pierwszym bowiem ustępie popada w najwyraźniejszą ideologią, skoro każe filozofii dziejów polskich dowodzić, że Polska stała się opatrności potrzebną, w drugim zaś takie apryoryczne wywody odsyła do ideologii i metafizyki dziejowej, a opierać się na faktach pozytywnych, i z nich tudzież z rzeczywistości dziejowej czerpać swe dowody. O wiarę w przyszłość ojczyzny może p. Walewski być spokojnym, ponieważ naród nie utracił jój dotąd, i nie utraci nigdy, czy nastąpi lub nie nastąpi projektowana przezeń reforma historyografii polskiej. Wszystko, co ma w sobie siłę życia i dowodzi jój czynem, jest potrzebne w świecie, gdyż inaczej nie miałyby owéj siły życia. To prawo stosuje się i do narodów, które wtedy jedynie przepadają bezpowrotnie jako niepotrzebne, gdy utraciły własną odrębność i zlały się z innémi, przez co dowiodły, że w nich wyczerpała się już siła życia własnego, i dla tego musiały zaczerpnąć jój u innych, a tém samém przez przejęcie ich życia zatracić swój indywidualizm. Jeżeli naród popadł w takie wyczerpanie sił swych żywotnych, nie ocali go od zagłady ani filozofia dziejów jego, ani zestawienie najrzęczniejsze dowodów, że jego istnienie potrzebne kościołowi lub ludzkości, ponieważ on sam z wyczerpaniem sił żywotności własnej utracą wszelką wiarę w swą przyszłość, i niczém już jój w sobie nie zdoła pokrzepić. Utrata zaś niepodległości

politycznej nie jest dowodem wyczerpania sił żywotnych narodu, lecz wskazuje jedynie, że uległ przemocy obcej, której nie zdołał się oprzeć, i dla tego stał się ofiarą gwałtu na nim dokonanego bądź z własnej winy, bądź téż w skutek niepomysłnego zbiegu okoliczności. Każdy naród pozbawiony swęj niepodległości a w dodatku rozebrany między państwa sąsiednie jest w trudném położeniu pod względem utrzymania swęj siły żywotnej i odrębności indywidualnej, ponieważ przeszkadzają mu w tém zaborcy, pragnący go wynarodowić, to jest, stłumić w nim tę właśnie siłę żywotną i odrębność. Jeżeli zaś taki naród mimo przeszkód i ucisku, żyje dalej swęm życiem własném a objawami ciągłými okazuje swą odrębność, w ówczas dowodzi, że siły jego żywotne nie wyczerpały się zupełnie, że zatem jest potrzebnym w świecie. I taki tylko nie utracą wiary w swą przyszłość, chociaż go przemocą pozbawiono niepodległości politycznej, a ziemię przezeń zamieszkałą podzielono.

Pan Walewski ma całkiem inne wyobrażenie o potrzebie istnienia narodów. Z wywodu bowiem jego (str. 20.) widać, że państwa i narody powstawały tylko wtedy, gdy ich zapotrzebowali papież z cesarzem, którzy z zrządzenia i polecenia opatrności mają zawiadować sprawami Rptęj chrześciańskiej i wychowywać z pomocą królów i hierarchii ludzkość i każdy z narodów. Każdy naród przychodzi zdaniem naszego historyzofa na świat wtedy, gdy papież z cesarzem bez niego nie mogliby się byli obejść wśród danych okoliczności. Tak przyszła na świat w sam czas (w X. w.) i Polska, powołana do bytu przez opatrność ku pomocy papieżowi i cesarzom z domu saskiego! Po co prawić takie dziwadła ludziom, i okraszać je nazwą filozofii dziejów? Polska była przecież od wieków na świecie, organizowała się w właściwy sobie sposób od dawna a to przez zrzeszanie się z sobą gmin jednoplemiennych, i miała już od stu lat rząd nawet sprężysty, zaprowadzony przez Ziemowita, zanim ją według zdania p. Walewskiego zapotrzebowała opatrność na rzecz papieżstwa i cesarstwa. Lecz autorowi potrzeba było urodzenia się Polski w wieku X., który z jednéj strony odznaczał się

burzliwością, a z drugiej restauracją ludzkości pod władztwem cesarza Ottona I, aby na tój podstawie oprzeć wszystkie znamiona charakteru narodowego Polaków, to burzliwego i do anarchyi skłonnego, to znów skupiającego się w sobie i dążącego do restauracyi, i aby dalej z tój chwili urodzenia się Polski wyjaśnić, dla czego z taką łatwością upadała i znów dźwigała się z upadku. Jest to rzeczywiście zadziwiające odkrycie dziejowe, godne takiego historyzofa jak p. Walewski.

Lecz posłuchajmy, co sam o tém pisze (str. 22 i 23.): „Skoro w całej historii powszechnój podobnego zjawiska nie spostrzegamy, uważać je za właściwość naszego narodu musimy; więc badajmy przyczynę, czemu często upadał i znów się podnosił. Czas urodzenia tłumaczy to tylko w części, inne bowiem narody, co także w wieku X. swój żywot polityczny rozpoczęły, zdołały zażegnać wpływy burzliwego czasu. Śledźmy więc miejsce urodzenia Polski. Dopatrzyłem się, że miejsce urodzenia Polski, fakt arcyważny pod względem oświaty, ustaw i bezpieczeństwa, było nader niefortunne, od głównych ognisk kultury, od Rzymu, Carogrodu i zachodniej Giermańszczyzny oddalone, gdzie zatem młode społeczeństwo ani tradycyi po starszych narodach, po Grekach, Rzymianach i Frankach, ani wzorów, ani nawet pojęć organizacyjnych nie zastało, po swych sławiańskich i pogańskich rodzicach wyobrażeń rządowych nie odziedziczyło. Urodziła się więc Polska pół-dziką, pół-dzikiemi narodami otoczona, najistotniejszych ustaw, do ładu koniecznych, była pozbawioną, a od Sławian niesfornych pożyczyć ich nie mogła, zaś pożyczeniu ich od innych narodów przeszkadzało miejsce urodzenia, od krajów oświeconych wielce oddalone. Musiała zatem, nie mając przykładów, stać się sama wzorem i improwizować ustawy. A ponieważ improwizowane, nie na tradycyi oparte, potęgą czasu niewzmocnione ustawy, muszą być słabemi, więc dla tego brała w Polsce górę społeczna i polityczna niesforność, prowadziła naród do upadku, zwłaszcza, że był oraz bezpieczeństwa na zewnątrz pozbawionym, a co rozwojowi ustaw koniecznie przeszkadzać musiało.“ Wykazawszy szczęśliwsze w tój mierze położenie innych

narodów a szczególnie Franków, powiada (str. 24.): „Takiem nie było stanowisko przodków Polski dzisiejszej. Nie nastąpili oni po rządach oświeconych, nie byli zdobywcami kraju bogatego, wykształconego i urzędzonego jak Galia; zostali następcami jedynie Sławian, którzy się gnuśnością i bezrządem odznaczyli. Nadto musieli Polacy w obronie swych dzikich siedlisk wśród bagien i lasów walczyć nieustannie ze sławiańskimi i innymi plemionami. Zaiste nie było to pierwiastkowe położenie zazdrości godnem, lecz ze wszech miar okropnem. Naród polski istny syn natury, bez tradycyi i bez przewodnika, a nawet bez Boga, był zostawiony samemu sobie, wszystkim bodźcom dobrym i złym człowieczeństwa.“

I oto obrazek, w którym autor chciał streścić całe pierwotne dzieje Polski, aby potem mógł zeń wysnuwać wszelkie arcy pocieszne pomysły swe historyzoficzne. Warto się zastanowić czy obrazek ten zdjął z natury, czy też skreślił go według własnych uwidzeń? Co do mniemanego czasu urodzenia się Polski, który miał w nią wszczepić dwa tak sprzeczne przymioty jak skłonność do upadania i dźwigania się z upadku, wskazałem powyżej, że autor pomylił się w obliczeniu tego czasu, a tém samém rozumowania jego oparte na chwili pojawienia albo urodzenia się Polski są luźną tylko gadaniną. To samo da się powiedzieć i o tak niefortunném w oczach autora miejscu przyjscia jęj na świat. Wyłoniwszy się ze Sławiańszczyzny, rozwijała się Polska przez wieki w właściwy sobie lubo czysto sławiański sposób, zanim się zetknęła w wieku X. nad Odrą z niemieckimi margrabiami, którzy zaodrzańskich jej pobratymców w znacznej już części podbili pod swe władanie. Pierwotne jej urządzenia wynikłe ze zwyczajów i tradycyi sławiańskiej były gminowładne, a miejscowość zajęta sprzyjała usposobieniu jej mieszkańców, wstrętnych każdej centralizacyi. Liczne gminy rozsiadłe wśród bagien i lasów i żyjące swobodnie, oddawały się spokojnym zajęciom rolniczym, a nie podlegając sobie wzajemnie, łączyły czyli zrzeszały się z sobą w wspólnych potrzebach. Każda z gmin zrzeszonych rządziła się

sama u siebie, a sprawami ich wspólnymi zawiadywała rada, złożona z wybieranej przez gminy starszyny, która zbierając się peryodycznie w miejscu ogrodzonym, nazywała się wiecem. Wiece te nabrały z czasem większego znaczenia, ponieważ przyznano im prawo nakładania na gminy ciężarów na potrzeby wspólne i sądownictwo w wyższej instancji. W miejscu ich zbierania powstawały również świątynie, w których się odbywały wspólne obrzędy religijne gmin zrzeszonych. W tym czasie pierwotnego rozwoju wyrobiły się tradycya i obyczaje, a naród doszedł do takiego stopnia oświaty, jaka wśród owoczesnych stosunków i wpływów miejscowych bez zapożyczania się u obcych była możliwą. Z tego, co nam pozostałe z owych czasów zabytki i urywkowe zapiski obcych podają o Sławianach w ogóle a o naszych przodkach w szczególności, można słusznie wnosić, że Polacy nie tylko nie ustępowali pod względem oświaty współczesnym plemionom germańskim, ale ich nawet w niej przewyższali, że zatém w chwili zetknięcia się orężnego z margrabiami niemieckimi nad Odrą, nie byli ludem pół-dzikim, jak powiada p. Walewski. Prawdą jest niewątpliwą, że nie mieli wzorów pozostałych po Grekach i Rzymianach, aby na nich się kształcić i wedle nich urządzenia swe urabiać; lecz z tego nie wypływa bynajmniej, że już dla tego nie było u nich ani tradycyi, ani nawet pojęć organizacyjnych, i że ustawy swe musieli improwizować. I owszem przechowała się u nich tradycya rodzinna, wywierająca na całe ich ustawodawstwo wpływ najlepszy, a co w niém spostrzegamy wadliwego, wynikło właśnie z naleciałości obcych. O pojęciach zaś organizacyjnych narodu świadczy przecież sam fakt znany powszechnie, że w czasie zetknięcia się z Niemcami była Polska państwem już należycie zorganizowanym. Co więc p. Walewski napisał o pierwotnych czasach jej istnienia, nie jest oparte na rzeczywistości dziejowej, ale jego własnym wymysłem.

Przyznając narodowi polskiemu wielką twórczość, niepospolitą jeniałość i oryginalność, przebiega autor w krótkim zarysie współdziałł jego w powszechném dążeniu ludz-

kości do nowożytnej oświaty, która ma wyzwolić ducha ludzkiego z pęt, włożonych nań w wiekach średnich. Rzecz prosta, że takie dążenie do wyswobodzenia się z pod narzuconych powag nie może być po myśli jego, i dla tego wtedy jedynie naród zdaniem jego zasłużył na pochwałę, gdy sprzyjał reakcyi i dążył do restauracyi powag zachwianych, to jest, gdy miasto iść z duchem czasu naprzód, objawiał wsteczne dążenia. Lecz i w tém zestawieniu pobieżném nie umiał autor odróżnić, co rzeczywiście było reakcją, a dalej czy takowa była dziełem tylko rządu, czy całego narodu. I tak np. mieni ustawę rządową 3. Maja 1791. restauracją monarchyi i zalicza ją do rzędu objawów reakcyjnych, chociaż w rzeczy ustawa ta była wpływem postępu, skoro ustanowiła rząd prawidłowy, a przytém przypuściła część przynajmniej nieszlachty do używania odjętych jej niesłusznie praw obywatelskich, czém torowała drogę do powolnego zrównania pod względem tych praw ogółu mieszkańców kraju.

Pan Walewski, który w monarchizmie jedynie i dy nastyach widzi podstawę istnienia i rozwoju narodów i państw, sili się w obszernym bardzo wywodzie na okazanie niewątpliwego niby faktu dziejowego, że naród polski hołdował zawsze zasadzie monarchicznój. Tłumacząc wszystko po swojemu, wysnuł z podań dotyczących pierwszego początku rządów monarchicznych w Polsce, czego w nich nie ma bynajmniej. Podania zebrane w kronikach odnoszą się do rozmaitych miejscowości, a chociaż najpierwsi kronikarze nasi zmieszawszy je z sobą, zestawili je w takim porządku, jak gdyby zdarzenia niemi objęte stanowiły pewien ciąg chronologiczny, można przecież po dokładniejszém ich badaniu odróżnić, które z nich do Wielkiej- a które do Małopolski się odnoszą. Z tych podań sumiennie rozważonych widać, że pierwotnie mieszkańcy ziem polskich mieli rządy gminowładne, i że dopiero napady łupieżców sąsiednich i wynikała ztąd potrzeba obrony własnej dały pochód do wytworzenia rządów monarchicznych. W podaniach małopolskich o Krakui Leszku złotniku jest wskazany sposób, w jaki te rządy

powstały. Pierwszy i drugi walczy szczęśliwie z najezdnikami, zyskuje sobie ufność powszechną, i na téj podstawie odziera władzę z przyzwoleniem wdzięcznych rodaków. W podaniach wielkopolskich nie ma takich wskazówek dotyczących powstania rządów monarchicznych, ponieważ wszystkie pochodzą z czasów istnienia już takich rządów i dziedzicznie z ojca na syna przechodzących. Wcześniejsze tam utworzenie się tych rządów jest uzasadnione przebywaniem Gotów w sąsiedztwie Wielkiéjpoli, skąd dopiero w III. w. ery naszéj przenieśli się w strony wschodnio-południowe i osiedli na wybrzeżach morza czarnego. Sąsiedztwo tych podbójców zniewoliło widocznie Wielkopolan wcześniej niż Małopolan do wojen z najazdem, z czego wynikło przetworzenie się ich urzędów gminowładnych już w owéj dobie w rządy monarchiczne. Z tego zaś, co było wpływem zbiegu stosunków i okoliczności, niepodobna wywodzić monarchicznego usposobienia narodu, objawiającego się już w najpiérszój dobie życia jego dziejowego.

Uroiwszy sobie, że takie usposobienie istniało zawsze w narodzie, gniewa się p. Walewski na Kraka czyli Krakusa za przymilanie się zgromadzonemu na wiec Małopolanom. Krak musiał się przecież przymilać zebrany i wskazać im potrzebę utworzenia rządu monarchicznego, jeżeli chciał dopiąć celu zamierzonego, t. j. spowodować swój wybór. Autor nieodróżniając przymilania się przed wyborem od schlebienia nastépnego opinii panującej, wywodzi (str. 42) od doby Kraka ów panujący niby w Polsce zwyczaj, że ci tylko królowie byli popularni, którzy się umieli przymilać narodowi. Jest to jedno z wielkich odkryć historycznych p. Walewskiego. Aby swe twierdzenie poprzeć dowodem, powiada, że Batorego chwalono, gdy się unosił przeciw Jezuitom i Austryakom i oddał sądownictwo w ręce szlachty, „nie mającej ani ściśle dynastycznego, ani feudalnego wychowania, a o prawnicze nauki nie dbającej wcale“, lecz że stracił na popularności, gdy żądał pełnienia służby przeciw Moskwie; i że najpopularniejszym z królów był August III. Co do Batorego, który jak wiadomo nigdy się przeciw Jezuitom nie unosił, skoro

zakładał ich kolegija a w Wilnie oddał im akademią, musimy wprost zaprzeczyć twierdzeniom autora. Nie wojna z Moskwą ale rozmaite czyny samowładne zachwiały jego popularność, a skoro zaczął ściśle przestrzegać ustaw, otoczono go czcią powszechną. Utworzenie trybunałów nastąpiło w samych początkach jego panowania, nie mógł więc przez to odzyskać na chwilę popularność utraconą. O popularności zaś Augusta III. nie wiedzą nic dzieje, jest to rzeczywiście olbrzymie odkrycie p. Walewskiego. Jak wszędzie tak i u nas byli ci tylko królowie popularni, którzy sumiennie i szczerze pracowali nad dobrem i pomyślnością rządzonych, a władzy sobie powierzonej na złe nie używali.

Zastanawiając się nad przyczynami anarchyi w Polsce, upatruje autor najpierwszą w tém, że u nas monarchya nie była takim jak u Giermanów otoczona urokiem zaraz z początku swego istnienia. I tak musiał się Krak przymilać, aby uzyskać władzę, a Popiel przyjąć zaproszenie od chłopca na ucztę postrzyżyn syna tegoż. Wyrażenie się autora jest co najmniej niewłaściwe, ponieważ odbiera cechę wiekowi do którego się podanie o Popielu odnosi. Piast nie był chłopem w znaczeniu, jakie później nadano temu wyrazowi, a Popiel lubo naczelnik narodu, nie był otoczony majestatem królewskości. Różnica stanów nie istniała u plemion sławiańskich i w ogóle u narodów pierwotnych w takim stopniu, jak tam, gdzie w skutek podboju powstała a ludność miejscowa poszła w niewolniczą poddałość podbójców. Podanie zachowane w kronice Marcina przedstawia wiernie istniejące pierwotne stosunki, przypominające dawną równość obywatelską, zwyczajną u wszystkich plemion sławiańskich. Później dopiero zaczęło się to zmieniać i stopniami zacierać przez przeszczerpienie nowych porządków społecznych na wzór państw sąsiedzkich. Zmiany téj zaczął już dokonywać Ziemowit syn Piasta.

Pan Walewski przypisuje zarody anarchyi w Polsce i téj okoliczności, że władza monarchiczna wyszła od narodu. Lecz od kogoż miała wyjść, jeżeli nie od narodu? Jużciż i u plemion giermańskich nie powstała inaczej, a nigdzie

w dziejach nie ma śladu, aby sam Bóg z innej gliny ulepił jakieś odrębne istoty, przeznaczone z góry do panowania narodom. Wszędzie mniej więcej powstawała władza monarchiczna albo przez wybór, albo w skutek przywłaszczenia, a wybrani lub przywłaszczyciele przez przelewanie władzy uzyskaną na swych potomków stali się twórcami rodów czyli dynastji panujących. Takim twórcą dynastji mieni podanie wielkopolskie Piasta, a właściwie Ziemowita, który dostał władzy i takową utwierdził dziedzicznie w swym rodzie. Jakim sposobem władza się przywłaszcza widzieliśmy na włase niejako oczy dwukrotnie we Francji, a to jest nam wskazówką, jak się to odbywało w czasach pierwotnych, otoczonych zewsząd łupieżcami, przeciw którym trzeba się było bronić. Z tego nie wynika skłonność lub nieskłonność narodów do monarchji. Z utwierdzeniem się tych rządów powstały pojęcia dynastyczne, ponieważ ród panujący miał mnogie w rękę środki wpływania na urobienie i wkorzenie się tych pojęć. W braku zaś dziejów pisanych było łatwo podchlebcom wymyślać podania o boskiem pochodzeniu rodów panujących, aby je przez to większym jeszcze otoczyć urokami. Lojalność w znaczeniu właściwem nie była znana Germanom, jak błędnie twierdzi p. Walewski, lecz jest utworem średniowiecznej rycerskości. Był to obowiązek ciężący na każdym rycerzu stawania w obronie swego suzerena. Od istnienia lub nieistnienia wyrobionych pojęć dynastycznych nie zależy dobroć i sprężystość rządu lub ich przeciwieństwo, a z braku tych pojęć nie wytwarza się bezrząd czyli anarchja, jak to wykazałem, mówiąc o naturze i zadaniu każdego rządu bez względu na formę jego. Pierwsza więc przyczyna bezrządu w Polsce, którą p. Walewski wybrał, a którą miał być brak należycie rozwiniętych pojęć o świętości praw dynastycznych, jest najzupełniej bezzasadną.

Drugą mają być „olbrzymie przeszkody do oświaty i ustawodawstwa narodu z powodu czasu i miejsca urodzenia jego.“ Naginając wszystko do swych mrzonek o powagach naczelnych z bożej łaski, upatruje autor tam tylko oświatę, gdzie cześć dla tych powag w całej objawiła się pełni. Dla

tego też powiada (str. 47), że w wieku X. była około Łaby oświata tylko u Niemców, którzy mieli césarza będącego w zgodzie z papieżem. Twierdzenie to nie zgadza się z podaniami zawartými w niemieckich nawet źródłach, z których się okazuje, że oświata owoczesna Sławian nadłabskich w niczem nie ustępywała niemieckiej, a w niejednym ją przewyższała. Chciwość zaborcza Niemców, którzy pod pozorem nawracania pogańskich Sławian na wiarę chrześcijańską, podbijali ich pod swe panowanie i nakładali na nich jarzmo najcięższej niewoli, zrodziła ów antagonizm narodowy, który nie mógł się zmniejszyć, skoro Niemcy zachowali dotąd swą zaciętość w wynaradawianiu innoplemieńców zagarniętych pod ich panowanie. Cóż więc dziwnego, że dawni Sławianie nie chcieli od nich nawet chrześcijaństwa przyjmować i raczej dali stę wytepić, niż wynarodowić?

Pan Walewski wywodzi z czasu i miejsca urodzenia się Polski wzrastanie i upadanie w nią oświaty i naukowości, i radby w nas wmówić, że to wzrastanie jęj i upadanie odbywało się w takim samym stosunku, jak wzrastała lub upadała u nas cześć dla owych powag Rptęj chrześcijańskiej. Twierdzi też stanowczo, że za panowania Zygmunta III. Polska pod względem oświaty doszła do punktu kulminacyjnego. Że oświata u nas jak wszędzie indziej wzrastała wśród sprzyjających jej rozwojowi stosunków a następnie pod wpływem nieprzyjawnego zbiegu okoliczności upadała, jest rzeczą powszechnie wiadomą, a nie mniej, że po przyjęciu chrześcijaństwa z zachodu naród nasz wszedł w poczet zachodnio-europejskich i rozwijał się wprawdzie w sposób sobie właściwy lecz wedle norm, które się na zachodzie wyrobiły, a które nań oddziaływały potężnie. W pierwszych wiekach rozwijała się u nas oświata nader powolnie, ponieważ główna usilność rządu i narodu była w ówczas ku temu wyteżona, aby zespalać w organiczną całość rozprzegające się wciąż żywioły, które weszły w skład państwa polskiego, odpierać najazdy i udaremniać plany zaborcze otaczających je zewsząd nieprzyjaciół. To zadanie spełniali z rozmaitem powodzeniem rządzący samowładnie królowie i książęta z rodu

Piasta. Wśród ciągłego prawie szczęku oręża i klęsk niezliczonych nie mogła się oświata w tej epoce raźniej rozwijać, zwłaszcza że i w zachodniej Europie nie była w kwitującym stanie. Zwrot pomyślny nastąpił u nas, gdy Jagiellonowie osiedli na tronie polskim. Przez połączenie się z Litwą i następne wcielenie Prus spotężniało państwo, a chociaż i teraz trzeba było często odpierać najazdy, ustała przecież potrzeba walczenia o zagrożony byt własny. Odtąd spostrzegamy też coraz raźniejszy wzrost oświaty. Utworzona w Krakowie szkoła główna stała się ogniskiem, z którego promienie światła rozchodziły się po całym kraju. Nadane narodowi swobody rozwijały w nim ducha obywatelskiego a przyznane mu prawo współdziałania w sprawach publicznych wzniewało potrzebę kształcenia się i przyswajania sobie nauki, aby z tego prawa korzystać. W wieku już XV. poczynił naród znaczne postępy w oświacie, a w XVI. stanął na równi z najoświecenijszymi narodami owoczesnej Europy. Dowodzi tego bogata we wszystkich działach i kierunkach wiedzy ludzkiej literatura nasza z tego czasu. Wolność słowa i sumienia była potężną dźwignią, a niekrwawe walki i spory religijne przyczyniły się wielce do zwiększenia ruchu umysłowego, który ogarniał wszystkie niemal warstwy mieszkańców. Powstawały teraz liczne szkoły zakładane przez katolików i innowierców, w których mnogie tysiące młodzieży wszelkich stanów pobierały ulepszoną w niejednym naukę. Poważne grono mężów uczonych szło w zawody z uczonymi innych krajów celem rozszerzenia zakresu wiedzy i przyczyniało się znakomitými dziełami swými do podniesienia nauk nie tylko w własnej ojczyźnie, ale i za jej granicami. Ze schyłkiem jednakże wieku XVI. zaczyna się równocześnie z panowaniem Zygmunta III. reakcja świadcząca o zwrocie wstecznym. Była to reakcja katolicko-jezuicka, która powoli i stopniami ogarniała wszystko, a zaczęła się objawiać przez coraz widoczniejsze ścieśnianie wolności słowa i sumienia. Rzecz prosta, że owoce dwuwiekowej przeszłości pracy narodu na polu oświaty nie mogły od razu zmarnieć, a zasoby nią nagromadzone wystarczały dla pokolenia żyjącego za czasów Zyg-

munta III. i dozwalały mu świetnieć odblaskiem niejako wieku XVI. Lecz kto się dokładnie rozpatrzy w literaturze i ustawodawstwie owego czasu, spostrzeże w nich niezawodnie coraz bardziej uwidniające się cechy ciągłego i stopniowego upadania oświaty i naukowości, a wzmagającego się zamięszania i nieładu pojęć we wszystkich kierunkach wiedzy i życia publicznego. Obca przedtém usposobieniom narodu nietolerancya wzmagą się w miarę coraz większego owładania przez Jezuitów wychowywania publicznego, i staje się w znacznej bardzo części przyczyną tak zgubnych buntów kozackich. W szkołach jazuickich wytwarza się owa literatura panegirystyczna, która schlebując bucie, pysze i zarozumiałej dumie możnych, wysławianych za życia i po śmierci jako wzory doskonałości, przyczyniła się nie mało do zwiększenia bezrządu a oraz do ogłupienia wszystkich. Tak upadały nauki a z niemi oświata przez lat 150 przeszło, a zwrot na lepsze zaczął się w drugiej dopiero połowie wieku XVIII. nie tylko u nas, ale w całej Europie pod wpływem nowych wyobrażeń i pojęć, które śmiali i głębcy badacze zaczęli upowszechniać. Odtąd téż spostrzegamy znów liczniejszych z każdym dniem pracowników na polu oświaty narodowej, a nawet rozbiory kraju polskiego nie potrafiły wstrzymać i zatamować spowodowanego tém ruchu umysłowego. Że z upadaniem oświaty powstawał i wzmagał się w Polsce bezrząd, jest prawdą niewątpliwą, której nikt dotąd nie zaprzeczał. Inaczej być nawet nie mogło. Polska bowiem była Rptą szlachecką, mającą na swém czele króla obieralnego. Jeżeli zatem z upadkiem oświaty ogół szlachty utracił nie tylko poczucie swych obowiązków obywatelskich, ale oraz i świadomość tego, czego wymaga dobro i bezpieczeństwo kraju, cóż dziwnego, że nie mając o niczém jasnego pojęcia, lękał się wiecznie samowładztwa swych królów, a chcąc obwarować przeciw ich wdzierstwu swą wolność stanową, zbezwładnił ich najzupełniej i uniemożliwił w dodatku utworzenie rządu należycie funkcjonującego, czém otworzył na oścież wrota bezrządowi. Jaki zaś związek loiczny zachodzi między tém wszystkim a miejscem i czasem mniemanego urodzenia się

Polski, nie dowie się nikt pewnie z rozwlekłych i dziwacznych wywodów p. Walewskiego.

Trzecią przyczyną anarchii w Polsce ma być zdaniem jego spóźnione i przerywane wychowanie narodu, którą także wywodzi z czasu i miejsca urodzenia się Polski. Z tego bowiem powodu było jej „pierwiastkowe, od rodziców pochodzące wychowanie zaniedbane a nawet dwuznaczne,“ a gdy przytém „nauczyciele byli daleko a zwodziciele blisko,“ musiała więc na wzór wszystkich samouków zastępywać brak systematycznego wychowania improwizacyami, przerywanemi w skutek zbiegu wypadków, Autor ma widocznie dziwne wyobrażenia o wychowywaniu narodów. Jemu się zdaje, że wychowywanie narodu można stawić na równi z wychowywaniem dziecka, i dla tego potrzeba mu wychowawcy. Wiemy o tém, że narody, które wcześniej dojrzały, u których zatem oświata do znacznego rozwinęła się stopnia, mogą korzystnie oddziaływać na inne mniej dojrzałe narody. Lecz z tego nie wpływa bynajmniej, że naród chociażby sam sobie był zostawiony, i nie stykał się z oświeconymi narodami, nie potrafi nigdy o własnych siłach przyswoić sobie oświatę, i że mu koniecznie potrzeba „edukatorów.“ Rozwój jego i oświata mogą się spóźnić, lecz niepodobna nawet przypuścić, że nigdy nie nastąpią. Jaki zaś związek loiczny zachodzi między tém spóźnioném niby i przerywaném wychowywaniem narodu polskiego a anarchją, niepodobna rzeczywiście wyrozumieć.

Czwartą przyczyną anarchii upatruje p. Walewski w niedokładnym rojalizmie Polaków i w niższym stopniu ich uczuć dynastycznych. Zgadza się z nim zupełnie, że uczuć bezwarunkowo wierno-poddańczych nie było w Polsce nawet w epoce Piastów, lecz ztąd nie wpływa jeszcze, że z braku takich uczuć musiał się wywiązać bezrząd. Króla polskiego otaczał zawsze urok majestatu, ponieważ uchodził za pomazańca bożego, któremu należy się cześć i uszanowanie największe. Dla tego utrzymał się aż do ostatnich czasów istnienia Rzptej zwyczaj całowania ręki królewskiej. Lecz otaczając go czcią największą, nie chciano mu przyznawać zbyt rozciąętej władzy z obawy, że jej użyje na pognębenie wolności stanu szlacheckiego,

który z pominięciem a nawet wykluczeniem niższych warstw społecznych siebie wyłącznie zwał narodem. Ta ciągła obawa o wolność była powodem coraz większego ograniczenia władzy królewskiej. Chęć zabezpieczenia się przeciw absolutyzmowi królów sprowadziła ostatecznie zupełne zbez władnienie rządu, z czego musiał się wywiązać bezrząd. Ustawa rządowa z 3. Maja 1791. nie dla tego jest dziełem znakomitým, jak twierdzi p. Walewski, że stworzyła dynastją, lecz dla tego, że założyła podwaliny do prawidłowo funkcjonującego rządu. Zaprorowadzenie dziedziczności tronu uznała większość sejmu z tego wyłącznie względu za konieczną, ponieważ całowiekowe przeszło doświadczenie przekonywało, że wolność wyboru króla była złudną.

Piątą przyczyną anarchii w Polsce miało być zdaniem autora niebezpieczne topograficzne jój położenie pod względem wojennym. Dziwne jest tu rozumowanie jego. Twierdzi bowiem, że ciągła potrzeba obrony spowodowywała częste wyprawy wojenne, które sprowadziły w końcu ograniczenie władzy królewskiej i bezrząd, ponieważ stan rycerski powoływany nieustannie na te wyprawy przywykł w obozach do załatwiania tam spraw politycznych, z czego powstały sejmy i panowanie liczby szlacheckiej. Inne całkiem były początki ograniczenia władzy u nas monarszj, niż podane przez niego. Ograniczenie tójże zaczęło się w czasie podziału Polski na dzielnice, gdy duchowni najprzód a za ich przykładem świeccy panowie nabyli wpływu i znaczenia u spierających się i walczących z sobą dynastów, a co więcjéj uzyskali dość znaczny współdział w sprawach rządowych. Mieszanie się ich we wszystkie czynności rządowe było niedogodne książętom, którzy tójże pragnęli pozbyć się ich wpływu nawet przemocą. Zagrożeńi hierarchowie złączyli się z stanem rycerskim, aby z jego pomocą opierać się monarchom dążącym do samowładztwa. Gdy zaś spostrzegli, że stan ten do zupełnego z nimi zmierzania zrównania, zaczęli się łączyć z królami przeciw niemu, aby przez to ocalić prerogatywy swe i przewagę. Szlachta zdobyła sobie wprawdzie równość obywatelską z panami, lecz równość ta istniała właściwie w teoryi, gdyż w praktyce pozostała przy

panach przewaga. Mimo to zyskała szlachta przez swą liczbę znaczenie jako zbiorowość, a umiłowała swą wolność, zapragnęła dla niej rękojmii przeciw samowładczym zapędom królów, którzy znów nagleni potrzebą radzi nie radzi skłaniali się do ustępstw i sami zaczęli ją zwoływać na narady. Z tego powstały sejmy tak wstrętne autorowi, który im wszystko złe przypisuje, a co więcej zasadniczo je potępia. Złe nie wynikało z samego utworzenia sejmów ale z wadliwego ich urzędzenia. Wykluczenie bowiem nieszlacheckiej masy ludności od wszelkiego w nich udziału wiodło do coraz wyłącześniejszej przewagi jednego stanu ze szkodą reszty mieszkańców i państwa, a zespolenie w sejmie władzy ustawodawczej z sądowniczą i w części z wykonawczą nawet torowało drogę bezrządowi. Przez tak niewłaściwą organizacją sejmów skupiło się wszystko w jednym stanie, który też nie tylko ograniczył zbytecznie władzę wykonawczą królów, ale w dodatku miasto odpowiedzialnego rządu utworzył dożywotnie wielkie urzędy czyli ministerya, a na króla zwałił osobistą odpowiedzialność za czynności rządowe. Wadliwość tych urzędzeń była rażąca, lecz myli się p. Walewski, gdy twierdzi, że w takim składzie stosunków król nawet najmądrzy i najdzielniejszy nie mógł u nas nic zbawiennego zdziałać. Tak nie było, a panowanie Batorego jest najlepszym dowodem, ile król dzielny i mądry mógł dokonać. Samo już oddzielenie władzy sądowniczej od ustawodawczej było ważnym z jego strony krokiem do uporządkowania wszystkich czynności rządowych, a stłumienie wichrzyelskiej fakcji Zborowskich zapowiadało, że przy dłuższym życiu Batory przywiedzie wszystko do ładu i porządku. Lecz na nieszczęście było jego panowanie krótkim, a następne rządy Zygmunta III, tak wychwalane przez p. Walewskiego zniweczyły, co dobrego zdziałał Batory. Odtąd bowiem zaczęły się owe matactwa dyplomatyczne z obcemi dworami a szczególnie z wiedeńskim na niekorzyść Rptej i wolności, czém spłoszony stan rycerski pomówił króla o dążenie do samowładztwa i wystąpił w obronie swych swobód. Z tego ścierania się króla z narodem wywiązały się najgorsze następstwa, ponieważ szlachta

troskliwa o swe wolności, ścieśniała coraz bardziej władzę królewską, i sprowadziła ją w końcu do zupełnej prawie bezwładności. Postępowania jej nie pochwalamy bynajmniej, ponieważ w zbyt szkodliwym zamyśleniu swęj wolności stanowej poświęciła bezpieczeństwo ojczyzny, skoro nie umiała utworzyć rządu, któryby i potrzebne dawał rękojmię wolności i ład mógł utrzymać w państwie a tém obwarować jego bezpieczeństwo. Lecz nierozsądne postępowanie szlachty nie uwalnia od winy Zygmunta III. i jego następców, którzy swęmi mactwami dyplomatycznymi i jawnem dążeniem do samowładztwa wywoływali sami podejrzenie, że nie idzie im o dobro ojczyzny, ale o pognębiecie wolności. P. Walewski nie zbadał należycie przeszłości ojczyściej, i nie wniknął w ducha i znaczenie jęj urzędzeń. Dla tego tęż nie mogąc wskazać prawdziwych przyczyn bezrządu w Polsce, powynajdywał najdziwniejsze.

Szóstą przyczynę anarchii przypisuje izbie niższej, w sejmie rej wiodącej. Autor nie zastanowił się nad genezą i składem sejmów. Pięrcwi monarchowie z rodu Piastów rządziłi samowładnie, uważali się za panów nieograniczonych całego obszaru ziemi granicami państwa objętej, a wola ich zastępywała ustawy. Po śmierci Bolesława Krzywoustego, który podzielił państwo między synów, ustała nieograniczoność władzy, ponieważ już pod Kazimierzem II. powstała rada, złożona z dostojników duchownych i świeckich, którą książę zwoływał w ważniejszych sprawach publicznych. Z tęj rady wytworzył się senat. Za Łokietką spostrzegamy pięrcwszy niejako ślad wezwania stanu rycerskiego na radę wspólną z senatem, co się już częściej powtarza pod panowaniem syna jego Kazimierza Wielkiego. Wraz z rycerstwem mieli udział w tych radach także zastępcy miast. Król zwoływał takie rady czyli zjazdy w naglących potrzebach pięrcżnych lub innych. Na takich zjazdach ratyfikowali zgromadzeni zawarte z Czechami i krzyżakami ugody pokojowe, przyznali następstwo tronu siostrzeńcowi Kazimierza Ludwikowi, przyjęli statut wiślicki, i uchwalali pobory czyli podatki. Zjazdy te odbywały się coraz częściej za Ludwika, Władysława Jagiełły i Władysława

Warneńczyka, lecz dopiero pod panowaniem Kazimiérza Jagiellończyka nastąpiły sejmy w właściwym wyrazu tego znaczeniu. Piérwszy taki sejm zebrał się w r. 1468, poprzedzony sejmikami, na których szlachta wybrała posłów i obowiązała ich instrukcją. Odtąd stało się zwyczajem, że ilekroć król ujrzał potrzebę zwołania sejmu, rozpisywał uniwersały zwołujące go i wykazujące sprawy, które na nim mają być załatwione. Sejm składał się z senatu, w którym zasiadali sami tylko dostojnicy duchowni i świeccy, i z izby poselskiej złożonej z posłów ziem, powiatów i województw, opatrzonych instrukcjami tychże. Kto nie miał dostojenstwa (t. j. urzędu) duchownego lub świeckiego, nie mógł zasiadać w senacie, w którym nie było krzesel dziedzicznych, jak w nowożytnych izbach wyższych. Posłów wybierali ziemianie na każdy sejm osobno. Zwoływanie sejmów należało do prerogatyw króla, który oznaczał téż czas i miejsce zebrania się sejmu. Później ścięsniono o tyle tę prerogatywę jego, że przepisano, aby co dwa lata zbierał się sejm zwyczajny. Sejm nadzwyczajny mógł król w każdym czasie zwołać, lecz za poprzednią naradą z senatem. W sejmie skupiała się właściwie cała władza ustawodawcza w izbie poselskiej, której członkowie opatrzeni instrukcjami swych ziem, powiatów i województw, przedstawiali w rzeczy ogół swego stanu. Z początku bywali na sejmach i wysłannicy miast większych, lecz później ustało to zupełnie. Przewaga izby poselskiej nad senatem wynikała z samego pojęcia systemu reprezentacyjnego. Senat bowiem złożony z dostojników, zwanych później starszą bracią, nie był przedstawicielem narodu, ale doradcą króla. Senatorowie objawiali wprawdzie swe zdania na wszelkie propozycje od tronu, lecz izba poselska rozstrzygała ostatecznie po wysłuchaniu zdań senatorskich. Wskazałem już w poprzednim ustępie wadliwość w organizacji sejmów naszych, z czego téż wynikły wszystkie szkodliwe następstwa, zwłaszcza gdy z powodu tego właśnie wywiązała się zgubna zasada jednomyślności, potrzebnej do prawocności uchwał sejmowych, z której znów wykuło się nieszczęsne liberum veto.

Miasto w ten sposób naturalny przedstawić stan rzeczy, i w wadliwym ustroju wszystkich urzędzeń społeczno-politycznych szukać przyczyny bezrządu, prawi autor dziwa o anarchiczném usposobieniu narodu, wynikłém z czasu i miejsca urodzenia się jego! Takie rozruchy, jak po śmierci Miecysława II. bywały wszędzie, nie wyłączając nawet Moskwy. Dla czegoż w samėj tylko Polsce mają i te rozruchy świadczyć o wrodzoném narodu usposobieniu do anarchii? Była to walka starego obyczaju z nowym, który się nie przyjął jeszcze w powszechności. Bezrząd zaś późniejszy nie wynikł z rewolucyjnego usposobienia narodu, ale ztąd głównie, że za wiele wymyślono rękojmii ku utrzymaniu wolności, a za mało pamiętano o tém, by uposażyć rząd w potrzebną do prawidłowego funkcyonowania władzę. Same sejmy nie sprowadziłyby bezrządu, ponieważ widzimy w tylu państwach urządzonych parlamentarnie rządy silne i sprężyste. Wszakże i ustawa rządowa 3. Maja 1791., którą autor tak wysławia, nie uchyliła sejmu, a zniosła jedynie dawny tryb i sposób sejmowania, który był wadliwym. Autor nie lubi sejmów, ponieważ w nich rządzi liczba. Lecz na to nie ma rady. W każdym sejmie musi rozstrzygać większość, a więc liczba. Wszakże ta liczba płacąca podatki, dająca rekruta i ponosząca mnogie inne ciężary, ma prawo domagania się od rządu, aby wskazał, czy to wszystko obraca na dobro powszechności, czy też przeciwnie. Gdzie są sejmy, tam nie mogłaby taka Katarzyna II. niezliczonych milionów, wydartych mieszkańcom, obracać na ulubieńców i kochanków. Gdyby sejm pruski miał być władzę dostateczną w r. 1861—2, nie byłoby wprawdzie zjednoczonych Niemiec, ale za to nie stałyby dziś w Europie miliony żołnierstwa pod bronią i nie groziłoby wszystkim niemal w nięj państwom zniszczenie ekonomiczne. Autor nie pojął jeszcze téj prawdy, że nie ta lub owa forma rządu ułatwia bezrząd, lecz że takowy pojawia się wszędzie, gdzie władze naczelne nie są w równowadze albo organizacya ich jest w całości lub szczegółach wadliwą.

Twierdzenie jego (str. 62), że szlachta polska dążyła do wszechwładztwa centralizacyjnego, jest niezgodne z rze-

czywistością dziejową, która nas uczy, że usposobienia jej były najzupełniej przeciwne wszelkiej centralizacji i że uszanowanie partykularyzmów miejscowych dochodziło u niej aż do szkodliwego całości stopnia. Wszakże sam zwyczaj dawania posłom na sejm wybranym instrukcyi, których im nie wolno było przekraczać, i owo zgubne liberum veto świadczą najwymowniej przeciw twierdzeniu jego.

Siódmą zdaniem jego przyczyną anarchyi w Polsce był niedostatek w niej feudalizmu. Czym był feudalizm i jak powstał, wskazałem już poprzednio. Był on skutkiem dokonanego podboju, który mieszkańców zdobytego kraju zmienił w niewolników, zależnych osobiście i rzeczowo od zdobywców. Twórcami jego były hordy Giermanów, które zalały prowincye rzymskie. Sam autor przyznaje, że hordy zdobywców były bez oświaty i cywilizacyi, i że takową dopiero po zawojowaniu prowincyi rzymskich przyswajali sobie powoli. Jakimże cudem feudalizm, nadający dziczy panowanie nad masą ludności już oświeconej, mógł uzyskać zaletę dobrego wychowawcy ludu? Wyjaśnia nam to autor po swojemu. Powiada bowiem, że pan feudalny władający grozą, przed którym drżał podległy mu lud okoliczny, był wprawdzie surowym lecz oraz sprawiedliwym, a za nim stał z jednej strony kapłan, powściągający jego namiętności, a z drugiej żona i córki, łagodzące los poddanej ludności! To znaczy, że gdy pan feudalny nadto pastwił się nad poddanym, kapłan wyprosił dla pół nieżywego życie, a pani zamku udzielała mu pomocy do odzyskania zdrowia, co oczywiście nie zawsze się udało. W oczach p. Walewskiego tkwią zalety feudalizmu w wychowywaniu ludności poddanej w tém głównie, że mógł z nią robić, co mu się podobało, i że ją postrachem i srogiemi karami utrzymywał w niewolniczym posłuszeństwie. Rozpływając się nad temi i innymi zaletami feudalizmu, który i lud wiejski wychowywał w posłuszeństwie, i wybryki miast a oraz ich mrzonki o równości poskramiał żelazną dłońią, w końcu zaś utorował drogę królewskości, wpada nasz historyzof w zapał poetyczny i radby widocznie przywrócenia w dzisiejszj Europe tak błogiego stanu! W tym zapale poetycznym drzy na wspo-

wspomnienie (str. 69.), coby się stało dziś ze społeczeństwami europejskimi, gdyby „nagle ustąpiła policya, sądy zostały zamknięte, machina rządowa w swych funkcyjach ustała i wojska rozeszły się do domu!“ Otóż powiada, że za czasów feudalnych nie było tego wszystkiego a mimo to nie przepadła ludzkość dzięki feudalizmowi, który ją obronił! W zapale swym nie uwzględnia natchniony autor takich drobnostek, jak ciągłe najazdy, rozboje i niezliczone bezprawia, których się dopuszczali panowie i rycerze feudalni, a co więcej pomawia o przesady wszystkich pisarzy, którzy z równym zadowoleniem nie unoszą się w swych dziełach historycznych nad zaletami feudalizmu.

Upatrując tak ogromne zalety w feudalizmie, ubolewa p. Walewski nad tém, że w Polsce go nie było w takiej jak na zachodzie i południu rozciągłości. Lecz zkądże się u nas miał wziąć feudalizm, jeżeli nie było podboju jednego plemienia przez drugie? Szlachta nie była przecież napływowym żywiołem, złożonym z zdobywców, ale wyłoniła się w kolei wieków tak samo z ogółu mieszkańców, jak się wyosobniły we wszystkich miastach starożytnych i średniowiecznych rody patrycyuszów. Pierwsi książęta i królowie polscy poczytywali się wprawdzie za panów wszystkiej ziemi granicami państwa objętych, a mając władzę nieograniczoną w ręku, rozdawali ją częściami na wzór monarchów zachodnich, lecz z tego nie mógł się rozwinąć feudalizm, ponieważ nie było podbójców i podbitych. W nadaniach zrzekał się zwykle książę wszystkich lub niektórych tylko praw swoich książęcych, a najczęściej oddawał rozległe i bezludne obszary komuś z prawem i obowiązkiem sprowadzenia osadników. Nie ma zresztą śladu pozostałego z czasów pierwotnych, by wcielanie sąsiednich ziem do rozrastającego się na wszystkie strony państwa polskiego miało cechę podboju, a tém samém dawało powód do zaprowadzania urządzeń feudalnych. Rzecz odbywała się widocznie w sposób właściwy usposobieniu polskiemu. Zajęto kraj a mieszkańców zmuszono do związku na zasadzie równych praw i obowiązków, nie zmieniając ich ani w podwładnych ani w niewolników. Tym bowiem trybem

postępowali Polacy w późniejszym czasie, jak n. p. zajmując Ruś za Kazimierza Wielkiego, której mieszkańcom przyznali wszystkie prawa, jakie mieli sami i nie wyzyskiwali ich na korzyść własną. Z tej samej przyczyny nie mogły u nas powstać urzędy dziedziczne, jak w krajach feudalnie urządzonych. Tu i owdzie były wprawdzie nadania feudalne, lecz te jako wyjątkowe i z całkiem innych przyczyn wyniki nie oddziaływały bynajmniej na ustrój społeczno-polityczny państwa. Nadawanie starostw i królewskich nie miało cechy nadań feudalnych, ponieważ były to albo urzędy, jak starostwa grodzkie, albo nagrody za zasługi (panis benemerentium), i pozostawały w dożywotniem tylko posiadaniu tych, którym je król nadał. Wiele dóbr królewskich a raczej narodowych przeszło wprawdzie przez nadużycie w dziedziczne posiadanie, lecz często wynikało to z tytułu zastawu, a często z niesprawiedliwej łaskawości królów, którzy nie szafowali sumiennie chlebem zasłużonych. Aby zapobiedz zmarnowaniu dóbr narodowych, musiano w drodze ustawodawczej powściągnąć zbytnią hojność królów.

Gdy się u nas z ogółu mieszkańców już za pierwszych Piastów wyosobnił stan rycerski czyli szlachecki albo ziemiański, a lud wiejski poszedł z czasem w poddałość, poczyniła sobie szlachta w niejednym na wzór rycerzy feudalnych. Niektórzy z jej grona pragnęli się znów wywyższyć nad ogół, a tém samym w stanie już faktycznie panującym wytworzyć wyższe szczeble na wzór zagraniczny. Zarodek takiego zeszczeblowania szlachty wyrobił się już za Piastów, a wzmógł się na siłach pod pierwszymi Jagiellonami. Lecz ogół szlachty przychodzący coraz więcej do świadomości swych praw i obowiązków, szczególnie od czasu zaprowadzenia sejmów poprzedzanych sejmikami, rozpoczął walkę z temi zachceniami możnowładztwa, i zwyciężył ostatecznie, ponieważ przeparał ustawę zapewniającą równość wszystkich należących do stanu szlacheckiego. Autora gniewa to niesłuchanie, ponieważ zdaniem jego równość prowadzi „wprost do zguby, do rozwiązania społeczeństwa przez negowanie hierarchii“. Kto takie ma i wygłasza pojęcia, przyszedł widocznie za późno

na świat i powinien się być urodzić w błogich wiekach feudalizmu. Dziś istnieje już wszędzie w Europie równość obywatelska, i to mimo nawet tytułów dziedzicznych książąt, margrabiów, hrabiów, baronów, które są zabytkami jedynie historycznymi, lecz posiadaczom nie nadają praw wyjątkowych, a jednak nie przyszło nigdzie do rozwiązania społeczeństwa. Ponieważ Francya swą rewolucyą z r. 1789 spowodowała upadek feudalizmu w całej Europie, wywiera na nią nasz historyzof największy gniew swój za to w twierdzeniu, że jak dawniej, będąc feudalną i monarchiczną uchodziła za wzór dla narodów, tak stawszy się demokratyczną i rewolucyjną, jest dla nich odstrasającym przykładem. Francuzi popadną niezawodnie w największe zmartwienie, gdy się dowiedzą o tym strasznym wyroku członka c. k. akademii umiejętności w Krakowie.

Wykazawszy, że aż siedm było przyczyn anarchyi w Polsce, z których każda jest dokonany przezeń specjalnie odryciem historycznym, powiada autor z radością równą jedynie Archimedesowi „eureka“, że teraz jest już klucz do historii monarchyi polskiej i do dziejów anarchyi, którego naturalnie przed ogłoszeniem dzieła jego nie było. Otóż upadliśmy, ponieważ nie dano nam dobrego wychowania, a na nieszczęście urodziliśmy się w czasie i miejscu niefortunnym. Gdyby przynajmniej feudalizm był się nami zaopiekował i zajął się chociażby później naszym wychowaniem, byłby nas nauczył posłuszeństwa, wybił nam z głowy wszelkie mrzonki o jakiejś równości i wolności, które narażają społeczeństwa ludzkie na zaturę, a za to byłby w nas wszczepił cześć bałwochwalczą dla dynastyi i ową lojalność, która zbawia państwa i narody. Ponieważ tego nie było, a w dodatku gabinety sąsiednich państw zaraziły się rewolucyjnością, musiały nastąpić rozbiory i wymazanie Polski z karty europejskiej, nim jej wychowanie mogło wejść na wskazane przez autora tory. Lecz p. Walewski nie każe nam rozpaczać, gdyż nie wszystko jeszcze stracone, a w dodatku radzi wierzyć w lepszą przyszłość sprawy narodowej. Będzie jeszcze dobrze, byle naród nie przypisywał rozbiorów „samej tylko rewolucyjności gabinetów, ale uważał je oraz za skutek swój własnej anarchyi

tudzież za szkołę posłuszeństwa, którego się nie nauczył, nie miawszy szkoły feudalnej“. Otóż pociesza nas na zakończenie tém, że z trzech rządów, które Polskę rozebrały, dwa były statecznie feudalnymi, a trzeciemu nie był obcym feudalizm. Będzie więc nam jak w niebie!

Badając początki państwa polskiego, rozwodzi się p. Walewski szeroko nad pytaniem, czy takowe powstało z podboju, czy z rozwoju? Pytanie to jest niewątpliwie ważnym, a wszyscy badacze przeszłości naszej zastanawiali się nad niem. Zdania były podzielone. Niektórzy bowiem, jak między innymi Maciejowski i Szajnocha dowodzili wbrew przyjętemu powszechnie mniemaniu, że państwo polskie powstało z podboju. Obaj ci uczeni badacze byli w tém zgodni, że sami Sławianie, którzy ciągle się rozstrzeliwali na niezliczone i od siebie niezależne gminy a w dodatku byli zawsze najprzeciwniejsi wszelkiej nierówności obywatelskiej, nie mieli ani zmysłu organizacyjnego ani żywiołów potrzebnych do utworzenia państwa i nadania mu organizacji opartej na nierówności stanów, że zatem i państwo polskie nie mogło samo przez się wyłonić się z tak usposobionej Sławiańszczyzny, ale musiało powstać z podboju, wskutek którego z zwyciężkich najezdników wytworzył się stan rządzący szlachty. Lecz zdania ich odbiegły bardzo znacznie od siebie, gdy należało drugie rozstrzygnąć pytanie, a mianowicie, z kąd przybyli ci twórcy państwa polskiego i do jakiego zaliczali się plemienia. Maciejowski wyszperawszy w dawnych ustawodawczych za- bytkach saskich wyraz Lasów czy Lazów, utworzył zeń nazwę ludu pierwotnie sławiańskiego a przez Sasów podbitego, który w twardej szkole zależności dojrzał politycznie, a sprzykrzywszy sobie jarzmo saskie, wyruszył na wschód, podbił mieszkających między Wartą a Wisłą sławiańskich Polan, i utworzył państwo polskie, w którym zapewnił sobie stanowisko stanu rządzącego. Szajnocha zaś sprowadził Normanów z północy i utworzył z nich dynastją Piastów i szlachtę. Lelewel, który piérwszy okres dziejów polskich nazwał Polską podbijającą, nie miał na myśli podbojow w znaczeniu, jakie im nadali Maciejowski i Szajnocha, lecz chciał jedynie wskazać

że w tej pierwszej dobie swego życia dziejowego Polska rozszerzała swe granice przez ciągłe wcielanie w siebie pobratymczych gmin sąsiednich. To wcielanie miało znamiona podboju o tyle, że odbywało się w sposób przymusowy, ponieważ żadna z gmin nie zrzekała się dobrowolnie swęj niezależności. Gdy zaś z drugiej strony wcielone gminy nie przechodziły w stan niewolny, ale używały tych samych praw, jakie miały gminy tworzące pierwotne jądro państwa nowego, nie można wcielenia nazwać podbojem w właściwem wyrazu tego znaczenia. Że atoli był przymus, świadczą wszystkie podania przechowane w kronikach i rocznikach, ponieważ rozповідаją o walkach staczanych w celu rozszerzenia granic państwa nad Gopłem założonego.

Pan Walewski dowodząc obszernie, że państwo polskie nie powstało z podboju, ponieważ nie było zawojowania i ujarznienia miejscowej ludności przez plemie obce jak np. Gallo-Rzymian przez Franków, nie zbija twierdzeń Maciejowskiego i Szajnochy, których dzieł nie czytał, ale powstaje na Lelewela za użycie wyrazów „Polska podbijająca“, których prawdziwego znaczenia, jakie im badacz ten nadał, nie zrozumiał widocznie. W wyobrażeniu autora jest powstanie to państwa polskiego bez podboju właśnie ujemną stroną późniejszego bytu jego, ponieważ nie mógł się w nim rozwinąć feudalizm i błogosławnym wpływem swym oddziaływać na urobienie się monarchyi i szczeblów hierarchicznych, uniemożliwiających równość obywatelską i niezależność własności ziemskiej, dzierżonej prawem feudalnym. Twierdzi zatem, że „władza królów polskich musiała być wątłą bez podpór feudalnych, a dowolność musiała się objawić w ustawach społeczęńskich, skoro własność ich fundament, była niezależną“. Jest to niezawodnie największe z odkryć historycznych p. Walewskiego, że wszędzie, gdzie własność jest niezależną, musi być dowolność w ustawach społeczęńskich. Twierdzenie podobne jest tak niedorzeczném, że nie warto go zbijać. Przytoczyłem je zaś dla tego jedynie, aby wskazać, w jak dziwaczne obłądy popada nasz historyzof.

Autor twierdzi (str. 97.), że niewola chłopów w prawdziwym wyrazu tego znaczeniu zaczęła się u nas właściwie z reformacją a osobiwie z konfederacją r. 1573. Twierdzenie to jest bezzasadne, a wynikało z źle i niewłaściwie tłumaczonych wyrazów: „cuius regio, ejus religio“. W konfederacji téj chodziło wyłącznie o obwarowanie wolności sumienia dla wszystkich bez wyjątku, i nikt jój przed p. Walewskim nie pojmował inaczej. Inna rzecz poddaństwo ludu wiejskiego. Kwestya ta zajmowała wszystkich badaczy naszych, a nie jest ona tak łatwą do rozwiązania, jak się zdaje p. Walewskiemu, który gdyby drugi Aleksander Macedończyk chce ją rozciąć jednym zamachem. Skoro bowiem Polska nie powstała z podbojów, ale w części z dobrowolnego, w części zaś z przymusowego połączenia plemion sławiańskich, rozsiedlonych między Wisłą a Odrą, u których jak u wszystkich Sławian w ogóle panowała równość obywatelska, nasuwało się samo przez się pytanie wszystkim badaczom przeszłości naszej, z kąd się wzięło poddaństwo ludu wiejskiego w Polsce? Juźciż lud ten nie był miejscowém plemieniem zawojowaném, a mimo to popadł w poddaność, która w XV. juź wieku równała się prawie niewoli, a następnie stawała się coraz uciążliwszą, szczególniej od czasu, gdy dzięki owładnieniu wychowania publicznego przez jezuitów oświata zupełnie upadła w Polsce. Jak się te stosunki urabiały w pierwotnej dobie a nawet za pierwszych książąt i królów z rodu Piasta, nie wskazały nam dzieje osnowywane na lakonicznych podaniach annalistów i kronikarzy. Z późniejszych nawet czasów, sięgających aż do chwili ogłoszenia statutu wiślickiego, nie mamy dostatecznych i szczegółowych podań o rozwijaniu się stosunków poddańczych. Z mnogich nadań czynionych korporacyom duchownym i osobom prywatnym przekonujemy się jedynie, że w w. XI, XII i XIII. były wsie zamieszkałe przez wolnych i niewolnych ludzi. Obok kmieci, rzemieślników i kramarzy spostrzegamy służebnych i przywiązanych do gleby. Kmiecie byli widocznie potomkami pierwotnych mieszkańców włości lub osiadłych w niej później za ugodą gospodarzy, rzemieślnicy i kramarze

tworzyli ludność napływową, a służebni i przykuci do gleby byli potomkami jeńców i brańców wojennych. Później przybyło osadnictwo sprowadzone z zagranicy za ugodą, mające swe własne odrębne prawa. Z tej mieszaniny wytwarzały się następnie nowe stosunki. Wsie osiadłe na prawie polskim, a z tego tytułu obowiązane do opłat i posług na rzecz panującego, pozwalali królowie i książęta przeistaczać w wsie osiadłe na prawie niemieckim, przez co uwalniali je od tych obowiązków na korzyść ich właściciela. Dziedzice wsi czy to osiadłych na prawie polskim, czy na niemieckim zaczęli powoli pod jeden brać strychulec wszystkich mieszkańców tychże, poznosili różnice i tém porównali ich w poddaństwie. Niektóre włości były od chwili swego założenia osiadłe przez samych jeńców i brańców, nic téż dziwnego, że w nich dziedzic rządził gdyby pan feudalny i miał nawet prawo miecza. Pan Walewski zbył tak ważną kwestyą jak włościanka luźną gadaniną, a zamknął ją niedorzeczném twierdzeniem, że niewola chłopów powstała z reformacyi. Dlaczegoż, pytamy się, nie upadła wraz z reformacją w Polsce? Dla czegoż nie polepszył się los włościń, gdy prawowierność katolicka zwyciężyła najzupełniej, a wychowanie publiczne było w ręku samych tylko księży świeckich i klasztornych? Dla czego przeciwnie wtedy właśnie poddaństwo i niewola ludu doszły do najwyższego stopnia? Na te pytania nie odpowiedział nasz historyzozof bynajmniej.

Zastanawiając się nad częściami składowymi państwa i społeczeństwa polskiego i nad jestestwem sławiańskim, podnosi autor z pewną lubością okoliczność, że żadne z państw sławiańskich nie potrafiło utrzymać swój niepodległości z wyjątkiem moskiewskiego, w którem sławianizm nie mógł aż do najnowszych czasów rozwinąć się w całej pełni swego jestestwa. Przy téj sposobności stara się wykazać, że Polacy pozbyli się ujemnych strón sławiańskości, i dla tego odpychają od siebie myśl panslawizmu. Lecz obok tego zaczyna swe umizgi do rządu moskiewskiego, który wszedł już zdaniem jego na drogę najlepszą, aby państwo przemienić w sławiańskie bez ujemnych strón sławianizmu, i że byłby i Polsce

sprawiedliwość wymierzył, gdyby nie jakiś „ukryty, słońca i oręża zarówno się bojący rząd narodowy“ który „mieszkańców odarł, kraj okradł, podpalił i potem sromotnie uciekał.“ (102 i 103 w przypisku.) Filipika ta przeciw sprawcom wypadków 1863 jest i spóźniona i w dziele poważném niewłaściwa. Co do pierwszego rozprawię się z autorem poniżej, a co do drugiego powiem tyle jedynie, że wyrażenia przytoczone, oskarżające ludzi może zbyt rozgorączkowanych i uniesionych zapalem o proste zbrodnie i to bez dowodów, rażą nadzwyczaj w dziele, które autor nazwał filozofią dziejów polskich. W pamflocie uchodzą takowe, ale w dziełach treści poważnej nie spotykamy się z niemi nigdy. Po téj filipice przeciw „ukrytemu rządowi narodowemu“ jest w następnym przypisku (str. 104 i dalsze) obszerny wywód dziejowy o rozwijaniu się państwa moskiewskiego, które mimo azyjskich i mongolskich pierwiastków swoich zbawiło już raz za cara Aleksandra I. Europę i ludzkość, pod Mikołajem I. poskromiło (1848) uniwersalną rewolucyą, a pod Aleksandrem II. ochroni niezawodnie ludzkość od kataklizmu powszechnej rewolucyi socyalnej. Widząc tak zbawcze popędy w tym rządzie, usiłuje go autor przychylnie usposobić dla Polski upewnieniem w imieniu całego narodu, że Polska brzydzi się rewolucyonistami domowymi i obcymi. Zachęca przytém cara, aby co prędzej wszedł w ściśle z Austryą przymierze celem ratowania ludzkości, zagrożonej kataklizmem. Wszystko to razem nie przyda się na nic, ponieważ ani car nie uwierzy zapewnieniom p. Walewskiego, ani też naród z miłości ku niemu nie zaprze się sam siebie i nie sprzeniewierzy swemu powołaniu, którego podziały nawet kraju nie zdołały mu odjąć. Któż zresztą dał autorowi upoważnienie do przemawiania w imieniu całego narodu? Czy otrzymał je może od c. k. akademii umiejętności, która Roepłów i Uwarowów powołuje na swych członków? Ponieważ autor i jemu podobni brzydzą się tém lub owém, nie dowodzi wcale, że cały naród podziela to obrzydzenie i z ich natchnienia potępi wszystko, co im się podoba nazwać złém i zbrodniczym. Autor szermując nieustannie wyrazami: rewolucya, liberalizm, demo-

kracya, socyalizm, komunizm i anarchya, pogmatwał je tak z sobą, że w rzeczy nie można sobie wyobrazić nawet, jakie do każdego z nich przywiązuje pojęcie, i czy je odróżnia od siebie. Każda chociażby najbardziej uzasadniona opozycja przeciw władzy monarszój, każde dążenie do form parlamentarnych jest u niego znamieniem anarchyi; każde powątpiewanie czy to o nieomyślności papieża czy o pochodzeniu boskiem władzy monarchów jest zdaniem jego liberalizmem i bezwyznaniowością, które przez rewolucyą wiodą w prost do komuny; każde pragnienie postępu i dążenie doń jest zbrodnią. Formułą jego historyozoficzną jest carskie „po siem u bud!“ Prawowitość dynastyczna i lojalność są w jego mniemaniu tak świętymi pojęciami, że każde ich zwichnięcie wiedzie narody a nawet ludzkość do zguby. Rządem organicznym jest u niego sam tylko monarchichno-dziedziczny, a wszystkie inne nie zasługują na tę nazwę. Mając takie wyobrażenia o wszystkiem, musiał oczywiście potępić pierwotne urządzenia gminowładne Sławian, ich pokojowe usposobienia, zamiłowanie wolności i wstręt do łączenia się w potężne państwa. Prawda, że z powodu tych usposobień popadali Sławianie w poddaność podbojców, najeżdżających ich siedziby. Lecz cóż zyskała ludzkość na podbójczych usposobieniach Romanów i Giermanów? Czyż wytwarzane olbrzymie państwa zabezpieczały mieszkańców od klęsk wojennych i upewniały im szczęście? Czyż dzisiejsze dążenia unifikacyjne, znoszące przez zbytęcną centralizacyą wszelki niemal samorząd miejscowy, upewniają pokój i dobro powszechnę? Wszakże wszystkie państwa mnożą w nieskończoność swe siły zbrojne, czém przygotowują stopniami zupełną ruinę ekonomiczną, której początki już się w całej pojawiają Europie. Jeżeli zatem po epoce przewagi narodów romańskich i giermańskich nastąpi kiedyś, jak to przepowiedali wszyscy historyozofowie, epoka przewagi sławiańskiej, będzie to zwrot ku decentralizajnym dążeniom, które przestoczą dzisiejsze ogromne państwa, dyszące żądzą podbojów i dla tego stojące ciągle pod bronią, w tyle rzeczypospolitych, powstałych z zrzeszenia się gmin autonomicznie urzą-

dzonych, ile jest rzeczywistych narodowości. Czy ludzkość dążąca nieustannie na drodze postępu dojdzie kiedy do tego kresu, i miasto wysługiwać się ambicyi dynastów, szafujących mieniem, krwią i życiem rządzonych wedle upodobania, zapragnie lepszych warunków szczęścia i dobra powszechnego, rozstrzygnie dopiero przyszłość i to może daleka. Lecz że to dążenie się objawia, dowodzi między innymi poruszana nieustannie kwestya powszechnego rozbrojenia, zyskująca coraz liczniejszych zwolenników.

Autor porównywa z wielkiem upodobaniem życie narodów do życia człowieka, i dla tego prawi o ich wieku niemowlęcym, chłopięcym, młodzieńczym itd. Porównanie takie jest co najmniej niewłaściwe, ponieważ narody rozwijają się w nieskończoność, i albo giną wśród klęsk i kataklizmów, albo wychodzą z nich zwycięsko, lecz nie starzeją się nigdy w znaczeniu, jakie przywiązujemy do zgrzybiałego wieku człowieka. Wszakże narody odmładzają się z każdym nowem pokoleniem, a chociaż po dojściu do wysokiego stopnia rozwoju i oświaty mogą popaść w skutek zbiegu okoliczności nieprzyjaznych w zastój i ciemnotę, nie będzie to przecież dowodem ich zgrzybiałości, ale zwrotem jedynie niepomyślnym w ich życiu zbiorowém. I polski naród nie był w w. XVI. jak chce p. Walewski (str. 127.) młodzieńcem burzliwym, ale poczuł w sobie większą wtedy niż poprzednio chęć do rozwoju we wszystkich kierunkach. Czy byłby lepiej wyszedł na obronę katolicyzmu przeciw reformacyi, niż na ubezpieczeniu wolności sumienia, jest mimo stanowczych twierdzeń autora rzeczą nader wątpliwą, zwłaszcza gdy się zważy, że mimo późniejszych ultrakatolickich jego usposobień i dążeń, skazano go na rozszarpanie i zagładę, do czego i arcykatolicka pod rządami Maryi Teresy Austria przyłożyła swęj rękę. Autor przeczy stanowczo, że u nas w w. XVI. była oświata, a to z powodu głównie, że nie było czci bezwarunkowej, dla utworzonych przezeń bałwanów prawowitości dynastycznej i lojalności, co znów ma być dowodem, że naród nie odbierał należytego wychowania! Autor powtarza nieustannie, że szczytem oświaty jest zrozumienie

swego stosunku do kraju, ludzkości i Boga, czyli swego stanowiska obywatelskiego, człowieczego i duchowego. Lecz nie wskazuje, według jakiej skali należy oceniać to zrozumienie, i kto jest owym pedagogiem, który ma orzekać, czy naród stanął już u celu, to jest, czy oświecił się całkowicie. Autor powiada, że wiara i lojalność są tą skalą, a papież z cesarzem i królami orzekają o dojrzałości narodów, gdyż oni wychowują ludzkość i narody z woli boskiej. Na czém się zasadza to wychowywanie, przekonano się niestety. Patrząc na dzisiejszą Europę, przygniecioną podatkami, widzimy błogie owoce tego wychowywania. Proszę tylko porównać budżety państw, aby się przekonać przez porównanie, ile idzie na wychowanie publiczne, a ile na armie, zależne od woli monarchów i gotowe do mordowania się wzajemnego na ich skinienie. Że mimo to ludzkość postępuje naprzód, nie zawdzięcza tego bożyszczom wymarżonym przez p. Walewskiego, ale sobie samej, i wrodzonemu popędowi do ciągłego postępu, czyli doskonalenia się.

Autor ubolewa, (str. 130) że „stolica apostolska, matka wszystkich monarchyi germańsko-romańskich, czeskiej, polskiej, węgierskiej itd., które pielęgnowała, ich królów namaszczała, karciała, z nich wszystkich jedną wielką całość pod imieniem Rptej chrześcijańskiej utworzyła i nad ładem w niej bacznie czuwała“, zachwiała się w w. XVI, i że w ówczas, „gdy powaga papieżka nie zawsze uznawaną była, straciły pioruny Watykanu błogosławioną siłę gruchotania prawa mocniejszego, które odtąd zuchwale a bezkarnie występowało“. Bardzo to poetyczne, lecz niestety niezgodne z prawdą. Watykan nadużywał długo swój władzy, pętał nią ducha, nie uwzględniał przestróg, a pioruny jego miotane zbyt często w sprawach niesłusznych straciły moc swą ostatecznie, skoro potężny im urągał, a słaby był bez znaczenia, pokonanie więc jego było bez wpływu. Naprężono zresztą wszystkie struny zbyt mocno, nie też dziwnego, że porwały się w końcu. Autor przypisuje wszystko złe rozumkowaniu, podkopującemu znaczenie obu powag naczelnych t. j. papieskiej i cesarskiej, którym opatrzność powierzyła wychowanie i losy ludzkości. Dodaje

przycém, że gdy rozumkującym powiodło się zachwianie tych powag, rzucili się zaraz i na inne z równą gwałtownością. Autor zapomniiał widocznie o jednej tylko rzeczy, a mianowicie, że owe powagi jego miasto troszczyć się o dobro i rozwój ludzkości, działały wręcz przeciwnie, czém téż same wywołały słuszne powątpiewanie narodów o mniemaném ich posłannictwie opatrznosciowém. Autora naszego przejmują dreszcz śmiertelny na wspomnienie nieszczęść, które ztąd spłynąć muszą na ludzkość, i dla tego powiada (str. 137 i 138): „Teraz upada ta pocieszycielka (wiara), umysł zaczyna wątpić, więc dąży do rozpacz, do swéj zguby, do prawdziwego szaleństwa, do demencyi. Możeż ludzkość prowadzić rozumowanie, a ona się puszcza wiary i doświadczenia, wątpi o zasadach, powątpiewa o kościele, który ją wychował, chce zmieniać i poprawiać wszelkie prawo ludzkie, wierzy, że wszystko może być inaczej, wierzy, że będzie inaczej, ignoruje co było, nie ceni tego co istnieje, wielbi tylko to co nastąpi, a jednak z tego sobie sprawy zdać nie zdoła. Okropném więc było to położenie umysłów. Dziś się patrzymy na podobne, na rewolucyjne położenie. Jak dziś tak wtenczas wierzone przedewszystkiém w rozum, w jego najrozmaitsze kaprysy, a zapomniano, że się nigdy dwa rozumy bez pomocy zasad nie zgodzą zupełnie, jeden drugiemu ustąpić nie ma powinności, zatém jedynie siła pięści rzecz rozstrzygnąć może. Jakże wybierać między zdaniem tylu rozumów? I na to znalazł racjonalizm środek, chwycił się zdania wielu, zdania, ile możności wszystkich, zatém opinii publicznej, więc znowu prawa mocniejszego. Ten był i jest kres ostateczny umysłów, jeżeli negują prawa boże i ludzkie, tradycję i historję. Nie wiedzą one o tém, że w imieniu oświaty i postępu dążą do barbarzyństwa, do niwelowania czyli do tabula rasa, tego najwydatniejszego, dziś już naocznego owocu rewolucyi, a z czego ludzkość wyprowadziły jedynie wiara i prawowitość“. Taką czczą gadaniną i deklamacją nie przekona autor nikogo, że tak było lub jest w rzeczywistości, jak się jemu podoba twierdzić. Ludzkość postępująca naprzód nie troszczy się

o treny i narzekania tych puszczyków, których światło razi i dla tego pragną ciemności.

Przechodząc do dziejów gabinetu i dyplomacji polskiej, powiada nasz autor (str. 143): „W téj części jestem zmuszony do rozwlekłości z nagłym rzutem oka na wypadki niezgodnej. Zamiast się powoływać, jak dotąd na wypadki, na fakta powszechnie znane, lub przypomnieć je w notach, będę zmuszony do wystawiania już nie samych nowych odkryć krytycznych, lecz oraz do opowiadania nowych faktów, do niezwykłego określenia charakteru osób itd. Błędy bowiem i przestępstwa gabinetowe narodu w wieku XVIIIym, mianowicie w obec potężnej Moskwy popełnione, były przyczyną ostatniego upadku narodu, zatem ta część dziejów najbardziej obchodzi historję „nauczycielkę żywota.“ Uprzedzam czytelnika, że się wiele złudzeń i przyjętych przesądów wyrzec, wiele zapomnieć powinien, jeżeli się czegoś nauczyć zechce. Dla przypodobania się czytelnikowi nie chcę fałszować dziejów, już bez mojej winy gruntownie sfałszowanych.“ P. Walewskiemu zdaje się widocznie, że przed nim i po za nim nikt nie miał i nie ma wyobrażenia o działaniach gabinetowych, że nikt nigdy o tém nie słyszał i dopiero od niego ma się dowiedzieć. Lecz o tém wiadano dawno, a co więcej zarzucano zawsze rządowi polskiemu, że za mało uwagi poświęcał sprawom zewnętrznym, i dla tego najczęściej nie przeczuwał nawet, co się święci w Europie, i że nie umiał strapać matactw dyplomatycznych. Twierdzenie autora, że podawać będzie „nowe fakta“ i dla przypodobania się opinii publicznej nie myśli fałszować dziejów, które już bez jego winy gruntownie sfałszowano, i że właśnie dla tego musi zestawić przestępstwa gabinetowe z XVIII. w. obec Moskwy, jest dowodem jedynie niesłychanej jego zarozumiałości, która tylko śmiech może wzbudzić, zwłaszcza gdy miasto zestawić zapowiedziany szereg faktów nieznanych a objaśniających cały przebieg wypadków dziejowych od śmierci Jana III. aż do wymazania Polski z rządu państw niezależnych, autor deklamuje jedynie przeciw anarchistom, a w dodatku grzeszy rażącym nieuctwem, jak to wykażę poniżej szczegółowo.

Wspomniawszy (str. 144.) o nieszczęsnym a drogo okupionym wieczystym pokoju (1686 r.) z Moskwą, który Jan III. przy ratyfikowaniu gorzkiemi zrosił łzami, prawi bez przytoczenia dowodów o szczerój dla Polski przychylności cara Piotra I., przeskakuje nagle do konfederacyi tarnogrodzkiej (1714—1717), a nie wspomina ani słówkiem o tajemnym układzie Piotra z Augustem II, lub o podstępnych działaniach Dołhorukiego, ale przeciwnie wystawia cara i jego posła jako niewinnych baranków, którzy ani się spostrzegli, jakim cudem włożono na nich ciężar gwarantowania ugody między królem a konfederacją zawartėj! Że wezwanie pośrednictwa moskiewskiego było wielkim błędem a nawet zbrodnią przeciw ojczyźnie, wiedzieli wszyscy dziejopisowie przed p. Walewskim i ganili je najmocniój, jak nie mniej cały ów układ pod gwarancją moskiewską zawarty; lecz wyświecali oraz podstępne zabiegi i matactwa moskiewskie, o których nasz Kolumb odkrywający „nowe fakta dziejowe“ milczy jak zakłęty, a których celem było omotać zręcznie rozdrażnionych gwałtami saskimi konfederatów i podsunąć im myśl zgubną wezwania pośrednictwa tego. Pan Walewski upewnia (str. 145.), że August II. dążył do naprawy Rptėj polskiej, lecz nie przytacza dowodów. Wiemy zaś z kądinąd, że królowi temu szło wyłącznie o dziedziczość tronu polskiego i utworzenie rządów samowładczych, i że gotów był poustępywać część prowincyi polskich sąsiadom, byle się zgodzili na plany jego. Wiemy przytém, że tajemne zabiegi jego dyplomatyczne, w tym celu podejmowane, wytrapiał rząd moskiewski, i ostrzegał o nich panów polskich z wezwaniem, aby się mieli na baczności przeciw zamysłom króla. Czyż to miało oznaczać dążenie do naprawy Rptėj? Lecz u p. Walewskiego jest wszystko naprawą, co dotyczy celów czysto-dynastycznych, ponieważ zdaniem jego dynastye tylko mogą uszczęśliwiać i zbawiać kraje. Dziś widzimy tyle dynastyi na wygnaniu, a jakoś narody, nad którými panowały, nie przepadają a nawet obchodzą się bez nich. August II. marnotrawca, rozpustnik i samolub, który o dobro dziedzicznej nawet nie troszczył się Saksonii, nie był stworzony na regeneratora Polski, ale przeciwnie

zaszczepił w niej najstraszliwszą demoralizacją. Będąc w sojuszu z carem, który mu pomógł do odzyskania tronu polskiego, a którego wojska grasowały w Polsce, wywołał gwałtami popełnieniami przez swe wojska konfederacją, która była po prostu zniewoloną wezwać pośrednictwa moskiewskiego, i tém zdać niejako na łaskę Moskwy przyszłość i losy własnej ojczyzny. Przechodząc do bezkrólewia po śmierci tego króla, upewnia nas Walewski, że gabinet moskiewski nie winien, jeżeli wojska moskiewskie narzuciły Polsce Augusta III. na króla. Na kimże ma ciążyć wina w rządzie tak samowładnym, jeżeli gabinet jego jest niewinnym barankiem? Czy zechce w nas autor wmówić, że temu gabinetowi nie zależało na zajęciu Kurlandyi? Juźciż dla dziejów jest rzeczą obojętną, czego chciała carowa Anna, a co było życzeniem otaczających ją Niemców, ponieważ tu idzie wyłącznie o to, czego chciał owoczesny rząd moskiewski, który był w ręku tych Niemców. Rządowi temu nie potrzebował dopiero cesarz Karol VI. przypominać gwarancją ugody z 1717 r., ponieważ sam wiedział o niej i jej znaczeniu doskonale, a August III. postarał się także o środki ujęcia sobie Birena, ulubieńca carowy, i dokonał tego obietnicą oddania mu w lenno Kurlandyi. Tego wszystkiego nie przytacza Walewski, a jedynym „nowym przezeń odkrytym faktem“ jest twierdzenie jego, jakoby Austriacy dopiero przypomnieli i wytłumaczyli Annie, że jest gwarantką ugody z r. 1717!!

Im bardziej się autor zbliża do czasów Stanisława Augusta, tém więkzemi darzy nas odkryciami historycznemi, które i najsumienniejszych badaczy wprawić muszą w zdumienie. I tak dowiadujemy się po raz pierwszy (str. 147), że trzej wielcy dyplomaci t. j. Stanisław Poniatowski, August i Michał Czartoryscy musieli uczyć Polaków, którzy „o własnym nawet zapomnieli języku, mówić i pisać po polsku;“ że carowa Elżbieta „zacna pani, jedna z najszlachetniejszych osobowości nawet między monarchami,“ kochała bardzo Polskę i chciała jej darować zdobyte na Fryderyku II. Prusy książęce; że Czartoryscy w bezkrólewiu po śmierci Augusta III. przemawiając do moralnej ambicyi carowy Katarzyny II., zjednali

sobie jej, potężne poparcie do wydzwignienia Polski z upadku; że Repr. k., lubo nieco za gwałtowny, sprzyjał wraz z wujem Paninem szczerze Polsce itd. itd. Lecz na nieszczęście, opowiada nasz wielki historyk dalej (str. 148 i 149), nie wytrwali Czartoryscy w raz obranym a tak zbawiennym kierunku, gdyż narazili siebie i kraj na słuszny gniew carowy chęcią wyzwolenia się z pod jej dobroczynnej opieki, co spowodowała mądrego Stanisława Augusta do zerwania z nimi. I on przecież zbłądził niebawem, gdy miasto ufać bezwarunkowo rządowi moskiewskiemu, który tak był jemu i Polsce przyjaźny, pogodził się z wujami i zaczął przejednywać anarchistów. Są to rzeczywiście zadziwiające odkrycia historyczne, za które bylibyśmy wdzięczni p. Walewskiemu, gdyby nie taka drobnostka, jak przytoczenie dowodów, o czym zapomniał najzupełniej. Jest to niewątpliwie wielka z naszej strony śmiałość, żądać od takiego jak nasz autor dziejopisa dowodów. Lecz trudna rada. Dziś wzmogło się niedowiarstwo do tego stopnia, że nawet p. Walewskiemu nikt nie chce wierzyć na słowo, ale pyta o dowody na poparcie każdego z odkrytych przezeń nowych faktów dziejowych.

Mimo błędów Czartoryskich i króla dałoby się było zdaniem autora wszystko naprawić przez odzyskanie zachwianej nieco przyjaźni carowy, gdyby nie ci przekłęci anarchiści, którzy w przystępie szaleństwa uknuli konfederacją w Barze, do czego i podszepty obcych przyczyniły się w znacznej części. Ciekawszą jest jeszcze opisana przezeń (str. 152 i 153) geneza pierwszego rozbioru Polski. I tu zestawia p. Walewski mnogie fakta nowe, świeżo przezeń odkryte, lecz znów niestety nie oparte na dowodach. Co na podstawie źródeł archiwalnych, znajdujących się w Petersburgu, Wiedniu, Berlinie, Dreźnie, Rzymie i indziej napisali Smitt Fryderyk, Schlözer, Ranke, Arneth, Vivenot, Dunker, Häusser, Herrmann, Sołowiejów, Beer i mnodzy inni, lub Fryderyk w wydanych pamiętnikach i listach, nie obchodzi go wcale, ponieważ on wie lepiej, niż oni wszyscy razem, jaki był przebieg téj sprawy, i dla tego nie potrzebował ich wielotomych dzieł odczytywać ani się mozolić przeszukiwaniem archiwów wspo-

mnionych. Jemu musiał się widocznie objawić duch Katarzyny II. opiekującej się i po śmierci Polską, a o <sup>co</sup> tego to zapewne dowiedział się wszystkich tych szczegółów ważnych, o których nie ma śladu nawet w źródłach archiwalnych. Jeżeli bowiem jednemu z spirytystów lwowskich mogli Napoleon I. i Kościuszko tyle ciekawych rzeczy objawić, czemuż téj saméj uprzejmości nie miałby doświadczyć nasz historyzof ze strony Katarzyny II? Upewnia nas zatem, że carowa chcąc zabrać Turcyą, była przeciwną podziałowi Polski, lecz że niemieckie mocarstwa ją zmusiły do zaniechania planów dotyczących Turcyi i do uskutecznienia podziału Polski, któremu mimo nawet niewdzięczności narodu i niegodziwości konfederatów barskich była najprzeciwniejszą. Że carowa nie życzyła sobie rozbioru Polski, wiedzano przed p. Walewskim. Była zaś przeciwną jej rozbiorowi z téj prostéj przyczyny, że zamierzała ją sama zagarnąć, a nie z powodu poczucia sprawiedliwości lub z pobudek wspaniałomyślnych, jak w nas chce wnówić autor. Plany te zaborcze przejrzał doskonale serdeczny przyjaciel carowy Fryderyk II, król pruski, a korzystając z jej upłątania się w wojnę turecką, umiał tak zręcznie zamanewrować, że nie tylko udaremnił plany jej wcielenia kiedyś Polski całej w państwo moskiewskie, ale w dodatku spowodował ją do zgodzenia się na pierwszy rozbiór krajów polskich, na czém sam wyszedł najlepiej, ponieważ zaokrąglił wybornie swe własne państwo. Austria była wprawdzie przeciwną rozbiorowi, lecz gdy spostrzegła, że umowa o zabór prowincyi polskich stanęła już między carową i królem pruskim, której wykonaniu siłą tylko oręża można było przeszkodzić, wołała przystąpić do gotowego układu i także zagarnąć część kraju polskiego, niż się puszczać bez sprzymierzeńców na niepewne szansy wojny, lub wyjść na sucho, gdy się inni obławiali łupami polskimi. Oto w krótkości geneza pierwszego rozszarpania dzierzaw polskich. Myśl podziału nie wyszła wprawdzie od rządu moskiewskiego, ale od Fryderyka II, króla pruskiego. Główną jednakże sprawczynią podziałów była Katarzyna II., ponieważ widoczném aż nadto zamiarem opanowania całej Polski,

w której poseł jej odgrywał już rolę wszechwładnego namiestnika, rządzącego w jej imieniu, zniewoliła niemal króla pruskiego do powzięcia owęj myśli podziału Polski, aby obwarować jako tako bezpieczeństwo własnego państwa.

Pan Walewski nie cierpi konfederatów barskich, a nawet najdzielniejsi z nich nie zjednali sobie łaski jego. W oczach jego była to zgraja anarchistów najgorszej jakości, złożona z ludzi bez czci i wiary, myślących tylko o łupieniu kraju, a uciekających przed Moskalami. Potępia ich téż w czambuł i bez wyjątku, jako łotrów zasługujących na najcięższe kary. Że zaś konfederacja układała plany reform, a nawet uprzedzając ustawę rządową 3. Maja 1791, zamyślała o utworzeniu dziedzicznej monarchyi konstytucyjnej, o tém nie wie wielki dziejopis, który tyle nowych, innym znów nie znanych podkrywał faktów. Nasi anarchiści byli z gruntu zepsuci, a o Moskalach powiada (str. 154), że byli to „prostacy popędliwi, nawet srodzy, ale nie byli ludźmi zepsutymi.“ To nowe odkrycie zadziwi niezawodnie samych Moskali, którym są dostępne archiwa urzędowe, świadczące nieco odmiennie o owoczesnych dygnitarzach moskiewskich.

W sposób nadzwyczaj sielankowy przedstawia (str. 155) nasz historyzof błogie położenie Polski, oddychającej szczęściem i swobodą pod gwarancyą moskiewską po pierwszym rozbiore. Zaręcza téż uroczyście, że naród szczęśliwy pod opieką moskiewską nie wypominał już królowi sprowadzenia Moskwy, ale za to przeklinał Barzan, którzy „przez złość bez siły“ sprowadzili Niemców i pierwszy rozbiór kraju. Sz. autor nie dowiedział się widocznie z źródeł swoich, że w sejmach odzywały się bardzo często głosy uwielbienia dla Barzan, że proponowane przez króla nadawanie indygenatów Moskalom wywoływały burzliwe posiedzenia sejmowe jak np. w r. 1778 i że w ogóle przy każdej sposobności manifestowano jawną niechęć przeciw gwarancyi moskiewskiej i Moskalom. Co zaś działo na polu wychowania publicznego i administracyi, nie było wynikiem gwarancyi, ale stało się wbrew teźże, i jest zasługą ludzi pragnących wyswobodzenia ojczyzny, przytłoczonej tą gwarancyą.

Układy kaniowskie (z r. 1787) wprowadzają autora (str. 157) w zachwyty prawdziwie poetyczny. W tym nie-  
 zwykłym stał się też improwizatorem, a dla tego trudno  
 się dziwić, że poodkrywał mnogie nowe fakta, nikomu dotąd  
 nieznanne. I tak upewnia swych czytelników, że Katarzyna II.  
 i Józef II. zgodzili się na przywrócenie Polski rozbiorem  
 dotkniętej i na zawarcie z nią przymierza, wymagającego  
 wystawienia 30.000 wojska, co miało w zdumienie wprawić  
 i zapaleć napęlić serce Stan. Augusta, który ani marzył  
 o tak korzystnych warunkach podanych mu przez Katarzynę II,  
 okazującą w tym wypadku wspaniałość godną carowej Elżbiety!  
 Co więc carowa podając w swém i Austrii imieniu uszczęśli-  
 wionemu królowi tak korzystne warunki, zezwoliła w dodatku  
 na uchylenie swój gwarancyi i przeprowadzenie reformy mo-  
 narchicznej, odwołała wojsko swe z Polski i wydała stosowne  
 w tej mierze instrukcje Stackelbergowi. Czytając to wszystko,  
 można rzeczywiście zapytać, czy autor ma swych czytelników  
 i ogół publiczności za tak ciemnych, że nie waha się poda-  
 wać im podobnych bredni za fakta najzupełniej prawdziwe,  
 ale przez fałszerzy jedynie dziejów ojczystych dotąd pomijane  
 milczeniem?

P. Walewski nie przebaczył też większości sejmu czte-  
 roletniego, którą zwie (st. 158) liczbą ciemną, krzykliwą i  
 terrorystyczną, że miasto wejść zgodnie z życzeniem króla  
 w związku przymierze z Moskwą przeciw Turcyi, zwróciła  
 swe chęci ku Prusom i zniewoliła nawet króla do zawarcia  
 z niemi sojuszu, carowę zaś bezwstydnie urażała grubiańskiemi  
 obelgami, fałszywemi zarzutami i groźbami. Ustawę rządową  
 3. Maja 1791. przypisuje postępowi monarchicznemu wywo-  
 łanemu przez Czartoryskich i Moskwę. Dowiadujemy się  
 zatem znów rzeczy nikomu dotąd nie znanéj, a mianowicie,  
 że Moskwa wywołała w Polsce postęp monarchiczny i tém  
 przyczyniła się wielce do ustawy rządowej z 3. Maja 1791,  
 która była dziełem „wielkiém i wychowania narodu w w. XVI.  
 przerwane go chlubnie dokończyła.“ Z twierdzeniem tém  
 naszego historyka nie zgadzają się instrukcje dane Kajser-  
 lingowi i Repninowi (1763), punkta tajemne układu prusko-

moskiewskiego z 1764 i 1767, list czyli memoriał Panina z 24. Lutego 1767, korespondencya tajemna Katarzyny II. i Fryderyka II. z lat 1763 i 1764 i następnych, układ moskiewsko-pruski i moskiewsko-prusko-austryacki z 1772, memoriał Panina dotyczący 5 punktów, mających być podstawą rządu polskiego po pierwszym rozbiorze, instrukcye dawane Stakelbergowi w 1772 do 1775, protestacye tegoż w 1788 i 1789 przeciw naruszeniu którejkolwiek z ustaw zasadniczych, uchwalonych przez sejm rozbiorczy a gwarantowanych przez Moskwę, deklaracya moskiewska z 18. Maja 1792 i t. p. Lecz na takie drobnostki nie zważa nasz Kolumb, ponieważ on wie lepiej o wszystkiém i czerpał swe wiadomości z pewniejszych źródeł, niż powyżej wskazane. Szkoda tylko, że nie wskazał ich światu naukowemu, który opierając się na aktach urzędowych, fałszuje dzieje bez winy jego.

Autor zarzuca (str. 159) sejmowi czteroletniemu niedołążność gabinetową i dyplomatyczną z powodu, że miasto trzymać się przychylnie dla Polski usposobionej Katarzyny II, zawierzył zdraczym Prusakom. Zarzut ten jest śmieszny. Większość sejmu chciała dokonać reformy i utworzyć rząd silny, któryby i ład wewnętrzny umiał utrzymać i niepodległość kraju ubezpieczyć. Pod egidą gwarancyi moskiewskiej było to niepodobnem, zwłaszcza gdy Stakelberg zapowiedział z góry, że pani jego nie dozwoli tknąć ustaw zasadniczych, przez nią zagwarantowanych. Należało zatem albo zaniechać reform, krajowi niezbędnie potrzebnych, aby nie rozgniewać carowej, opiekującej się Polską, na jej łaskę zdaną, albo przyjąć oświadczenie pruskie, w którym zawierała się wyraźna zapowiedź pomocy orężnej na wypadek, gdyby ktokolwiek śmiał odmawiać narodowi prawa stanowienia o sobie lub napaść go z powodu wprowadzania zmian i ulepszeń w swęj ustawie rządowej. Strona patryotyczna nie dopuściła się błędu w tém politycznego, że przeniosła przymierze z Prusami nad ofiarowany przez Moskwę sojusz, który jej nie dozwalał przystąpić do zreformowania rządu, lecz zawiniła tém głównie, że za późno przeparła uchwalenie nowej ustawy rządowej,

i że następnie spiskujących przeciw téj ustawie i szukających pomocy obcej zdrajców do najsurowszej nie pociągnęła odpowiedzialności, a przyzaniem niejako bezkarności ułatwiła im sama dokonanie niecznych zamiarów. Nikt dotąd nie bronił zdrajczych Prusaków, ale pierwszy dopiero p. Walewski zapotezował Moskwę i Katarzynę II.

Autor twierdzi stanowczo, że Targowiczanie mieli lepsze i jaśniejsze pojęcia o sprawach gabinetowych i dyplomatycznych, niż twórcy ustawy rządowej z 3. Maja 1791, i dla tego uciekli się pod opiekę carowy, aby tém przebłagać ją i ochronić kraj od następstw słusznego jej gniewu. Skutek okazał najlepší mniemaną dobroć ich pojęć gabinetowych. Zaręczenie autora, że nie wszyscy Targowiczanie byli przedajni, nie zmniejszą ich winy, a sam fakt, że wezwali pomocy orężnej Moskwy przeciw własnej ojczyźnie, napiętnował ich na wieki mianem zdrajców. Tego piętna hańby nie potrafi z nich zdjąć nawet tak wielki historyk i dyplomata jak p. Walewski.

W nader bałamutnym opisie dalszych wypadków umywa p. Walewski Katarzynę II. z wszelkiej winy w sprawie drugiego podziału kraju i zwała wszystko na zdrajczych Prusaków, którzy ją umieli przebłagać. Katarzyna „podjęła tylko rzucaną rękawicę“ a gdy w Polsce „żał i skrucha względem niej przybyły za późno“ wymierzyła za doznane urazy i niewdzięczność zasłużoną narodowi karę. Przy téj sposobności dziwi się autor (str. 162), dla czego Targowiczanie, którzy „mili rozsądek i oględność“ i znali się na sprawach gabinetowych, znieawidzono i wzgardą okryto, a „konfederacja barska, bunt, który rozbiory wywołał, ciągle krzyczał, rabował i uciekał“ dotąd jest „jeszcze nieco popularną.“ Wytlumaczenie tego zjawiska, niezrozumiałego dla naszego historyzofa, jest nader łatwém. Konfederacja barska wystąpiła do walki z najazdem moskiewskim o niepodległość i zdeptane prawa ojczyzny, a chociaż nie dopięła celu, co autor mieni szyderczo „złością bez siły,“ zasłużyła sobie na sympatyą za poświęcenie większości swych uczestników, którzy mienie, krew i życie nieśli krajowi w ofierze. Targowiczanie zaś napiętnowano

dla tego mianem zdrajców i skazano na wieczną wzgardę, ponieważ sprowadzili wojsko moskiewskie na pognębie nie ojczyzny.

Wskazałem już powyżej, że p. Walewskiemu są najzupełniej nieznane najnowsze t. j. od lat przeszło 10 wydawane dzieła a zawierające w sobie bogaty materiał do dziejów panowania Stan. Augusta, zebrany z archiwów petersburskich, berlińskich, wiedeńskich i innych, ponieważ nie tylko nigdzie nie powołuje się na nie, ale nawet przeciwnie popada w swych opisach w sprzeczność z ogłoszonymi w nich dokumentami. Mimo to powiada (w przypisie 3. na str. 162) z niepojętą bezczelnością, że „tu (t. j. po dokonaniu drugiego rozbioru) ustają wyraźnie autentyczne dokumenta,“ czém wmawia w czytelników, że całe poprzednie opowiadanie swoje oparł na takich dokumentach autentycznych! Ledwie zaś o ustaniu takich dokumentów wspomniał, wyznaje naiwnie (str. 163): „Nie wiem, czyli kto nie poddawał korony i Litwy bezwarunkowo Moskwie, ale oraz nie wiem, czyli byłby słuchanym.“ A list królewski pisany do carowy przed przystąpieniem do konfederacji targowickiej? Czy i o nim nie wie autor, czerpiący swe wiadomości z „autentycznych dokumentów“? Za to upewnia nas, że Katarzyna II. po drugim podziale Polski nie chciała zagłady narodu, ale pragnęła go po obecnym upokorzeniu znów podnieść i zniewolić do przymierza przeciw Turcyi i Niemcom. Wychodząc z tego założenia, potępia powstanie Kościuszki w. r. 1794 jako zbrodnią przeciw konającej ojczyźnie, którą jej zgon przyspieszono. Panu Walewskiemu zdaje się widocznie, że patent na c. k. profesora historii powszechnej i mianowanie członkiem c. k. akademii umiejętności uczyniły go sędzią najwyższym, który ma orzekać nieodwołalnie o wszystkich Polakach, co służyli ojczyźnie i krew za nią przelewali. Jakim zaś byłby sędzią, gdyby miał władzę po temu, świadczy najlepiej, co pisze o r. 1794. Przeszedłby niezawodnie Murawiewa w skazywaniu na szubienicę. Nie przebaczył nawet Kościuszcze, którego Hormayer historygraf austriacki za czasów Meternicha nazwał bohaterem, na cześć i uwielbienie zasługującym. Usprawiedliwia

go niby, jako człowieka bogobojnego i konserwatywnego, lecz w rzeczy zalicza go w poczet zbrodniarzy i uwodzicieli narodu, którzy wiedzeni „złością bez siły“ i nie mając do tego upoważnienia, rozpoczynali walkę z Moskwą zawsze przyjaźną Polsce. Powiada téż bez osłon (str. 166): „Najgorzej postąpił sobie naród polski, że przez niewdzięczność dla Imperatorowej, która go za sprawą Czartoryskich i Stanisława Augusta z letargu obudziła, do życia przywidła, uwierzył konfederatom barskim, potem uwierzył Prusakom, w końcu uwierzył deklamacyom młodych żołnierzy i kosie chłopskiej, za co trzykroć srogo ukaranym został.“ Dotąd żaden nawet Moskal nie śmiał zarzucać Polakom niewdzięczności względem Katarzyny, i dopiero z łona c. k. akademii umiejętności w Krakowie ozwał się zarzut podobny, opierający się oczywiście na przypuszczeniu, że carowa ta obsypała Polskę do-drodziejstwami, za które należała się wdzięczność jej narodu.

Przechodząc do pojęć gabinetowych narodu po rozbiorach, uderza p. Walewski na spiski czyli tajemne związki, któremi „wszelki naród godny się brzydzi,“ a które dawniej nie były znane w Polsce. Nie zastanowił się widocznie nad prawdziwem źródłem wszelkich spisków. Gdzie tylko narodowi wolno się rozwijać w sposób normalny, tam nie ma spisków, ponieważ cały organizm społeczny funkcjonuje należycie. Gdzie zaś odjęto tę wolność, a co gorsza zatamowano pewne niezbędne funkcyje życia i rozwoju narodowego, objawiają się zaraz znamiona chorobliwości, w skutek której wytwarza się nienaturalne funkcjonowanie organizmu społecznego. W tém położeniu była Polska podzielona między trzy mocarstwa rozbiorcze, z których każde wcielając część mu przypadłą w swój organizm państwowy, zniewalało ją do przyjęcia innych norm życia i wyrzeczenia się własnego indywidualizmu. Rzecz prosta, że wśród takich stosunków o normalnym funkcjonowaniu wszystkich cząstek organizmu narodowego nie mogło być mowy nawet, i dla tego musiało przyjść do objawów chorobliwych. Z tąd wynikły spiski, legiony i powstania, których celem było wywalczenie sobie możność życia własnéu życiem i rozwijania się w sposób

indywidualizmowi narodu przyrodzony. W dawniej Polsce nie znano spisków, ponieważ nikt nie zadawał gwałtu przyrodzonym funkcjom życia organizmu narodowego. Po rozbiorach stały się takowe z przyczyn wskazanych złem niedającym się uniknąć. O ile jest prawdziwem, co autor prawi o stosunkach Adama Czartoryskiego z Aleksandrem I. nie mogę z wszelką pewnością orzec, ponieważ nie przeglądałem tajnego archiwum Czartoryskich. Ile zaś można wnosić z ogłoszonej korespondencji Adama Czartoryskiego z carem Aleksandrem i opisanych tam stosunkach ich wzajemnych, wolno powątpiewać o prawdziwości wielu szczegółów przez p. Walewskiego (str. 169 i 170) przytoczonych.

Opis pojęć gabinetowych w królestwie kongresowem pod panowaniem Aleksandra I. jest najszumniejszym panegyrykiem tego cara, którego autor nie tylko wskrzesicielem ale i dobrodziejem Polski nazywa. Przypisując mu najzyczliwsze dla narodu chęci i zamiary, upewnia nas stanowczo, że Aleksander chciał na kongresie wiedeńskim odbudować Polskę całą, i byłby dokonał swego, gdyby nie Prusy i Austria, które spowodowały konspiracją formalną na kongresie przeciw jego restauracyjnemu zamysłom. Historyk nasz zapomniał znów o niektórych szczegółach, przedstawiających zamysły te restyracyjne w całkiem innem świetle. Najprzód bowiem szedł car ręką w rękę z królem pruskim, a tak nie mogło być między nimi antagonizmu w sprawach kongresowych. Król pruski chciał zagarnąć całą Saksonią i wcielić ją wraz z innemi mniejszemi kraikami niemieckimi do państwa swego, a carowi oddawał za to księstwo warszawskie i zabór nawet austriacki. Na ten projekt moskiewsko-pruski odpowiedziała Austria, Anglia a oraz Francya projektem odbudowania Polski niepodległej w dawnych granicach, przy czém oświadczyły, że na żądane przez cara zwiększenie jego państwa przez wcielenie doń całej Polski pod żadnym nie zezwolą warunkiem. Gdy zaś Aleksander wraz z królem pruskim obstawali przy swoim a w dodatku grozili użyciem siły zbrojnej, zawarły Austria, Anglia i Francya tajemne przeciw nim przymierze, do którego wciągnęły zagrożone przez Prusy mniejsze państwa

niemieckie i inne drugorzędne. Celem przymierza tego nie było wprawdzie odbudowanie Polski niepodległej, gdyż o takiej nie było mowy i w projekcie moskiewsko-pruskim, a chodziło w niem o ubezpieczenie się jedynie przeciw grożącej niepodległości innych państw ambicyi moskiewsko-pruskiej. Tak sformułowany projekt, jak go wniósł car w imieniu własném i króla pruskiego, musiał wywołać wspomnioną koalicją. Że zaś car ani chciał słyszeć o odbudowaniu Polski niezależnej, a pragnął jedynie całą złączyć z swém państwem i tém pomnożyć ogromnie potęgę tegoż, obstawali przeciwnicy jego zamysłów przy utrzymaniu dawnych podziałów Polski. W takim składzie rzeczy był projekt carski o tyle lepszy, że dążył do skupienia Polaków pod jednym rządem, nie podobna się więc dziwić, że naród nie mogąc odzyskać bytu całkiem niepodległego, oświadczył się za projektem carskim, który dawał mu przynajmniej możność bycia razem pod jednym rządem. Wiadomo, że car i król pruski zastraszeni koalicją innych państw odstąpii od swego projektu, w skutek czego nastąpił podział Saksonii a następnie ów traktat osobny dotyczący ziem polskich.

Autor nie może znaleźć dość słów uwielbienia dla Aleksandra, tego obrońcy prawowitości w Europie i wskrzesiciela Polski, który wtedy, gdy inni nie dotrzymali zobowiązań zawartych w traktatach wiedeńskich, więcej zrobił dla Polski, niż nawet obiecał kiedykolwiek. Jedno ma mu tylko do zarzucenia, a mianowicie, że niepotrzebnie obdarzył Polskę izbą poselską w czasie gdy „parlamenty szaleć zaczęły“ i że następnie po wybrykach opozycyjnych Kaliszan i innych tego rzędu anarchistów, nie odebrał niepotrzebnego daru, i „nie rozpędził sejmujących przynajmniej na lat 50.“ Polakom zaś wyrzuca niewdzięczność dla szlachetnego wskrzesiciela, a Adama Czartoryskiego i innych wpływowych mężów karci ostro za to, że nie starali się z jednej strony ułagadzać sprawiedliwego żalu wskrzesiciela do narodu, a z drugiej nie używali swego wpływu w kraju, aby powściągać wichrzycieli sejmowych i pozasejmowych i przeszkadzać zjadliwym wycieczkom dzienników i broszurek, drażniącym Moskali, co

powinni byli zdaniem jego tém bardziej czynić, skoro wiedzieli, że z jednej strony rządu niemieckie, zawsze wrogie Polakom, jątrzyły ich „dobroczyńcę“ wykazywaniem niewdzięczności narodu, a z drugiej Wielki Książę Konstanty „pan wielce szlachetny i zacny,“ mający władzę dyskrecyjonalną w królestwie, do sprawowania w niem policyi wcale się nie urodził, i dla tego miasto zaradzać wybrykom, złe coraz bardziej pogorszał.

W opisie „postępu i upadku pojęć gabinetowych polskiego narodu pod panowaniem Mikołaja I.“ prześcignął sam siebie p. Walewski. Zachwycony wspaniałą postacią tego cara, przypominającą posąg starożytny, wpada w zachwyt poetyczny w opisie przewag moskiewskich w wojnie tureckiej, która miała się skończyć rozbiciem państwa tureckiego i byłaby tego dokonała, gdyby wielki Imperator był się nie uląkł Niemców, a wojska polskiego, próżnującego i nudzącego się w obozie pod Warszawą, był użył do ostatecznego pokonania Turków. Lecz na nieszczęście był użyciu wojska polskiego w wojnie tureckiej przeciwny Wielki Książę Kostanty, a tym sposobem byli „zbrojni próżniacy“ skazani na niebezpieczne nudy. Zawarcie pokoju akiermańskiego było dla Moskwy i Polski szkodliwém, a w ostatniej stało się w dodatku główną przyczyną powstania listopadowego! W próżnującym wojsku zaczęły się pojawiać spiski, a sąd z senatu złożony miasto skazać zbrodniarzy, sam się dopuścił zbrodni politycznej ich uniewinnieniem, czém spowodował słuszny gniew króla, ponieważ odjął mu nawet możność ulaskawienia winnych. Koronacją w Warszawie powitał naród, jak nas upewnia autor, z największym zapałem, i najświetniejsze mógł sobie roić nadzieje co do swój przyszłości. Ziszczenie tychże byłoby nawet w krótkce nastąpiło, gdy Mikołaj „w szlachetném uniesieniu“ postanowił wystąpić w obronie prawowitości przeciw rewolucyi lipcowej i innym przez nią spowodowanym, przy czém wojsko polskie byłoby piękną zdaniem p. Walewskiego odegrało rolę. Lecz niemieckie mocarstwa uniemożliwiły uznaniem rewolucyi wystąpienie cara, a studenci cywilni i wojskowi powoławszy do pomocy kilka pijanych kompanii i

równie pijany motłoch warszawski dokonali czynu zbrodniczego w nieszczęsnej nocy 29. Listopada 1830 przez podniesienie buntu przeciw prawowitej władzy króla swego. Wielki Książę mógł być z łatwością pokonać buntowników, gdyby był nie opuścił Warszawy i królestwa, ponieważ wszyscy konserwatyści i lojaliści byliby się z nim połączyli w obronie porządku. Lecz po ustąpieniu jego „mieli się buntownicy za bohaterów,“ steroryzowana ludność uznała powstanie narodowem, w dodatku zaś „najnędnniejszy z sejmów“ idąc „za krolobójczymi wyrazami szalonego pijanicy“ odsądził Mikołaja od tronu, który tém chybił, że miasto dać się przebłagać i rokować z wiernym mu narodem, żądał wprzód przywrócenia porządku, co po ustąpieniu w księcia było niemożliwem bez uzyskania rękojmi, że król nie będzie mścił na całym narodzie winy garstki zbrodniarzy. Tym sposobem wzięła górę rewolucya w Warszawie, tém „zepsutem mieścisku“ i odprawiała haniebny swój tryumf w nocy 15 Sierpnia 1831. Mimo waleczności wojska musiało się wszystko skończyć tragicznie, ponieważ opatrność „liczy dni żywota każdego bezpotrzebnego powstania,“ jakim było listopadowe, i „bytu normalnego mu odmawia.“ „Dekret ogłaszający je narodowem nie przydał się na nic, skoro powstanie w 29000 żołnierza rozpoczęte uciekło ze 100000 wojskiem przed garstką Moskali.“ Po wzięciu Warszawy i ucieczce rewolucjonistów, byłby „naród przywiedziony przez kilku zuchwalców do niedoli i wstydu, gorliwie popierał monarchę i ścigał winowajców,“ a nawet zgodził się na zburzenie Warszawy, która zawiniła, byle król, teraz „może popularniejszy jeszcze, niżeli w czasie koronacy,“ po okazaniu narodowi „naocznie, czém jest ślepa złość bez siły“ był przebaczył wspaniałomyślnie i przywrócił dawny stan rzeczy. Lecz monarcha postąpił inaczej, a chociaż mógł wiedzieć, że naród „uznał już przedtém buntowników za nieprzyjaciół kraju“ i sam „bunt jeszcze przed jego następstwami potępił“ postanowił „karać nie samą Warszawę, lecz kraj cały“ a nawet „powiaty i ziemie, których noga buntownika nie deptała.“ Rozpuścił wojsko polskie, poznosił zakłady naukowe, pouchylał zbawienne

ustawy i kazał powywozić biblioteki, a na dobitek powierzył się Niemcom i poszedł pod komendę Meternicha przez zgubny traktat w Münchengraetz.

Oto w treści opis powstania narodowego z. r. 1830 i 1831 i jego następstw, zawarty w filozofii dziejów polskich p. Walewskiego, który nie szczędził jadu i żółci, aby niemi najszlachetniejsze nawet poświęcenia obryzgać, a który przytém pomijał starannie wszystko, co mogło wyświecić prawdziwe przyczyny powstania przeciw nieznośnemu jarzmu moskiewskiemu. Fryderyk Smitt, znany wielbiciel cara Mikołaja i rządów moskiewskich, nie zdobył się w swój trzytomowej monografii tego powstania na nic podobnego, ponieważ jako historyk wiedział, że dzieła historycznego, pisanego nawet tendencyjnie, nie wolno przedzierzgać w prosty paszkwil przeciw jednej lub drugiej stronie. Opisy więc wydarzeń, zawarte w dziele jego, są wprawdzie nam nieprzyjaźne, lecz niespotkałem w nich nigdzie podobnych wycieczek karczemnych i ulicznych, jakimi jest przepełniona „filozofia dziejów polskich“ p. Walewskiego, który nie ma nawet pojęcia o elementarnych zasadach przyzwoitości i powagi dziejopisar-skiej i dla tego miasto dzieł historycznych ogłasza paszkwile na tych, których mu się podobało nazwać anarchistami. Potępiając bez miłosierdzia wszystkich, którzy w imieniu narodu a bez wyraźnego od tegoż upoważnienia zrywali się do walki, za co i z Kościuszką dość niegrzecznie się rozprawił, przemawia sam nieustannie w imieniu całego narodu, chociaż nie wykazał się bynajmniej, kto mu dał mandat i upoważnienie do takiego przemawiania w imieniu czy to większości czy nawet mniejszości narodu.

W dowód, że autor umie pisać tylko paszkwile a nie historią, przytoczę, co powiada (str. 196—198) o dalszych następstwach powstania Listopadowego. „Chociaż się nie sprawdziło, pisze, co przepowiedziano, że gniew króla nader długo trwać nie może, wszelako nie było ze szkodą narodu, że za bunt niektórych surowo, zbyt surowo ukaranym został, bo tak w twardej szkole mógł dokończyć często przyrywano-go wychowania i raz się gruntownie nauczyć posłuszeństwa

i cierpliwości, a porzucić wiarę w próżną złość bez siły i łatwowierność w obec cudzoziemców, tę główną przyczynę swego częstotliwego obłąkania. Ale kara zbyt surowa nie była dość inteligentną i zezwoliła na wzrost ciągły już pierwsiastkowo licznej emigracyi, która chodziła do szkoły przeciwniej w krajach rewolucyjnych i tam się uczyła, jak bunt w dzień biały podnosić. Z tą nauką jeździła skrycie do dawania repetycyi w kraju, lub go nauczała setnemi pismami, jak się buntować, kraj podpalać, szlachtę i księży wyrznąć, a potem na pogorzelsku i cmentarzu kwitnącą republikę zaprowadzić należy. Takie doktryny były wprost przeciwnemi doktrynom rządu, który przez to jątrzyły, do srogości go porywały.“ „Wszelako sprawiła łaska opatrności, że właśnie zgubne, tak wyraźnie zgubne doktryny emigrantów otworzyły oczy krajowi, uradowanemu, że pod surową opieką Imperatora zostaje, w obec patryotycznych opiekunów bezpieczny. Z przerażeniem słuchali Polacy rad podawanych moralnie zdegradowanych za granicą i oduczyli się największego błędu, przyczyny wszelkich klęsk narodu, oduczyli się łatwowierności, więcej ufali królewskiemu rządowi, niżeli podżegaczom w podartych surdutach, przybycie flot do Karpat, kawaleryi morzem i t. p. zapowiadającym. Że bunt, gdyby w początkach powodzeniami najszcześniejszy, kończy się na farsie, że próżna złość bez siły w końcu śmiesznością okryć się musi; tego przekonania nabywał naród i najwyraźniej dojrzywał, niejako w naszych oczach dorastał.“ „Wszystkie jego (narodu) przestępstwa dadzą się sprowadzić do jednej głównej przyczyny, do obłąkania, opartego na łatwowierności i na apoteozie kryjomego patryotyzmu, przygotowującego zasoby dla złości próżnej bez siły, rachującego przedewszystkiem na polskiego chłopca i na obcego rewolucyonistę. Takie porywanie się garstki konspiratorów na potężne mocarstwa, same istne karykatury polityczne, nie udawały się, bo naród po tylu doświadczeniach roztropniejszy, nie dał się zwabić do powtórnego wydania konfederacyi barskiej, ani powstania z lat 1794 i 1831. Dochodził więc naród do przymiotu najbardziej mu potrzebnego, do odwagi cywilnej i zaczął głośno

pogardzać jeśli jeszcze nie konspiratorami, to już pogardzał konspiracyjami.“

Przytoczyłem powyższe ustępy, aby wskazać ton i sposób, w jaki autor opisuje czasy srogiego ucisku narodu. Wolno nie pochwalać braku zimnej rozwagi w zrywaniu się do walki z przemocą, lecz nie godzi się najgrawać z ofiar despotyzmu, które wiedzione gorącą miłością kraju poświęcały dlań bez wahania siebie i wszystko, co człowiekowi drogiem. Jeżeli bowiem takie poświęcanie się w oczach autora jest zbrodnią, cóż jest w jego oczach cnotą? Zbijając jego niecnym deklamacyi, którychby sobie nawet satrapa moskiewski, mający jakie takie ukształcenie i poczucie sprawiedliwości nie dozwolił, jest najzupełniej zbytecznym. Lecz wypada się zastanowić nad znaczeniem odwagi cywilnej, z którą autor dość często wyjeżdża. Odwaga cywilna zasadza się zdaniem naszym na nieustraszonosci, z jaką obywatel w obronie prawdy i sprawiedliwości występuje obec każdej przemocy, targając się na nie, bez względu czy przemoc działa z góry czy też z dołu. Odwaga cywilna w tym znaczeniu jest cnotą i zasługuje na cześć i poważanie. Cnotę tę zaliczamy do najważniejszych nawet obowiązków obywatelskich, szczególnie w wypadkach, gdy odsłonięcie nagiej prawdy i ostrzeżenie na czasie może społeczność od nierozważnego odwrócić przedsięwzięcia, grożącego najzłubniejszymi następstwami, Brak w takich chwilach cywilnej odwagi, wynikającej z obawy narażenia się na osobiste niebezpieczeństwo, jest niedopełnieniem najświętszego obowiązku obywatelskiego. Lecz służbistość a raczej służalstwo narażające się na największe nawet niebezpieczeństwo nie jest odwagą cywilną, której głównym źródłem jest miłość prawdy, sprawiedliwości i dobra powszechnego. Kto zaś osłoniony potęgą cudzą i dla tego pod tą osłoną bezpieczny urąga niedoli własnego narodu, plugawi oszczerstwem i jadem potwarzy wszystko, co temuż jest świętym i bezcenne w sposób nikczemny ludzi nawet najczystszej poświęcenia i patriotyzmu, ten nie dowodzi odwagi cywilnej, lecz dopuszcza się podłości na wzgardę zasługującej. I autor byłby dowiódł cywilnej odwagi, gdyby

w r. 1861 i 1862 był ostrzegwał naród o zgubnych następstwach manifestacyi i coraz jawniej występującego zamiaru powstania zbrojnego. Teraźniejsze jego filipiki przeciw twórcom powstania i przeciw podziemnemu, jak go nazywa, rządowi narodowemu nie dowodzą odwagi cywilnej, ale całkiem czego innego.

Jako c. k. profesor dziejów powszechnych powinienby p. Walewski po 25 letniem zajmowaniu tego stanowiska tyle przynajmniej wiedzieć, że ucisk jedynie, narażający obywateli na wszelkie dowolności władzy rządowej i jej organów i na niepewność jutra, wywołuje konspiracye i zbrojne powstania. Same dzieje starożytne dostarczają aż nadto dowodów na poparcie powyższego twierdzenia. Gdzie nie było ucisku i społeczeństwo mogło się swobodnie i prawidłowo pod sterem rozumnego i sprawiedliwego rządu rozwijać, tam nie tworzyły się konspiracye, ponieważ nie było powodu, by ludzie narażali się na niebezpieczeństwo konspirowania, skoro mogli otwarcie i swobodnie pracować w sprawie dobra powszechnego. Polska nie była w tém błogiem położeniu przez lat kilkadziesiąt po ostatnim rozbiórce kraju. Naród dotknięty tak bolesnym ciosem doznawał największego ucisku. Prześladowanie wszystkiego, co narodowe, wykluczenie języka polskiego ze szkoły, sądów i urzędów, tamowanie wszelkich popędów do przyrodzonego rozwoju, oto czynniki prawdziwe do wytwarzania konspiracyi. Autor nie pojmuje zresztą tej prawdy, że każdy naród pozbawiony swój niezależności i zniewalany w dodatku do wyrzekania się swego jestestwa indywidualnego czyli swój narodowości, nie może się nigdy pogodzić z swém położeniem, i musi dążyć do odzyskania niepodległości, dającą mu możność życia własnym trybem przyrodzonym. Dążenie to jest tak koniecznem, jak są konieczne wszystkie funkcye życia indywidualnego, których odbywania żadna ustawa nie zdoła wzbronić.

Nasz autor wykrył wielki fakt dziejowy mówiąc (str. 199.), że naukowe światło w Niemczech walczyło z liberalizmem, do którego uściela drogę obskurantyzm. Dotąd mniemali wszyscy historycy, że oświata jedynie toruje drogę liberaliz-

mówi, że zatém nauka nie tylko go nie zwalcza, ale przeciwnie do jego przyczynia się rozwojowi. Liberalnym może być tylko człowiek prawdziwie oświecony, i nawet innym być nie potrafi. Lecz p. Walewski ma widać takie same pojęcie o liberalizmie, jak nasz lud niepiśmienny o wolnych mularzach, których przezwał farmazonami. U niego liberalizm, anarchya i komunizm są synonimami.

Jak cudne autor ma pojęcia o wielkiem zadaniu każdego rządu czy on monarchiczny czy republikański, dowodzi najlepiej twierdzenie jego (str. 200.), że sztuka rządzenia jest sztuką karania, z kąd wypływa nieograniczone prawo monarchów do karania, za co samemu tylko Bogu są odpowiedzialni. Takie określenie natury i zadania rządu mogłoby popłacać jedynie w carstwie moskiewskiem, gdyż w reszcie Europy mają ludzie od bardzo dawna inne całkiem pojęcia o rządzie i jego powołaniu. Że i w Polsce wyrobiły się po doświadczeniach boleśnych zdrowsze pojęcia o rządzie, świadczy ustawa rządowa z 3. Maja 1791, którą sam autor raczy za dobrą uznawać. Lecz czyż ta ustawa zasadza się na sztuce karania? czy na zupełnie czém inném?

Przechodząc do czasów najnowszych, upewnia nas p. Walewski (st. 207), że za panowania Aleksandra II. nastąpił najgłębszy upadek pojęć gabinetowych a nawet rządowych między Polakami. Ustęp ten poświęcony opisowi najnowszych wypadków w Polsce dowodzi z wielu innemi tego dzieła, że autor jako gorący zwolennik caratu moskiewskiego zamierzył właściwie wystąpić z pamfletem politycznym przeciw narodowi polskiemu, lecz że nie śmiał wydać go pod tytułem odpowiednim jego przeznaczeniu, aby nie odstraszyć ludzi z góry od czytania, i dla tego nazwał go filozofią dziejów polskich. Napis ten jest w sprzeczności z treścią i formą dzieła, które z wyjątkiem umieszczonej tu i owdzie frazeologii pozornie naukowej, zawiera zresztą samą tylko zjadliwą paplaninę przeciw wszystkim, nie dzielającą z autorem uwielbienia dla błogosławionych rządów cara Aleksandra II, prawowitości dynastycznej i lojalności wierno-poddańczej. O ścisłości naukowej, systematyczném przeprowadzeniu i zestawieniu głó-

wnych założeń i ich umiejętnem rozwiązaniu nie ma tu mowy. Jest to chaos sprzeczności, loicznych niedorzeczności i powtarzania się nieustannego, przeplatany luźną deklamacją i szkalowaniem w takim tonie, że mogłyby go nawet przekupki pozazdrościć autorowi. Rozprawiać się z autorem, nazywającym przewódców wypadków 1861—1864 złoczyńcami, którzy dla tego tylko je wywoływali, aby mieć sposobność okradania i rabowania kraju a tém samém tuczenia się groszem publicznym, byłoby zbyt wielkim dlań zaszczytem. Na takie oszczerstwa wymierzone przeciw znacznej liczbie ludzi zacnych, lubo za gorąco sobie poczynających w sprawach publicznych, jest najlepszą odpowiedzią wzgarda lub wezwanie oszczercy przed kratki sądowe. Przykro rzeczywiście pomyśleć nawet, że tak ohydny pamflet przeciw narodowi naszemu wyszedł w języku polskim, i że jego autor jest członkiem dotąd czynnym akademii umiejętności w Krakowie, nazywającej się polską!

Obryzgawszy błotem całą prawie przeszłość narodową, zapowiada p. Walewski (str. 215) nowe wskrzeszenie Polski przez cesarza Franciszka Józefa I, i Aleksandra II, przy czém prawi o postawie narodu obec restauratorów i jego postępie w pojęciach rządowych i gabinetowych. Autor wspomina bardzo pobieżnie o ulepszeniach zaprowadzonych w naszej prowincyi, które ze względu na system parlamentarny i niektóre instytucye rzeczywiście liberalne nie mogą mu się podobać. Za to rozplywa się w szumnym panegiryku nad dobrodziejstwami, któremi car albo już obdarzył uszczęśliwiony naród, albo go obdarzyć zamierzył. Że zaprowadził język moskiewski w szkołach, sądach i urzędach królestwa, i odjął mu resztki autonomii, że przemocą szerzy prawosławie i siłą zbrojną zniewala lud do zmiany wiary przodków, że tylko Moskalami osadza wszystkie urzędy i t. d. i t. d. to wszystko nie zraża naszego historyozofa od udzielenia mu tytułu wskrzesiciela Polski, ponieważ on wie najlepiej, że wielkomyślny car dąży powoli do wskrzeszenia Polski, skoro pozwolił na wystawę rolniczą w Warszawie, co przecież więcej znaczy niż amnestya dla winowajców, lub zaprowadzenie par-

lamentu, który nic nie wart, gdyby był nawet najlepszym. Chcąc zbijać wszystkie twierdzenia i brednie historyczne autora i zestawiać sprzeczności i niekonsekwencje loiczne w jego dziele zawarte, trzeba by napisać kilka tomów. Zresztą jak zbijać twierdzenia pisarza, który nieustannie prawi o jakichś nikomu nieznanym dokumentach, a nigdzie ich nie przytacza i nie wskazuje miejsca, gdzie je odkrył i czytał, ani źródła, z którego je wypisał. Już sama okoliczność, że z wyjątkiem jednego dokumentu, który miał, jak zaręcza u siebie, a drugiego, który mu odczytano, a które mają się znajdować w archiwum Czartoryskich, żadnego innego nie przywiódł, dowodzi najlepší, że takich dokumentów autentycznych nie miał w ręku. Lecz tym manewrem chciał zjednać sobie wiary u mniej obeznanych z wypadkami, których rzeczywiście może w błąd wprowadzić przypuszczeniem, że czynny członek polskiej akademii umiejętności nie śmiałyby prawić o nieznanym innym dokumentach autentycznych, gdyby z nich nie był korzystał. A jednak zdobył się p. Walewski na tę śmiałość jak to poniżej wykażę dowodnie.

P. Walewski walczy w swém dziele bardzo często z bezwyznaniowością; zdawałoby się zatem, że musi być nader religijnym, zwłaszcza gdy nawet nieomyślności papieża broni w sposób całkiem niefilozoficzny. Wolno go więc zapytać, który artykuł wiary chrześcijańskiej dozwala oskarżać drugich bez dowodów w ręku o najstraszniejsze zbrodnie, odbierać im cześć, ohydzić ich i wzniecać przeciw nim nienawiść? Wszakże jego twierdzenie, że wybuch powstania w r. 1863 nastąpił dla tego jedynie, ponieważ sprawcom tegoż chodziło wyłącznie o natkanie swych kieszeń, aby potem mieli z czego żyć wygodnie za granicą, jest takim niechrześcijańskim oskarżeniem bez dowodów. Autor dodaje przytém, że to byli sami nędzni hołusze bez urodzenia, wychowania i wszelkiego wykształcenia, którzy zorganizowali oszustwo na olbrzymie rozmiary. Na to wszystko należało przytoczyć dowody, zwłaszcza że ile wiemy między twórcami powstania było dość ludzi, którzy więcej nierównie mieli do stracenia i stracili nawet, niż autor kiedykolwiek posiadał a po upadku tegoż bez narzekania ciężką pracą

zarabiali za granicą na swe wyżywienie. Lecz nie warto się spierać tam, gdzie są zarzuty ogólnikowe bez dowodów, a spierać z człowiekiem, który nie ma wyobrażenia o miłości ojczyzny. Pomijam téż resztę opisu jego najświeższych wydarzeń i arcyładne wywody o potrzebie przymierza Austrii z Moskwą dla ocalenia oświaty, ponieważ takich dziwołagów pseudofilozoficznych nie warto nawet rozierać krytycznie.

Streszczając swe wywody filozoficzne dziejów polskich dotyczące, mówi najprzód (str. 243 i 244) o jestestwie monarchii polskiej i o przyczynach anarchii z nią nieustannie walczącej. Z całego toku rozumowań widać, że autor nie ma jasnego pojęcia, w jaki sposób rozwijały się społeczeństwa ludzkie w ogóle a polskie w szczególności. Wykazałem już poprzednio, że wpływ warunków klimatycznych bardzo ważną w tém odgrywał rolę, i że się inaczej rozwijały i urządziły społeczeństwa w środkowej Azji a inaczej na północy a szczególnie w Europie. Tam wytwarzały się z stosunków patriarchalnych jedynowładztwa nieograniczone czyli absolutne, w Europie zaś albo Rpte tu gminowładne, tam możnowładcze, albo monarchye mniej lub więcej ograniczone, które powstawały albo na podstawie wyboru albo w skutek przywłaszczenia. Na wschodzie były wszystkie rządy absolutne najzupełniej do siebie podobne, lecz w Europie wytwarzała się największa różnorodność pod względem formy rządów, ponieważ w rozwijających się nieustannie społeczeństwach zmieniały się stosunki i okoliczności, oddziaływające wraz z warunkami klimatycznymi i położeniem geograficznym na wyrabianie się teje w sposób najróżnorodniejszy. W podaniach zatarły się po największej części ślady owych wpływów na utworzenie téj lub owéj formy rządów. Czystej formy rządu czy to gminowładnej, czy arystokratycznej czy w końcu monarchicznej nie spostrzegamy nigdzie prawie w Europie, ponieważ społeczeństwa w niej żyjące i rozwijające się nieustannie nie stosują się do téj lub owéj teorii, ale wytwarzają w miarę zmieniających się stosunków i potrzeb tudzież w skutek mnogich przypadkowych okoliczności stosowną dla siebie w każdym czasie formę rządów. P. Walewski nie wchodzi w takie szcze-

góły, a za to każe się od razu rodzić Polsce w w. X, i wysnuwa z téj chwili urodzenia się narodu całą genetyczną epopeję jego losów, usposobień i charakteru. Lecz zapomniał widocznie, że jak w dziejach tak tém bardziej w historyzozofii nie można opierać się na dowolnych przypuszczeniach. Gdyby był należycie zbadał wzmianki historyczne, zawarte w kronice Dytmara i w rocznikach klasztorów niemieckich, a odnoszące się do Mieczysława I, byłby się sam przekonał, że Mieczysław rządził już państwem dość zorganizowaném, że zatem wiele musiało upłynąć czasu, zanim taka organizacja przyszła do skutku. Narodowe zaś podania, lubo mętne i dziwaczniemi dodatkami kronikarskiemi upstrzone, wskazują nie mniej, że przed dynastją Piasta panowały inne w Wielkóipolsce, jak bezpośrednio przed nią dynastja Popielów i Leszków, a w Małóipolsce dynastja Krakusa. Nie ma w tych podaniach ciągu chronologicznego, który się całkiem zatarł, lecz mimo to świadczą one zawsze, że podana przez autora chwila powstania państwa polskiego jest niezgodna z rzeczywistością dziejową, że zatem wszystkie na tém przypuszczeniu jego oparte rozumowania najmnójszój nie mają podstawy.

Wychowanie narodu odbyło się także w sposób jemu właściwy, a czy był w chwili zetknięcia nad Odrą z Niemcami pół-dzikim, jak chce p. Walewski powołujący się na kronikę Dytmara, wolno powątpiewać, ponieważ Dytmar nie jest wyrocznią, a jawna niechęć ku książętom polskim, szczególniej ku Bolesławowi Chrobremu odbiera twierdzeniom jego dotyczącym stanu cywilizacyi narodu, cechę niewątpiwój wiarogodności. Że w Polsce powstałój z cząstek gminowładnie urządzonych nie mógł się rozwinąć ów żywioł patryarchalny, z którego miały się z czasem urobić uczucia monarchiczne, było zjawiskiem zupełnie naturalnóm, ponieważ samo geograficzne położenie kraju i wpływy klimatyczne nie sprzyjały takiemu patryarchalizmowi między ludnością rolniczą, rozdzieloną na mnogie gminy swobodne i od siebie wzajem niezależne. Gdy z czasem w skutek przywłaszczenia, którego wyraźne cechy zatarły się w podaniach, powstała tu monarchja, przybrała wprawdzie znamiona absolutnój, lecz nie łączyło się

z nią pojęcie prawowitości, ponieważ nie otaczał jej urok mniemanego pochodzenia nadnaturalnego. Hierarchya feudalna, która u plemion germańskich, zamięłowanych w wojnie i podbojach, rozwinęła się w bardzo odległej starożytności, była bezwzględnie niemożliwą u plemion sławiańskich w ogóle a u polskiego w szczególności, ponieważ nie było ani podboju ani podbijania; a chociaż z łona społeczeństwa w równości obywatelskiej a nawet poniekąd społecznej zrosłego wyosobnił się z czasem stan szlachecki, pierwsi zaś książęta i królowie z rodu Piasta rządzili samowładnie, przyznali sobie prawo rozrządzania wszystką ziemią, granicami państwa objętą i na wzór zachodnich monarchów rozdawali ją osobom należącym do swego otoczenia, nie mógł się przecież żadną miarą wkorzenie feudalizm. Wyłoniona bowiem z ogółu ludności szlachta urządziła się powoli w swym stanie wedle tradycyjnych wyobrażeń narodowych całkiem gminowładnie, a za to przyjęła na siebie wyłącznie ciężący w dawnych czasach na wszystkich mieszkańcach obowiązek służby wojennej w obronie kraju. Z czasem spotykamy między szlachtą nierówność, lecz takowa nie opierając się ani na tradycyi ani na ustawach, była wynikiem przewagi tylko majątkowej, z której wywiązała się przewaga wpływu i znaczenia, co nader było zmienném, skoro jedne rody możne się wznosiły nagle, a drugie upadały. Wszystkie zaś próby ustanowienia drabinki hierarchicznej na wzór zachodni rozbiły się o stanowczy opór szlachty, zamięłowanej w równości obywatelskiej swego stanu.

Zasada monarchiczna ustaliła się w narodzie z następstwem czasu, lecz z samowładnej stawała się powoli dzięki wrodzonym usposobieniom narodu co raz bardziej ograniczoną, do czego nie mało się przyczyniło i wygasanie panujących rodów. Autor nie umie odróżnić ograniczenia władzy osobistej króla od anarchyi czyli bezrządu w właściwem wyrazu tego znaczeniu. U niego bowiem jest każde ograniczenie téj władzy zaraz anarchya. Samo jednakże ograniczenie władzy królewskiej nie sprowadza jeszcze bezrządu, ponieważ mimo ścieśnienia tejeż można utworzyć rząd silny, mający całkowitą władzę wykonawczą, lecz odpowiedzialny za jej użycie,

jak się to dzieje w państwach konstytucyjnych. P. Walewski przytoczył aż siedm przyczyn bezrządu w Polsce, a nie umiał odszukać prawdziwej, ponieważ nie zbadał wszechstronnie i gruntownie dziejów i całokształtu urzędów narodowych. Bezrząd musiał wyniknąć, skoro odjąwszy królom władzę nieograniczoną, nie umiano natomiast wytworzyć rządu silnego i sprężystego, i gdy w dodatku miasto ustanowić rząd złożony z ministrów odpowiedzialnych za sposób wykonywania władzy sobie powierzonej, zwalono odpowiedzialność za czynności rządowe na osobę króla, i tém zastrzeżono sobie wyraźnie prawo pociągania go przed sąd narodu za nadużycie władzy i za każde naruszenie ugody z nim przy wyborze zawartej. Jest to najkardynalniejszy błąd polskiej ustawy rządowej, dający się właściwie od elekcyi Batorego, z którego wszystkie złe wynikły następstwa, a którego nasz historyozof nie spostrzegł bynajmniej. Zwątlenie bowiem władzy wykonawczej i podkopanie powagi królewskiej były nie do uniknienia, skoro sam król był za wszystko odpowiedzialnym i na każdym sejmie można było mu wytykać naruszenie umowy z narodem zawartej. Przybyła do tego druga równie szkodliwa niewłaściwość, t. j. dożywotnie piastowanie wielkich urzędów czyli ministerów, ponieważ z tego wyrodziła się nieodpowiedzialność piastujących takowe. Trzecią w końcu a najzgubniejszą przyczyną bezrządu było liberum veto, przyznane każdemu z posłów, ponieważ zdano tém losy ojczyzny na widzimi się pierwszego lepszego warchoła, który uzyskawszy mandat poselski mógł czy to za wzięte od kogokolwiek pieniądze, czy też z buty lub głupoty udaremnić uchwalenie najzbawienniejszych ustaw, a nawet sparaliżować i zniweczyć wszelką działalność ustawodawczą sejmu. Otóż tego wszystkiego nie podniósł i nie rozświecił w sposób umiętny nasz historyozof, ale wolał zasady legitymizmu, nieomyłności, cezaryzmu, lojalności, feudalizmu i t. d. zastosowywać do dziejów przeszłości naszej, a uroiwszy sobie, że Polska urodziła się w w. X., wysnuwać z tego urojenia sążniste wywody, których faktami dziejowemi nie poparł i nie zdołał poprzeć.

Autor nie cierpi liczby. Król wszechwładny, silna hierarchya ku podporze tronu a ślepe posłuszeństwo u reszty, jest ideałem jego organizacyi rządowej. Lecz czy i to zapewnia byt narodom? czy ubezpiecza je przeciw zaborcom? Dość wczytać się w dzieje, by się przekonać o przeciwnieństwie a nie mniej i o tém, że największą potęgę stwarza zaszczone w masie ludności poczucie śwych praw i obowiązków obywatelskich. To poczucie bowiem tkwiące w każdej piersi, a zatém w liczbie, zradza poświęcenie w razach niebezpieczeństwa i ocala narody od upadku. Najsamowładniejszy i najjenialniejszy władca nie dokaże nic, gdy takiego poczucia nie ma w masach. Czém pokonano Napoleona I.? Smutny koniec wyprawy moskiewskiej nie był wynikiem ani mądrości Aleksandra I. ani dzielności Moskali. Przestrzeń i klimat ocalały Moskwę a spiknione żywioły zniszczyły armię francuzką. Lecz i ta klęska nie byłaby obaliła Napoleona I, gdyby przeciw jego wszechwładztwu nie zwrócono najprzód rozbudzonego w całych Niemczech obietnicą wolności poczucia obywatelskiego, a powtóre nie użyto zręcznie zdrajców francuzkich, którzy spiknieni z obcymi przeciw własnej ojczyźnie, w chwili stanowczej pracowali nad osłabieniem tego poczucia we Francyi. Nasz historyzof nie umie czytać w dziejach, i dla tego wielbi legitymistów francuzkich, którzy zdradzili własną ojczyznę a obalenie Napoleona I. mieni zwycięstwem prawowitości i zbawieniem Europy i ludzkości. Kongres jednakże wiedeński i następne wypadki wskazują najlepiej, jakiego rodzaju było to zbawienie, i jakim duchem byli ożywieni mniemani zbawcy a między nimi i car Aleksander, którego dworujący pochlebcy nazwali wskrzesicielem Polski.

Twierdzenia p. Walewskiego o improwizowaniu ustaw i przerywaném wychowaniu narodu są jakby echem średnio-wiecznych doktryn, w których uczono, że narody są stworzone dla książąt i królów, rządzących i rozrządzających niemi wedle upodobania. Wzgardzona przez autora liczba jest trzodą dla pasterza i jego pomocników. Skoro jest pasterz a trzoda słucha, idzie wychowanie doskonale, a w razie przeciwnym następuje w niém przerwa, która przed dojściem do dojrze-

łości jest najniebezpieczniejszą. Stosując tę teorią do Polski, upewnia nas autor, że gdy monarchya była czczoną i wielbioną, naród się podnosił, a gdy się działo przeciwnie, upadał, co miało się odbywać na przemiany. Taki wypadek miał nas dotknąć w w. XVI, a gdyby nie zbawcze rządy Zygmunta III, nie byłoby i śladu z Polski. Są to rzeczywiście odkrycia dziejowe, o których się nikomu przed p. Walewskim nie śniło nawet. Monarchya to duch, a anarchya ciało; każdy zaś sejm czyli parlament jest już objawem usposobień anarchicznych, ponieważ daje znaczenie liczbie t. j. cielesności i podkopuje duchowość, skupioną w monarchyi. Przeprowadzając powyższe twierdzenia autora z całą konsekwencją loiczną, dojdzie się ostatecznie do zasady, że każda Rpta jest ciałem bez ducha, skoro nie ma monarchy.

Przystępując (str. 251) do powtórzenia uwag nad genezą narodu w wieku XVI, zżyma się na wiek ten, który spowodował rewolucyą religijną i zdaniem jego najszkodliwszy wpływ wywarł na Polskę, będącą w wieku krytycznym, t. j. zbliżającym się do dojrzałości ale nie pełnoletnim. Rozповіда dalej, że w tym wieku zaczęły się z jednej strony w Europie czynności dyplomatyczne a z drugiej rewolucye religijne. Pierwsze dążyły przez zawiązywanie stosunków między państwami do wytwarzania związków, celem zyskania większej potęgi lub ubezpieczenia się przeciw innym, co sprowadziło rywalizacyą francuzko - austryacką; drugie podniecały w Polsce usposobienia anarchiczne. Autor zarzuca więc Zygmunтови I, że od zarazy reformacyjnej nie bronił narodu, ponieważ nie połączył się z Austryą celem pokonania reformacyi. Tém spowodował z jednej strony wzmożenie się anarchyi a z drugiej osamotnienie Polski w chwili, gdy inne mocarstwa zyskiwały na potędze przez związki między sobą. Gorzej jeszcze postąpił sobie zdaniem jego niedołączny Zygmunt August, ponieważ przez unią lubelską osłabił dawną federacyę z Litwą i znieprzyjaźnił tém oba narody ku sobie, a w dodatku zniósł dynastyą, to najwyższe dobro narodu, przez zrzeczenie się praw swych dziedzicznych na Litwie nawet, na dobitek zaś ustanowił sejm centralny dla obu na-

rodów, podkupujący ich autonomią. Czytając to wszystko, możnaby sądzić, że autor nie pisze na seryo, ale stroi sobie żarty z swych czytelników. Lecz tak nie jest, ponieważ p. Walewski rozpowiada wszystko to w sposób stanowczy tak w tekście jak również w przypisie (str. 254.). Mimo przytoczeń z dziejów unii, wydanych przez Działyńskiego, widać z całej osnowy jego rozumowań, że nie obeznał się wszechstronnie z jej przebiegiem i z rozmaitemi sprawami, które się z nią łączyły. Nie wiedząc w rzeczy, o co chodziło spierającym się z sobą stronom, nadaje zbyt wielkie znaczenie temu, co twierdzili przeciwni unii możnowładcy litewscy, którzy lękając się utraty swego wpływu przeważnego na Litwie, opierali się ściślejszemu połączeniu jej z koroną. Federacya dawniejsza była luźnem zespoleniem dwu państw złączonych z sobą czasowo przez unią personalną, którą litewscy możnowładcy ciągle prawie podkopywali, aby tylko swe feudalne prawa zachować. Unia lubelska złamała ich opór na zawsze a zespalając z sobą oba narody na wieczne czasy, obaliła na Litwie feudalizm. Jak zaś silnie zespoliła z sobą oba narody, dowodzi najlepiej sam fakt, że nawet rozbiory kraju nie potrafiły rozerwać tego połączenia. Co autor prawi w przypisku (str. 254) o zdaniach cudzoziemców o unii lubelskiej i zgubnych jej następstwach, jest tak niedorzecznem, że nie warto się nad tém zastanawiać nawet. Są to brednie godne tylko p. Walewskiego.

Najznakomitsze odkrycia dziejowe p. Walewskiego odnoszą się do czasów panowania Stan. Augusta. Z jakich źródeł czerpał swe wiadomości, trudno oznaczyć, skoro ich nie przytoczył, lubo często powtarza ulubiony frazes, że „tu ustają autentyczne dokumenta,“ lub „według dokumentów, które mi są znane.“ Tymczasem widać z całej osnowy tej części dzieła, która dotyczy epoki Stan. Augusta, że nie miał nawet w ręku, jak to wskazałem już poprzednio, najważniejszych dzieł, w których ogłoszono po raz pierwszy nadzwyczaj cenne dokumenta, wydobyte z archiwów wiedeńskich, berlińskich, petersburskich i innych. Że tych dzieł ani widział, ani o nich nie słyszał, dowodzi najprzód okoliczność, że powołując się

na dzieła mniejszej wagi, o nich nigdzie nie wspomina, a powtóre, że mówiąc o depeszy Repnina z 22. Grudnia 1767 twierdzi (str. 150), jakoby takowa, ile mu wiadomo nigdzie nie była drukiem ogłoszona, i jakoby ją dopiero Mieroszewski w swój książce: „Szkic dwuwiekowej polityki polskiej“ umieścił w całości. Całą tę depeszę mógł p. Walewski odczytać w Słowiewia dziejach upadku Polski, gdzie znalazłby był wiele innych depesz Repnina, a oraz nie mało instrukcy i poleceń, jakie w owym czasie nadchodziły z Petersburga.

Z ogłoszonych dotąd źródeł archiwalnych i innych równie autentycznych i wiarogodnych dokumentów, okazuje się najwyraźniej, że Katarzyna II. rozwijając dalej politykę i zamysły Piotra I, zamierzyła zaraz po opanowaniu rządów tak wszystkim zakierować, aby o władnąwszy Polskę najzupełniej, uzyskać przez to wpływ przeważny w Europie. O formalném zajęciu jej i wcieleniu do państwa moskiewskiego nie mogło na razie być mowy, ponieważ krok podobny byłby spłoszył całą Europę i wywołał koalicję, z którą walka była zbyt niebezpieczną. Zresztą takie formalne zajęcie nie było konieczném, skoro cel główny polityki moskiewskiej dał się w inny mniej rażący sposób osiągnąć. Drogę do tego wytknął już Piotr I, a Katarzyna korzystając z pomyślnego zbiegu okoliczności, postanowiła iść dalej w wskazanym przezeń kierunku, to jest pozostawić Polsce niepodległość pozorną, a w rzeczy utrzymywać ją w najzupełniejszej od siebie zależności. Dwie głównie okoliczności ułatwiały jej wykonanie tego zamiaru. Pierwszą było wycieńczenie ogromne pierwszorzędnych państw europejskich w skutek siedmioletniej wojny, a drugą dawniejszy stosunek jej miłośny z Stan. Augustem Poniatowskim, kasztelanem krakowskim, siostrzeńcem Michała i Augusta Czartoryskich. Tamta dodawała jej otuchy do przedsięwzięć śmiałych, skoro można było przewidzieć z góry, że mocarstwa po stratach poniesionych w świeżo ukończonej wojnie nie okażą pewnie ochoty do podejmowania nowój z przyczyn mniej ważnych. Poznanie zaś bliższe kasztelanica krakowskiego odsłoniło jej z jednej strony plany i zamysły reformacyjne familii, tudzież bezsilność Polski w nierządzie pogrążonej,

a z drugiej zdolności i charakter człowieka, który stał się w jej ręku wybornym narzędziem do ustalenia jej zwierzchnictwa faktycznego nad Polską. Z późniejszych listów Stan. Augusta widać, że Katarzyna będąc jeszcze wielką tylko księżną, zagrzewała rozmarzonego kochanka do ubiegania się po śmierci Augusta III. o koronę polską i że w części obiecYWaniem pomocy a w części zręcznym nawet szyderstwem starała się w nim wzniecić zapał i odwagę do kroku tego, który mu się z początku wydawał zbyt awanturczym. Gdy więc osiadła na tronie, weszła natychmiast w stosunki z rodziną byłego kochanka, a sprzyjawnionego z Czartoryskimi Kajserlinga wyprawiła do Warszawy jako pełnomocnego posła swego. Przebiegły ten dyplomata i matacz był dokładnie obeznany tak z planami swjej pani, jak nie mniej z prawdziwymi zamysłami familii, która już od dawna nosiła się z myślą przeistoczenia Polski w rządną i potężną monarchyą. W myśl zatem instrukcyi swojej starał się utrzymywać Czartoryskich w mniemaniu, że carowa najlepszymi jest dla nich i ich reform ożywiona chęciami, i że udzieli im nawet pomocy celem wyniesienia kogoś z grona ich familii na tron polski. Ośmieleni tém Czartoryscy postanowili przystąpić do utworzenia konfederacyi, która miała według ich memoriału do carowej wystosowanego składać się z samych przyjaciół Moskwy. Katarzyna nie sprzeciwiała się na razie ich zamysłowi, a nawet przyrzekła poprzeć go pieniędzmi i bronią, lecz skóro spostrzegła, że jej przyjaciele polscy dążą do całkowitego zreformowania rządu we wszystkich kierunkach, powstrzymała po półrocznych rokowaniach nagle ich zapędy, a zarzucając im chęć detronizowania Augusta III, nie pozwoliła na utworzenie konfederacyi za życia króla tego. Za to przyrzekła im pomoc swoją jak najrozsądniejszą po śmierci królewskiej, aby ich nie zrazić i tém nie zmusić niejako do połączenia się z stroną przeciwną. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że do tego tak nagłego zwrotu w usposobieniach carowy nie mało się przyczynił przyjaciel jej Fryderyk II, król pruski, uwagami swými, ale jest rzeczą równie pewną, że i sama Katarzyna nie myślała pomagać do uchylenia bezrządu w Polsce,

ponieważ wiedziała, że tylko Polskę nim trawioną potrafi utrzymać w zupełnej od siebie zawisłości. Świadczą o tym najlepiej wynurzenia jej, zawarte w poufnych listach do Fryderyka II, instrukcje jej i Panina dawane Kajserlingowi i Repninowi w początkach bezkrólewia i tajemne artykuły jej układu przymierczego z Fryderykiem II. z 1764 i 1767. Z tych i innych dokumentów autentycznych dowiadujemy się najprzód, że utrzymanie bezrządu w Polsce było stanowczym jej zamiarem, a powtóre, że dla tego jedynie postanowiła Stan. Augusta, który bez jej pomocy pieniężnej i orężnej nie mógł ani zamarzyć o koronie, wynieść na tron polski, aby mieć w nim dogodne i powolne narzędzie swych planów. Cały zresztą przebieg spraw bezkrólewia jest niezbitym tego dowodem. Czartoryscy zawiedzeni w nadziei dokonania najpotrzebniejszych krajowi reform pod osłoną pomocy moskiewskiej musieli brać się na sposoby, aby oszukać czujność moskiewsko-pruskich opiekunów. Powcisicali też ukradkiem w konstytucycie sejmu konwokacyjnego i elekcyjnego rozmaite ustawy zbawienne, czém wdrożyli nie jedną ważną reformę. Skoro jednakże carowa spostrzegła doniosłość i poznała prawdziwe znaczenie tych ustaw, zażądała zaraz kategorycznie ich uchylenia, a Repninowi poleciła wyraźnie, aby się związał z stroną nawet przeciwną królowi i familii, byle tylko wszystko przywrócić do dawnego bezrządu. Podniesienie również sprawy dyssydentów nie wynikało ze względów humanitarnych, chociaż je niemi okraszała Katarzyna, ale z pobudek politycznych, ponieważ chciała tém zwiększyć jedynie zamęt w Polsce i przez wywołanie sporów religijnych przywieść ją do większego jeszcze osłabienia. Udzielając swój opieki dyssydentom, dla których domagała się całkowitego równouprawnienia, chciała w nich mieć gotowe zawsze narzędzia do wszczynania zamieszek. Postępowanie jej w czasie sejmu 1766 i podczas wywołanej z jej rozkazu konfederacji radomskiej odsłania jeszcze dobitniej prawdziwe jej zamiary. Repnin poczynał sobie we wszystkiém gdyby namiestnik kraju jej zupełnie podległego, a nie czynił tego z własnego popędu, ale na mocy otrzymywanych z Petersburga stanowczych

i wyraźnych rozkazów, które go upoważniały do użycia środków nawet przymusowych i gwałtownych, byle narzucić Polsce zwierzchnictwo carowy i przeszkodzić uchyleniu bezrządu.

Tak przedstawia nam się owoczesny stan rzeczy w Polsce według osnowy dokumentów autentycznych, dotąd drukiem ogłoszonych. Pan Walewski jednakże, któremu dokumenta te, w licznych bardzo dziełach zawarte, najzupełniej są nieznane, opisuje wszystko inaczej. Twierdzi bowiem stanowczo, że Katarzyna II. pomagała szczerze i wspaniałomyślnie Czartoryskim i to z zupełną świadomością celu, przez nich zamierzzonego, i że nie tylko pragnęła wydzwignąć Polskę z upadku, ale nawet uczynić ją potężną, aby następnie zwiąawszy ją przymierzem z sobą, gromić skutecznie Niemców i Turków. Upewnia dalej, że dotąd wspierała króla i Czartoryskich, dokąd zwalczali anarchią i anarchistów, a zwróciła się wtedy dopiero z nastrojenia Niemców przeciw nim i dała im uczuć gniew swój, gdy uganiając za popularnością, zaczęli przymilać się anarchistom i paktować z nimi. Lecz i teraz nie miała mimo zabiegi Niemców złych względem Polski zamiarów, ponieważ sprzyjała jej zawsze i chciała jej dobra tylko. Sprawa nawet dyssydentów, przez nią podniesiona, była w rzeczy słuszną, a jeżeli król lękał się obciążyć swe sumienie przyzwoleniem na jej żądania w tej mierze, mógł się udać po radę do ojca świętego. P. Walewski nie wie widocznie, że takie zasięganie rady papieża było najzupełniej zbytecznym, skoro tenże wzywał sam króla i naród w r. 1766 i 1767 do stanowczego oporu przeciw uroszczeniom dyssydentów i ich opiekunów. Zdaniem autora istniało z początku najzbawiennejsze dla Polski między carową a rodziną przymierze, a „dziejom zależałyby wiele na dokładnej, dokumentami udowodnionej wiedzy, która z dwóch stron więcej i wcześniej od przymierza się oddaliła.“ Sprawa tak ważna dla niego jest zupełnie obojętną dla dziejów owej epoki, które już wskazały, że skoro Moskwa narzucała pod pozorem przymierza jarzino swe Polsce, musiała się przeciw niej zwrócić niechęć tych nawet, którzy się z nią wiązali z początku. W opisie pobieżnym konfederacyi radomskiej a oraz wydarzeń, które ją

sprowadziły, przyznaje p. Walewski Katarzynie II. słuszność we wszystkiem i nie ma dość słów uwielbienia dla niej i dla wykonawców jej woli, których wychwała za surowe postępowanie z anarchistami. Twierdzi téż (w przypisie str. 263 i następ.) stanowczo: 1.) że Moskwa była uprawnioną do obalania anarchyi i karcenia znanych nieprzyjaciół kraju, do czego zresztą wyraźnie była zaproszoną; 2.) że Polska nic nie traciła na téj nowój zawisłości, ponieważ była już w bezkrólewiu zależną od obcych, a od czasu gwarancyi moskiewskiej, w r. 1733 narzuconej przez Austryą, przestała być niepodległym państwem; 3.) że Moskwa wezwana do zwalczania anarchyi nie była przecież obcym mocarstwem, ale stroną, a więc miała prawo i obowiązek ścigania anarchistów; 4.) że z tego wywiązała się należycie, ponieważ wspierała króla i familią, dokąd walczyli z anarchią, w przywracaniu ładu i porządku i w dźwiganju Rptęj z upadku; 5.) że następnie, gdy reformatorowie przeleżeli się własnej energii, Moskwę opuszczając i o patryotyzmie zepsutego narodu marzyć zaczęli, prowadzili Moskale na własny rachunek i w sposób może nie zbyt delikatny dzieło rozpoczęte a tyle błogie dla przyszłości Polski, którą trzeba było wydobyć z niewoli domowej, i od dalszego zepsucia ochronić, z posłuszeństwem i ładem obeznać i tą drogą ocalić; 6.) że gdyby Moskale byli wtedy opuścili Polskę, byliby anarchiści wycięli stronę konserwatywną a za współdziałaniem Niemców i Francyi nie byłoby dziś ani śladu z Polski, na wieki pogrzebanej i t. d. i t. d. Z tego wszystkiego wynika zatem, że od narodu ocalonego należy się największa wdzięczność wspaniałomyślnój Katarzynie II. za tyle wyświadczonych mu dobrodziejstw. Czytałem wszystkie deklaracye, ogłaszane w imieniu téj carowój, lecz żadna nie może iść nawet w porównanie z twierdzeniami p. Walewskiego.

Chwaląc atoli carowę i jej posła Repnina, ma Walewski (str. 265.) do nich a właściwie do Repnina żal wieiki, że się w r. 1767 związał z anarchią, prawil o detronizacyi króla i obalał całą reformę, nim się i sam spostrzegł, że z anarchistami niepodobna trafić do ładu. Przedstawia zaś rzecz

całą w taki sposób, że może się zdawać, jakoby Repnin sam na własną działał rękę. Tymczasem wiadomo dziś każdemu, kto się obeznał z dziejami tego czasu, że Repnin lubo butny, zuchwały i pozwalający sobie wiele w codzienném obojętności z ludźmi, był tu ślepym jedynie wykonawcą rozkazów przysyłanych z Petersburga. O tém nie wie widocznie nasz historyzof, a jednak udaje wszystkowiedzącego, chociaż nie ma prawie kartki w dziele jego, gdzieby nie można mu wskazać jakiegóś rażącej nieprawdy, której się dopuścił jeżeli nie z rozmysłu, to pewnie z nieuctwa.

Przypisawszy pierwszy rozbiór konfederacyi barskiej, która nie tyle z usposobień nawet anarchicznych narodu ile z nastrojenia Niemców i Francyi powstała, opowiada autor, że Polska musiałaby była paść ofiarą chciwości Niemców, gdyby nie Katarzyna szlachetna, która także oszukana przez Niemców postanowiła mimo doznanej niewdzięczności ze strony Polaków pracować dalej nad ich wydzwignieniem z upadku. Pod jej też opiekuńczymi skrzydłami rozpoczęło się dzieło odrodzenia Polski po pierwszym rozbiorze, a naród wyleczony z wielu przesądów dojrzał widocznie pod sterem ubóstwianego króla, który wiernie trzymał się carowy, pragnącej podnieść niewdzięczną Polskę a nieufać Niemcom! Przez lat 20 szło wszystko cudownie a Katarzyna chciała nawet przed nową z Turkami wojną, znieść dzieło pierwszego rozbioru Polski. Lecz i teraz doznała zawodu od niewdzięczników, którzy woleli ufać Prusakom i kochać Turków, których nie widzieli, niż wierzyć jej wspaniałym oświadczeniom. Rozżalona na Polskę carowa dała się usidlić Niemcom, a w uniesieniu zemsty pozwoliła na drugi i trzeci rozbiór tejsze. Że zaś Polska w tém rozbiu nie przepadła na zawsze i doczekać się mogła zmartwychwstania, zawdzięcza jedynie Stan. Augustowi, który nigdy nie wyrzekł „Finis Poloniae,“ był zawsze z chwilowemi tylko wyjątkami wierny Moskwie, a sprawie narodowej był wiernym bez wyjątku, czego o żadnym z owoczesnych Polaków nie można powiedzieć. Oto w treści, co p. Walewski rozpowiada o przebiegu spraw publicznych w Polsce począwszy od pierwszego rozbioru aż do wymazania jej z karty

europeskiej. Na taki panegiryk Katarzyny II, jaki w swęj filozofii dziejów polskich skreślił, nie zdobył się żaden dotąd Moskał, a śmiało można dodać, że żaden nawet z najzaciętszych wrogów nie opisał tęg części dziejów naszych w tak oburzający uczucie polskie sposób, jak czynny członek c. k. akademii umiejętności, świeżo powstałęg w Krakowie. W dowód że nie przesadzam, przytoczę z jego „zestawienia początku i końca genezy Polski niepodległęg“ ustęę (str. 277) zawierający porównanie Mieczysława I i Stan. Augusta. „Mimo, że Mieczysław I. nosił prosty kozuch wilczy, a Stan. August trefioną fryzurę, było krom kultury najniższęg za Mieczysława, najwyzszęg za Stanisława (a z którą obecna w porównanie iść nie może,) położenie polityczne zupełnie to samo. Jak Mieczysław zastał ciemnych, krnąbrnych barbarzyńców, dziez pozbawioną wszelkięg myśli, żyjącą jedynie zwierzęco i z tych materyałów wyciosał, głównie przez gętkość wobec potęgznego sąsiada, Polskę: tak tęg Stan. August zastał ciemnych, krnąbrnych barbarzyńców, dziez pozbawioną wszelkięg politycznęg myśli, żyjącą jedynie zwierzęco, nie chcącą ani słyszeć o zasadach lub powinnościach obywatelskich i z tych materyałów zdołał, przy pomocy potęgznego sąsiada, wyciosać Polskę nową. Stara Polska już w wieku XVII. wzionęła ducha i wegetowała dla anarchy i jedynie dla pośmiewiska cudzoziemców przeżywała się narodem i państwem.“ Ta jedna próbka wystarczy, aby wskazać ton, w jakim p. Walewski umie pisać, i w jakim tęg wszystkie swe pisał dzieła. Zrzekłszy się wszelkich uczuć polskich i przekształciwszy się w Moskala, jest jak każdy renegat najzawziętszym wrogiem wszystkiego co polskie.

W powtórzeniu o gabinetowych pojęciach narodu po rozbiorach prawi nam autor o potrzebie bezwzględnej lojalności dla dynastji, pod których panowanie wskutek rozbiorów naród się dostał, a szczególnięj dla dynastji carów, którą Stan. August i myślący Polacy zaszczipiając, tęg samém grób Polski otwierali. Jest tu znów w skróceniu o wskrzeszeniu Polski mimo oporu Austrii i Niemców przez Aleksandra II, o haniebnyh buncie z r. 1830 i 1863 i niesły-

chanéj wspaniałości Aleksandra II., który za kilku „złoczyńców“ nie myśli karać całego narodu! Autor upewnia przytém (str. 285.), że skoro naród wzgardził „złoczyńcami, rewolucjonistami“ a ślubując „szczérze Imperatorowi i cesarzowi lojalność, nabył przekonania, że gabinet moskiewski najwięcej dla niego uczynił, oraz najwięcej uczynić pragnie i ze względu na swe wysokie powołanie „uczynić może, najwięcej uczynić powinien,“ nie ma więc przeszkody do odnowienia przymierza dawnego między Austryą, Moskwą i Polską, celem wykonania „programatu kaniowskiego“ i upokorzenia rewolucyi powszechnej, forytowanej przez Bismarka! Mając tak świetne nadzieje co do losu Polski w niedalekiej przyszłości, upewnia nas autor (str. 286.), że położenie nasze pod opieką dwu cesarzy jest mimo utraty niepodległości lepszym od położenia narodów rewolucyą trawionych i zapytuje, czy naród nasz „chciałby się mieniać na los z Włochami, z Francją i Niemcami a niedawno temu nawet z Hiszpanią?“ Rzeczywiście mogą nam wszystkie narody zazdrościć tak szczęśliwego położenia, szczególniej w zaborze moskiewskim! W oczach historyzofa patrzącego z wyżyn, niedościgłych dla reszty śmiertelników, nie mają znaczenia takie drobnostki jak np. zakaz uczenia się po polsku, mówienia nawet po polsku, nazywania się Polakami, lub przymusowe wyrzekania się wiary przodków. Byle naród nie zważał na takie drobiazgi, może szczerém uznaniem swych monarchów zażegnać rozbiory, a wtedy stanie się „Polska porozbiorowa jedynie Polską w podziałach, jaką przez dwa wieki była i kiedyś, a jeżeli na drodze biernéj rezygnacyi i czynnéj, gorliwéj lojalności wytrwa, może znaleźć z łatwością Łokietka,“ co jedynie majestatowi winna zostawić. Czytając podobne twierdzenia, trzeba się na przemiany i śmiać z nedorzeczności piszącego i oburzać na jego cynizm i bezwstyd, niepraktykowany dotąd.

W sprawdzeniu „treści najkrótszej genezy narodu polskiego pod względem monarchyi i lojalności“ powiada (str. 287) nasz historyzof: „Długą i nieprzystępną jest nauka (dziejów) na drodze niezmiernie licznych faktów, zaś krótszą i korzystniejszą, jeżeli się opiera na faktach głównych, panujących,

zbiorowych, to jest na ideach, na zasadach, na metodzie systematycznój czyli filozoficznój.“ Niezawodnie, gdyż uwalnia od mozolnych studyów. Lecz kto się zabiera do pisania historyozofii, powinien przestudyować ogrom faktów, a idąc drogą indukcyjną, wysledzać w ich rozliczności owe idey i zasady, gdyż w razie przeciwnym nie mając podstawy do rozumowania, popadnie w metafizykę dziejową i będzie prawil podobnie p. Walewskiemu o jakichś zasadach i ideach, które nie zgadzają się z rozwojem dziejowym narodu i w rażącej są sprzeczności z faktami. Takie idey i zasady, nie oparte na rzeczywistości dziejowój, są mrzonkami piszącego, który bez wszechstronnego zbadania całej przeszłości narodu lub ludzkości nie potrafi nawet wynaleźć owych faktów „głównych panujących, zbiorowych“ ale będzie się błąkał po manowcach, jak p. Walewski, którego główna formułka historyozoficzna zawiera się w twierdzeniu, że „dola narodu polskiego zostawała w prostym stosunku do jego lojalności, do jego uwielbienia dla dynastji,“ i że naród w braku dynastji jest na zgubę skazany. Obie te formułki opierają się oczywiście na trzeciej a mianowicie, że narody są stworzone dla panujących dynastji. Dziś świat nie wierzy w podobne formułki, a same dzieje moskiewskie mogły autora pouczyć, że dynastja w ściśłym wyrazu znaczeniu jest fikcją. Przecież Katarzyna I. i Katarzyna II. nie pochodziły z panującej dynastji, a i Paweł I. nie mógł się powołać na czysto-dynastyczne pochodzenie. Prawowitość dynastyczna była tu zatem fikcją, a w rzeczy piastowali władzę przywłaszczyciele. Żadnego téż narodu nie zgubił brak dynastji, jeżeli tylko umiał utworzyć rząd prawidłowo funkcyjujący. I Polska mogła się bez niej obejść, a Zygmunt August nie naraził jej wcale na zgubę zrzczeniem się swych mniemanych praw dziedzicznych, i uprawnieniem zasady wolnego obierania królów, lecz wyrządził jej tém głównie szkodę, że przeprowadzając wielkie dzieło unii lubelskiój, nie spowodował uchwalenia ustawy rządowój, określającej dokładnie wszelkie atrybucye władzy rządu i sposób obierania królów. Brak takiej ustawy był istotnym złem, z którego najgorsze wywiązały się następstwa.

Pominięcie potomków Jana III. przeszkadzających sobie wzajem w uzyskaniu korony, nie byłoby pewnie zgubiło Polski, gdyby była miała dobrą ustawę rządową, a samo przymierze z Piotrem I, istniące przecież za Augusta II. w całość pełni, nie dodało jej żywotności, jakiej się autor po niém spodziewa. Augustowi II, nie szło wcale, jak mniema p. Walewski, o ratowanie Polski i jej całości, ale o dziedziczność tronu, za co był gotów większą część tejże odstąpić sąsiadom. Nikt nie pochwałał i nie pochwała bezrządu, do którego sami królowie elekcyjni głównie się przyczynili, a liczne głosy znakomitych Polaków w. XVIII. są najlepszym dowodem, że chciano przystąpić do naprawy złego i do wytworzenia rządu prawidłowo funkcjonującego. Lecz temu przeszkadzali zawistni Polsce sąsiedzi, a w pierwszym rządzie rząd moskiewski, tak żarliwie przez p. Walewskiego broniony i wychwalany. Autor prawi nieustannie, że Polska mogła rozkwitnąć jedynie przez ścisłe z Austryą i Moskwą przymierze, a zapomina, że takie przymierze istniało za Augusta III, a mimo to nie doszła do rozkwitu dzięki niedołęztwu króla i wrogim wpływom rządu moskiewskiego. Zawinił niewątpliwie naród, lecz czyż z téj winy jego, drugim wcale nieszkodliwój, można wysnuć prawomocność dokonanego na nim gwałtu? Za Augusta III, miała Polska dynastją na swym tronie, wspieraną szczerze przez sprzyjażnioną z nią Maryą Teresę, miała gabinet, powinna była zatém wedle formułki autora podnieść się z upadku. Dynastją saską chciała Marya Teresa utrzymać na tronie, a kto temu przeszkodził? kto wszystko zepsuł? kto pozbawił Polskę duszy (według autora) gdyż dynastji? Jużciż Czartoryscy wraz z Katarzyną II i Fryderykiem II, skoro nie dopuścili wyboru jednego z synów Augusta III, za czém się większość narodu oświadczyła. Niechże autor rozpląta ten węzeł formułkowy własnej inwencji. A winien to uczynić, jeżeli chce być konsekwentnym i loicznym. Któż tu był anarchista, czy stronnictwo obstające przy dynastji sprzymierzonej z Austryą i Francją, czy też Czartoryscy, występujący pod opieką Katarzyny II, przeciw téj dynastji? Austrya sprzyjała szczerze domowi saskiemu, lecz

wycieńczona wojną siedmioletnią nie chciała się czynnie wmięszać w sprawy polskie podczas bezkrólewia po Augustcie III. z obawy wyłącznie, aby tém niespowodować nowej wojny, do której Moskwa zdawała się pochopną. Carowa zaś sprzeciwiająca się kandydaturze elektora saskiego była widocznie rewolucjonistką w znaczeniu przez autora wskazaném, ponieważ dążyła do obalenia dynastji w Polsce. I reformy projektowane przez stronę saską nie były gorszemi od zamierzonych przez familią, czego dowodzi memoriał hetmana Branicznego przedłożony r. 1762 rządowi francuzkiemu. Stronictwo to miało przytém w myśl zasad, bronionych przez autora, dokładniejsze pojęcia gabinetowe niż Czartoryscy, ponieważ dowodziło we wszystkich swych aktach urzędowych, że dla tego głównie obstaje przy powołaniu na tron elektora saskiego, aby podać krajowi możność ubezpieczenia się z jego pomocą przymierzami przeciw wdzierstwu sąsiadów. Wszystkie te okoliczności zbył milczeniem nasz historyk, gdyż inaczej nie mógłby się w duchu nawet swych własnych formułek historyzoficznych modlić do „szlachetnej, wspaniałomyślniej, Polskę z upadku wydzwignąć chcącej“ i świętej Katarzyny II. Twierdzenia zaś jego, że Mieczysław I, z niczego stworzył Polskę, że Kazimierz W. jest twórcą w niej anarchji, że Zygmunt August dopuścił się najczarniejszej względem niej zdrady, że naród po śmierci dopiero Anny Jagiellonki powołał na tron jej siostrzeńca Zygmunta III, że Czartoryscy przy pomocy Stan. Augusta i Moskwy wyzwolili naród z pod jarzma podwójnej niewoli domowej i obcej, że Aleksander I chciał na kongresie wiedeńskim wskrzesić całą Polskę i mnogie inne są arcy pociesznemi odkryciami dziejowemi, dowodzącemi jedynie, do jakiego stopnia dojść może nieuctwo u profesora nawet dziejów powszechnych i członka czynnego akademii umiejętności.

Legalność, liberalizm i rewolucya są w oczach p. Walewskiego zgubą narodów, od której ocalić je może tylko prawowitość i lojalność znaczące zupełnie to samo, co moralność. Niewdzięczność zatém dla takich dobrodziejów Polski jak Stan. August, Katarzyna II, Aleksander I, Aleksander II

i inni, okazana brakiem lojalności, najdobitniejszym jest dowodem niemoralności tych, którzy się dopuścili lub dopuszczają takiego przestępstwa. Lojalność jest, jako synonim moralności ostatnim słowem nie tylko polskich ale i dziejów powszechnych. Doszedłszy do tego wyniku, pisze autor (str. 293 i 294): „Powyższe słowo ostatnie historyi polskiej, już czytelnikowi znane, jest jedynie powtórzeniem. W ogólności, dochodząc wyników dziejów polskich, badając ich duszę, powtarzałem się kilkakrotnie z powodu wielkiej wagi, jakąby mógł mieć przewodnik w badaniu dziejów, mianowicie początkowych; jest to przedmiot wielce nieprzystępny, z powodu małej liczby świadectw. Jeszcze więcej doznałem trudności w badaniu genezy narodu z czasów najnowszych, posiadających rozliczne świadectwa, najobfitsze materyały, ale między niemi mało jest rzetelnych, prawdziwych. Wreszcie już przez samą bliskość budzą dzieje najnowsze drażliwość, a tę nadto zwiększają niezliczone fałsze w obiegu będące. Więc tu powtarzanie wydało mi się jeszcze potrzebniejszym. Nie raz to samo powiedziałem innemi wyrazy, nieraz w skróceniu, albo w przedłużeniu, albowiem w okresie dziejów, wystawiających to wzniosłe chwile ostatnie, to głęboki upadek, szło mi o dobitność prawdy, na niej bowiem jeszcze więcej zależy, niżeli na dziejach pierwiastkowych, skoro od jej poznania zawisły przyszłe losy narodu. Zapewne, że w takim odmgęcie wypadków i zdań o nich, mogłem się nie raz omylić, ale te błędy poprawi myśl innego, albo dalszy rozwój dziejów, ja luki zostawić nie byłem powinien. Nie zamilczałem o mnogich przestępstwach i o narowach krnąbrnego, zuchwałego, nie zawsze myślą i uczuciem powinności, lecz często-kroć indywidualnemi uczuciami, namiętnością, przesądami i prywatą, przedewszystkiem zamilowaniem bezmyślnych, krzykliwych, wszelkiej miłości ojczyzny pozbawionych stronnictw kierującego się narodu, ale oraz nie naśladowałem obcych i krajowych dziejopisarzów, którzy ciągle Polsce błędy, tylko błędy, częste zemdleńia i powtarzane upadki zarzucają, a pamiętać nie chcą o tój olbrzymiej zasłudze, że mimo naj-niefortunniejsze okoliczności urodzeniu i wychowaniu Polski

towarzyszące, że mimo rewolucye wieku XVI. jej dojrzałości najprzeciwniejsze, zdołał naród na tak twardém, prawdziwie zaklętém stanowisku wytrwać i znówby je zajął, gdyby mocarstwa, w których ręku jego losy, albo tak znamienitego czynnika wyzwoliły, albo mu należyte położenie jako pomocnikowi nadały, z jego osobliwego uzdolnienia do popisów i do przewag korzystać umiały, a o czém przedwcześnie powątpiewać nie należy.“

Przytoczyłem całe to zakończenie głównej części dzieła, aby sam czytelnik mógł osądzić, jak p. Walewski pojmuje prawdę i zadanie filozofii dziejów, a oraz bezstronność w opisywaniu wypadków. Komentarz tu niepotrzebny. Obrzuciwszy błotem całą przeszłość narodu, upewnia na zakończenie, że nie naśladował innych w wytykaniu samych tylko błędów narodowi. Cóż więc na jego korzyść przytoczył? czy jakieś urojone objawy lojalności wiernopoddańczej dla mniemanych dobrodziejów mają być tém podniesieniem jego strón dodatnich? Gdyby p. Walewski był naśladował sumiennych i bezstronnych dziejopisów, nie byłby pewnie wydał zamiast filozofii dziejów tak ohydneho pamfletu.

Autor sili się na dowody, że głównymi nieprzyjaciółmi Polski byli Niemcy, którzy nie tylko zmusili Katarzynę II do trzech rozbiorów Polski, ale w dodatku nieustannie przeszkadzali jej wskrzeszeniu, a co gorsza zachęcali z jednej strony anarchistów polskich do czynnego występywania przeciw Moskwie, z drugiej zaś starali się skłaniać carów najlepiej dla Polski usposobionych do środków surowych, aby takim podtrzymywaniem waśni wewnętrznej i wywoływaniem starć ciągłych rozbijać tak im niebezpieczną zgodę i ufność między narodem i królem polskim, to jest carem. Twierdzi dalej, że każde zbliżanie się Polski do Moskwy pobudza Niemców do największej namiętności, ponieważ upatrują w tém niebezpieczeństwo dla siebie. Opierając się na tych wywodach, osnutych niby na faktach niewątpliwych, stara się zwrócić całą niechęć i nienawiść narodu przeciw nieprzyjaznym mu od wieków Niemcom, a wszczepić weń miłość i nieograniczoną ufność ku przychylnój mu Moskwie, czyli co na jedno

wychodzi, ku panującej tam dynastji, która nie mało mu już wyrządziła dobrodziejstw, a większemi go jeszcze obdarzy, skoro się przekona, że wyléczywszy się z wad swoich, z zupełną ufnością jej tylko powierza losy swoje i dobrodziejstwa lojalnością prawdziwie wiernopoddańczą pragnie jej odplacać. W tém skupia się cała treść filozofji dziejów polskich p. Walewskiego, a celem głównym jej wydania była widocznie chęć wmówienia w naród, że najzupełniejszą i bezwarunkową uległością, będącą wyrazem prawdziwej lojalności, powinien zamanifestować swą ufność i wdzięczność dla Aleksandra II, ponieważ od niego jako prawowitego króla zależą przyszłe losy i odrodzenie ojczyzny. Szkoda było tyle zachodu i przekręcania faktów, aby dojść do wyników, które są w sprzeczności z rzeczywistością dziejową i z uczuciami narodu, a tém samym nikogo nie zdołają przekonać.

Jakie nasz historyzof ma pojęcie o oświacie, świadczy najlepiej twierdzenie jego (str. 325), że dziś we Włoszech i Niemczech zamiast światła szérzą ciemnotę, czego nie było w ówczas, gdy nauka zostawała pod nadzorem kościoła. Nikt nie zaprzeczał i nie zaprzecza zbawiennego wpływu, jaki kościół wywierał na zdziężałę w średnich wiekach umysły, i nie odmawiał mu zasługi w krzewieniu oświaty i kultury po upadku państwa rzymskiego. Na to zgadzają się wszyscy dziejopisowie. Lecz z tąd nie wynika bynajmniej, że dziś gdziekolwiek w Europie jest mniej oświecenia, niż było w ówczas, gdy kościołowi przyznawano prawo wyłącznego nadzoru nauki. Autor nie wie widocznie, że ten monopol wychowania publicznego miał swe dodatnie i ujemne strony, ponieważ kościół czuwając głównie nad utrzymywaniem prawowierności, zniwalał nauki do wysługiwania się tejże, przez co wykluczał wszelką samodzielność badania w kierunkach odbiegających od doktryn jego, i odejmował możność dociekania prawdy po za ich obrębem, to jest, po za obrębem wiary objawionęj. Tém przeszkadzał rozwojowi wszechstronnemu nauki, które w dodatku zamknięte w szkołach głównych, nie mogły oddziaływać na ogół mieszkańców. Wyzwolenie ich z pod tego wyłącznego nadzoru nie wyrządziło tak strasznej

szkody ludzkości, jak mniema p. Walewski, a sam rażny ich rozwój we wszystkich kierunkach i oddziaływanie ich przez lepiej urządzone szkoły średnie i ludowe na wzrost oświaty między wszystkimi warstwami ludności jest tego niezbitym dowodem. Że wśród prądu umysłowego i naukowego przyszło do rozmaitych zbroczeń a nawet nadużyć, nie myślę zaprzeczać. Lecz któreż dzieło ludzkie jest od nich wolne? Czyż i kościół nie dopuszczał się ich w ówczas, gdy rozrządzał wyłącznie publicznym wychowaniem? czy troszczył się o oświecenie i uobyczajenie mas ludowych w duchu prawdziwie chrześcijańskim? P. Walewski przerażony zbroczeniami, na jakie wolność badania i ów prąd naukowy naraziły zdaniem jego ludzkość, zapowiada zbliżanie się ery większego niemal barbarzyństwa, niż było w ówczas, gdy państwo rzymskie pod ciosami hord najeźdźczych zawałiło się w gruzy. Lecz niech będzie spokojny o przyszłe losy ludzkości, która wśród ciągłego ścierania się najrozmaitszych prądów umysłowych i naukowych dąży nieustannie naprzód w swym rozwoju, a wszystkie owe zbroczenia i nadużycia są raczej zachętą do nowych badań niż tamą w rozwijaniu się zdrowych pojęć lub zwiastunami jakichś kataklizmów, mających pograżyć ludzkość w bezdeń barbarzyństwa.

Wspominając o sektarzach czyli reformatorach religijnych, nazywa ich nasz autor wzdorliwie niedołęgami umysłowymi. Z tego widać, że nie zwykł się zastanawiać nad tem, co wypowiada z największą nawet stanowczością. Gdyby bowiem był nieco głębiej rozważył dzieje kościelne, byłby się przekonał, że między tymi sektarzami byli ludzie, którym żadną miarą nie wolno odmawiać potęgi umysłowej, głębokiej na swój czas nauki, siły charakteru i ducha poświęcenia, przypominającego pierwsze czasy chrześcijaństwa. Można się zgadzać lub niezgadzać z ich twierdzeniami, lecz zaprzeczyć im nie wolno odwagi, z jaką występowali przeciw nadużyciom w sprawach religijnych, których się hierarchya dopuszczała. Niektórzy z nich odznaczali się jak np. Hus pobożnością największą, a sama gotowość poświęcenia raczej życia niż wyparcia się swych przekonań, świadczy o czystości ich mo-

ralnej i o głębokiem przejęciu się tém, co poczytywali jako niewątpliwą prawdę. Występując do walki z przemocą, nie ułękli się następstw swego przedsięwzięcia, a mężstwem okazaném wśród gorejącego stosu dowiedli najlepiej, że nie byli niedołączani umysłowymi, ale mężami, którzy chcieli z biblią w ręku sprowadzić chrześcijaństwo do stanu pierwotnej czystości, i dla tego domagali się wszechstronnej i gruntownej naprawy kościoła.

P. Walewski gniewa się na papieżów za to, że nie zorganizowali sobie potęgi świeckiej, którą mogliby wszystkim imponować. W zapędzie swym ultrapapieżkim zapomniał widocznie, że instytucja papieżka nie była i być nawet nie mogła świecką, lecz była wyłącznie duchowną w myśl zasad wiary chrześcijańskiej. Najwięksi też z papieżów nie dopuścili się bynajmniej błędu, jak im wytyka autor, że mogąc się otoczyć potęgą zbrojną, wzgardzili tym środkiem, ale przeciwnie działali w duchu jedynie kościoła chrześcijańskiego, którego zadaniem było, jest i będzie po wieczne czasy walczyć bronią duchowną a nie świecką. Czémże bowiem różniłby się papież rozrządzający wojskiem lądowem i morskiem od kalifów mużłmańskich? I nad tem pytaniem nie zastanowił się nasz historyzof.

Autor przypisuje nowszym czasom dwa zdaniem jego szkodliwe ludzkości wynalazki, to jest opinii publicznej i pojęcia państwa w znaczeniu „l'état“ „der Staat.“ Jest to najbłędniejsze mniemanie, ponieważ jedno i drugie powstało i rozwijało się równocześnie ze społeczeństwami ludzkiemi. Opinią publiczną znano w Grecyi, Rzymie i wszędzie, gdzie jaka taka istniała swoboda. Tam jedynie nie przychodzi opinia publiczna do wyrazu, gdzie społeczność pogrążona w barbarzyństwie albo w najcięższej niewoli. Mimo spaczeń, w jakie nie raz popadała, była ona zawsze, jest i będzie regulatorką spraw publicznych, a najpotężniejsi mocarze muszą się z nią obliczać. Może ona być nie raz mylną, lecz czyż i jej przeciwnicy są nieomylni? Próżne są narzekania na jej potęgę, a nawet nadużycia, ponieważ nie zmieniają stanu rzeczy. Jedynym środkiem, którego mądrzy ludzie

używali się zawsze ze skutkiem, jest zręczne na nią wpływanie, czém nie są wycieczki sierdziste. Co do pojęć o państwie w znaczeniu powyższém, mógł je p. Walewski odnaleźć w Grecyi i Rzymie, gdzie jednostkę podporządkowywano najzupełniej powszechności.

Powstawanie autora (str. 336.) na Kazimierza W. i na Zygmunta Augusta za mniemane uchylenie dynastyi i praw dynastycznych nie ma sensu. Kazimierz W. nie sprzeniewierzył się bynajmniej zasadzie dynastycznej, jeżeli nie mając synów własnych, przeniósł następstwo tronu na siostrzeńca swego Ludwika. Z żyjących wówczas Piastów nie było ani jednego, któryby celował wyższemi zdolnościami, i którego warto było forytować na tron. Umowy o przeniesienie następstwa tronu zniewalały wprawdzie króla do ustępstw na rzecz wolności stanów a mianowicie rycerskiego, lecz te nie były znów tego rodzaju, by mogły stać się przeszkodą do utworzenia dobrego i sprężystego rządu. Bezdzietny zaś Zygmunt August dokonując wielkiego dzieła, jakim było i jest mimo zaprzeczeń p. Walewskiego zjednoczenie ostateczne Litwy z koroną, poświęcił mu zasadę dynastyczną, która wśród owoczesnych stosunków i po dokonanej unii lubelskiej była bez znaczenia prawie. Można by mu jedynie zarzucić, że zrzekając się praw dziedzictwa, nie spowodował uchwalenia ustawy, określającej wszechstronnie sposób wybierania królów. Kazimierz W. i Zygmunt August nie spowodowali rozszerzeniem swobód narodu upadku przyszłego Polski, ale przyczynił się doń głównie wielbiony przez autora Zygmunt III, który będąc pod ciągłym wpływem jezuitów, zaszczerpił w naród ducha nietolerancyi a w dodatku złém sprawowaniem władzy rządowej i matactwami dyplomatycznemi wywoływał wewnętrzne wstrząśnienia, wśród których z jednej strony powaga rządu ciężkiego doznała uszczerbku, a z drugiej nieufność narodu w coraz większém tylko ograniczeniu jego władzy upatrywała rękojmie swobód publicznych.

Zastanawiając się nad przestępstwami soborów (str. 342) w obec powagi papieżkiej, gniewa się p. Walewski na znakomitości w. XV., które domagały się reformy kościoła „in

capite et membris," a bawiąc się w dowcipnego powiada, że twórca tego wołania Comengis powinien był wprzód wskazać sposób sprowadzenia Boga z niebios, aby poprawił swego namiestnika na ziemi. S. p. Comengis miał niezawodnie więcej pobożności i nauki, niż p. Walewski, a jeżeli się domagał reformy kościoła „in capite et membris," nie tykał tém saméj nauki chrześcijańskiej, ale uderzał na mnogie nadużycia, które się wkradły w zarząd spraw kościelnych, i spowodowały ogromną demoralizacją kleru owoczesnego. Wszecstronna naprawa, w ówczas dokonana, byłaby niezawodnie zapobiegła późniejszym wstrząśnieniom religijnym, które stały się przyczyną oderwania od kościoła mnogich milionów w zachodniej i północnej Europie. Sam dogmat nieomylności papieża nie zaradzał złemu, i dla tego powstało wołanie o reformę, aby ocalić kościół i moralność powszechną, i tém przeszkodzić z góry przyszłym burzom.

Autor przypisuje (str. 349) wszystkim królom, narodom i uczonym winę, że nie bronili władzy papieża, która będąc duchowną i rozjemczą, uniemożliwiałaby wszelkie panowanie prawa mocniejszego, i tém właśnie przyczyniałaby się do dobra całej ludzkości. Wszystko to bardzo piękne, lecz w świecie idzie głównie o praktyczne zastosowanie a nie o teorye. Każda instytucja chociażby w teorii była najwznioślejszą, musi się zużyć z czasem, jeżeli w nią wkradną się nadużycia, spychające ją z owych wyżyn moralnych, które stale winna zajmować, ponieważ inaczej utraci warunki bytu. Co jest powszechną zasadą, nie dopuszcza wyjątków, a tém samém i do władzy papieżkiej winno być zastosowaniem. Mnogie nadużycia i dowolności, zbyt korzystnie z łatwości prostaczków, nieposkramiana żądza rozszerzania swéj opieki i kontroli na wszystko, objawiająca się coraz większa demoralizacja na dworze papieżów i dostojników kościoła i frymarczenie urzędami kościelnymi, dyspenzami i odpustami, wznieciły w sercach wątpliwość o pochodzeniu boskiem władzy, która takich dopuszczała się zbrodni, i sprowadziły ostatecznie, co wśród takich stosunków było nieuniknioném. Nie

świat tu zawinił, ale ci którzy nadużywali powierzonej władzy, i tém odjęli jej sami urok i powagę.

Mówiąc o kontyngienschach, które Polska dostarczyła „fałszywym doktrynom i kościołowi,” twierdzi autor, że między pisarzami występującymi przeciw kościołowi katolickiemu żaden Polak nie nabył „smutnego rozgłosu.” Ma to być obrona prawowierności narodu polskiego. Otóż i tu rozminął się nasz historyzof z prawdą, a gdyby był zajrzał do pierwszego lepszego kompendyum dziejów piśmiennictwa polskiego, byłby się przekonał, że kontyngiens ten był dość poważny i że nie tylko w samej Polsce ale i za granicą mnóstwo dzieł innowierców polskich wychodziło. Dla przykładu przytoczę tylko Jana Łaskiego, tytułującego się baronem polskim, Lubienieckiego, Węgierskiego, Modrzewskiego i t. p. których dzieła w całej owoczesnej Europie były znane i czytane.

Władysław IV. nie zasłużył sobie na łaskę naszego historyzofa, który go mieni „niedołęgą nad miarę ograniczonym.” A dla czego? ponieważ w rzeczach wiary był wyrozumiałym i nie dał się równie ojcu powodować jezuitom, a w dodatku przez tak zwane colloquium charitativum w Toruniu chciał spowodować zgodę między rozróżnionymi w wierze. Wszakże do téj roboty należał i Jerzy Ossoliński, ów filar rządów Jana Kazimierza w pierwszych trzech latach, po którego śmierci, ten „jenialny król” nie umiał sobie radzić, i dla tego kraj na najcięższe klęski i gorsze jeszcze następstwa naraził. Autora cieszy niezmiernie (str. 352.) że „żadna z tylu sekt i szkół antychrześciańskich, przez kościół potępionych, nie powstała w Polsce,” że mianowicie „wolteryanie, encyklopedyści, socjaliści, demokraci, liberały, wyznawcy wszechwładztwa ludu, słuźalcy opinii publicznej, karbonaryusze, wolni mularze, nihiliści i podobni nieprzyjaciele społeczeństw, nie wylęgli się na polskiej ziemi.” Zmieszanie tylu pojęć razem i wzięcie ich pod jeden strychulec dowodzi jedynie, że nasz historyzof nie doszedł w swój wiedzy do tego stopnia, by mógł zestawione wyżej pojęcia odróżnić od siebie i dla tego potępił je ryczałtem. Człowiek zdaniem jego nie powinien ani myśleć ani rozumować, ale ślepo wie-

rzyć, co mu władza świecka i duchowna każe wierzyć, ponieważ w razie przeciwnym staje się wrogiem społeczeństwa. Tej zasady trzymał się do niedawna rząd moskiewski, a chociaż i ten już zwolnił, jednak p. Walewski pozostał jej wierny, i radby w naród wmówić, że w niej tylko jest zbawienie doczesne i wieczne. Powiada nam téż, że za swą prawowierność katolicką Polska „najsowiciiej wynagrodzoną została.“ Niezawodnie, ponieważ wymazano ją z karty europejskiej, a Grzegorz XVI. ciskał swe gromy na powstanie narodowe 1831., aby się przypodobać Mikołajowi I. Jest to także wielkie odkrycie historyczne p. Walewskiego.

Zestawiając pojęcia okcydentu i orientu, powiada autor, że charakterystyczną cechą pierwszego jest dążenie przez władzę do wolności. Lecz czém jest ta wolność, nie wskazał nigdzie w swój filozofii dziejów, a za to uderza nieustannie na wszystko, co świadczy o dążeniu do wolności. A jednak powinien był najdokładniej określić znaczenie wolności, jeżeli takowa ma być cechą charakterystyczną, odróżniającą okcydent od orientu. Cała zresztą charakterystyka obu tych wielkich odłamów ludzkości jest nader niedokładna i powierzchowna. Czuje to sam autor i dla tego oświadcza w przypisku, że w gruntowniejsze zgłębianie tego przedmiotu się nie zapuszczał ze względu na polskiego czytelnika, który nie lubi dosadniejszego badania rzeczy oderwanych i gruntownej nauki. Rozpowiada przytém, że kolosy umysłowe, które Polska wydała, przynosiły więć korzysci obcym niż jój samej na kształt wielkich okrętów, które tylko do głębokich mogą wpływać portów. Widać że p. Walewski poczytuje i siebie za kolos podobny, i dla tego z wielkiem swém dziełem o św. przymierzu za Leopolda I. zawinął do portu niemieckiego, gdzie niestety nie poznano się także na jego wielkości. Nam się zdaje przeciwnie, że autor pisząc filozofią dziejów, zabrał się do dzieła przechodzącego siły jego, a nie mogąc następnie wybrnąć z trudności zadania, wymagającego wszechstronnej nauki, której mu brak widocznie, powiada z zwykłą sobie zarozumiałością, że jeżeli głębiej w rzeczy nie wnika, wina cięży na czytelnikach polskich, którzy tego nie lubią!

Pan Walewski mniema (str. 395), że pierwszy rozbiór Polski zatrzymał a nawet cofnął oświatę na wiek cały. Że rozbiór Polski był aktem gwałtu i przemocy a oraz niesprawiedliwości największej i rozchwał równowagę europejską, jest rzeczą powszechnie znaną, lecz by miał aż powstrzymać oświatę i cofnąć ją na wiek cały, odkrył dopiero nasz autor, mający o oświacie inne całkiem pojęcia, niż reszta zwyczajnych śniertelników. Jeżeli bowiem rozwój nauk i umiejętności we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej, i ich coraz większe rozpowszechnianie między szérokimi kołami téj nawet części mieszkańców, o którą dawniej nie troszczyły się grona uczonych; jeżeli ulepszenia zaprowadzone w wychowywaniu publiczném, zakładanie coraz liczniejszych szkół wszelkiej kategorii a szczególniej szkół ludowych, przez które nauka ma się przeciskać we wszystkie zakątki krajów a oraz między pracujące warstwy mieszkańców jego; jeżeli w końcu owe z dniem każdym mnożące się w nieskończoność odkrycia i wynalazki nie są w oczach p. Walewskiego znamieniem postępującej raźnie naprzód oświaty, w ówczas trudno rzeczywiście pojąć, czém w oczach jego jest oświata, wstrzymana rozbiorem Polski na wiek cały. Chcieli ją wprawdzie powstrzymać twórcy św. przymierza po zwalczeniu Napoleona I. i Francyi, lecz ich usiłowania były daremne, ponieważ wbrew wymyślanym przez nich zaporom i ograniczeniom oświata w rażnym rozwoju swym i postępie nie dała się powstrzymać, ale przeciska się coraz potężniej między wszystkie warstwy mieszkańców. Co zaś najpotężniejszym nie udało się mocarzom, tego nie dokona pewnie i p. Walewski, który chciałby przywrócić owe błogie czasy wychowywania ludzkości pod kontrolą cesarsko-papieżką.

Nasz autor nie lubi Prusaków, o których powiada, że jako spadkobiercy krzyżaków spełniają w środkowej Europie posłannictwo orientalizmu! Zapomniał najprzód, że krzyżaków stolica apostolska zawsze popierała i broniła przeciw Polsce, a tém samém nie musiała ich poczytywać za reprezentantów orientalizmu, zasadniczo jej przeciwnego. Śmieszne są zresztą wszelkie tego rodzaju wycieczki, a Prusacy i ks. Bismark troszczą się zbyt mało o to, jakie o nich wynurza zdanie

czynny członek akademii umiejętności w Krakowie. Można mieć żal a nawet niechęć do rządu pruskiego za krzywdy i niesprawiedliwości i ciągle znęcanie się nad narodowością naszą. Lecz ztąd nie wypływa bynajmniej, że wolno mówić o nim z lekceważeniem. Jest to przeciwnik, z którym dziś każdy musi się obliczać, a tém bardziej nasz naród pozbawiony bytu niezależnego. Buta zresztą pruska nie jest pewnie większą od moskiewskiej, dla czegoż razi go tak bardzo? Wszakże ukochana przezeń Moskwa, od której spodziewa się zbawienia przyszłego Polski i ludzkości, wyrządziła nam krzywd nierównie więcej, a cóż zdziałała dla ludzkości i jakimi może się wykazać zdobyczami w dziedzinie nauk i wynalazków? Czy mniema autor, że skrywszy się pod opiekuńcze jej skrzydła, może lekceważyć i wyzywać Niemców? Zresztą Prusacy robią dziś to tamo, co i Moskale. Tamci reprezentują protestantyzm, ci szyzmę, i dla tego prześladują z równą zaciekłością kościół katolicki. Autor twierdzi wprawdzie, że Moskwa nie prześladuje już kościoła. Widać, że musi mieć lepsze w tej mierze informacye niż Pius IX, który w niedawniej alokucyi swojej narzekał na prześladowanie katolików w Niemczech i w krajach polskich, będących pod władaniem moskiewskiem.

Autor pała większą niemal nienawiścią do Turków niż do Prusaków, a przejęty duchem i wyobrażeniami czysto-moskiewskiem, domaga się rozbioru Turcyi. Że państwo tureckie jest w ciągłym rozkładzie, nie podlega wątpliwości, lecz czy rozbiór jego przyczyniłby się do dobra i szczęścia ludzkości, jest inne pytanie. Gdyby mocarstwom europejskim zależało na jedném i drugim, byłyby się już dawno znalazły środki i sposoby sprawiedliwego rozwiązania kwestyi wschodniej, która należy do najbardziej piekących. Rozszarpaniem dzierzaw tureckich nie dopnie się celu, a do tego właśnie wzywa nasz historyzof, pragnący oglądać jak najprędzej muzyków moskiewskich w Kostantynopolu. W sprawę tę mięsza i Polskę, a w dodatku wmawia w Austryę i Moskwę, że taki czynnik jak Polska jest im koniecznie potrzebny do zwalczenia nie tylko Turcyi ale i rewolucyi powszechniej,

rozwijającej się pod egidą Prusaków. Wspominałem już kilkakrotnie, że trudno z filozofii dziejów Walewskiego urobić sobie pojęcie, co w jego przekonaniu jest rewolucją. Jest to wyraz nader elastyczny, a kto nim szermierzy, powinien dokładnie określić jego znaczenie. Przecież sam autor powinienby jako historyk wiedzieć, że ludzkość złożona z żyjących i rozwijających się społeczeństw przechodziła już wiele rewolucy i będzie je jeszcze przechodzić. Na to nie ma rady, skoro niepodobna nawet obmyślić tak doskonałych urządzeń społecznych, by takowe z następstwem czasu się nie zużyły, lub w niejednym nie dały się ulepszyć i udoskonalić. Na tém polega możność ciągłego postępu i rozwoju, który zdaniem najgłębszych badaczy dziejów ludzkości odbywa się nieustannie. Ile zaś zmian zaszło w urządzeniu stosunków społecznych, tyle też rewolucyi przechodziła ludzkość i poszczególne narody. Rewolucye te bywały wnet spokojne, wnet połączone z gwałtownymi wstrząśnieniami, co zależało od mnogich warunków, wśród których zmiana stosunków społecznych miała się odbywać. Ludzkość obdarzona od stwórcy darem ciągłego doskonalenia się dąży też nieustannie do oświaty i wolności, które pragnie zdobywać dla wszystkich jednostek, z których się składa. Jeżeli spotyka w swém dążeniu zbyt silne zapory, w ówczas przychodzi do starć gwałtownych, jak przy schyłku wieku XVIII, w którym rewolucya francuzka zalała Europę krwi strumieniami. Koalicya pokonała ją w prawdzie materyalnie, lecz zasady tej rewolucyi zwyciężyły ostatecznie, ponieważ sprowadziły zupełny przewrót stosunków w całej niemal Europie. Co zaczęła rewolucya francuzka wśród konwulsyi największych, to dokonuje się dziś dalej w sposób spokojny. Jest to zatem przeobrażanie się nieustanne stosunków, postępujące naprzód z siłą niedającą się niczém powstrzymać. Autor myli się wielce, jeżeli mniema, że Polska za nędzne okruczności autonomiczne, zależące od dowolności czynowników, pójdzie z Moskwą zwalczać narody europejskie, domagające się lepszego urządzenia stosunków społecznych, lub stanie się w jej ręku narzędziem dogodnym do obalenia wszelkiej w Europie wol-

ności. Czy zaś Austria złączy się z carem, aby dokonawszy rozbioru Turcyi, potem zwalczać z nim wspólnie liberalizm w Europie, wolno także powątpiewać.

Przechodząc w dodatku (397.) do zastosowania rozwiniętych w swém dziele teoryi, udziela autor narodowi rad i nauk, które w tém się streszczają, że należy pozbyć się drażliwości, a lojalnością zjednać sobie ufność cara mającego najlepsze chęci i zamiary, a potrzebującego Polski do przywrócenia ładu i porządku w Europie. Nie przeczę, że naród zawojowany i rozdzielony między trzy potężne mocarstwa, rozrządzające milionami bagnetów, winien się uzbroić w cierpliwość, a miasto zrywać się do przedsięwzięć nierozważnych, przystąpić do pracy sumiennej na wszystkich polach i we wszystkich kierunkach. Lecz między tą rezygnacją cierpliwą a pracującą nad wyrobieniem siły i skonsolidowaniem swęj narodowości, a lojalnością proponowaną przez autora, to jest współczynną w zgniataaniu liberalizmu i dążącą do zapewnienia caratowi przewagi w świecie, jest wielka, bardzo wielka różnica. Na pierwszą pisze się każdy rozumny Polak, szczególnież po całowiekowych doświadczeniach boleśnych, ale na drugą nie pozwalają uczucia i tradycye narodowe. Polska bowiem, która nigdy nie była podbójczą, nie może się z miłości ku carowi zaprzeć siebie samęj a tém mniej stać się dobrowolnie narzędziem jego w takich zamiarach restauracyjnych, o jakich autor prawi w swém dziele. Lojalność w określeniu nawet podaném przez niego jest własnowolnym wyrazem przywiązania, wierności i gotowości niewymuszanej do służenia i poświęcania się czy to dla ojczyzny czy téż dla dynastyi. Tam zaś, gdzie chwytają przemocą, ubierają w mundur i pod grozą artykułów wojennych każą wyruszać, lub gdzie pod groźbą procesów śledczych, kajdan, konfiskat, zsełań do fortec lub na Sybir i t. d. każą w milczeniu spełniać rozkazy pisane po moskiewsku lub niemiecku, tam nie może być mowy o lojalności, ponieważ tam istnie ślepe tylko i bezwolne posłuszeństwo, wymuszone przemocą. W braku sił odpornych każe rozum i na nie się zrezygnować, ale wśród takich stosunków nie może się wyrobić uczucie lojalności,

które w tym składzie rzeczy byłoby zaparciem się swój własnej godności człowieczeńskiej i narodowej. Czuje to widocznie sam autor, ponieważ radby w nas wmówić (str. 399), że lojalność przezeń proponowana nie jest trudną pod rządem imperatorskim, ponieważ wyraża jedynie wdzięczność dla dynastii moskiewskiej, będącej oraz polską, która dążyła i dąży do restauracji Polski, i tylu ją już obsypała dobrodziejstw. Cały ten ustęp zakrawa na szydzenie sobie z boleści narodu, któremu rząd moskiewski wydziera wszystko, co mu drogie, i nie pozwala własnej pielęgnować i rozwijać narodowości. Czy p. Walewski mniema, że wśród klęsk i doświadczeń najboleśniejszych naród nasz upadł już moralnie tak dalece, by się mógł zgodzić na jego podszepty i rzekł się wszelkiej nawet myśli o lepszej przyszłości, lub by podle udawał lojalność, to jest, własnowolne przywiązanie dla dynastji, pozwalającej na deptanie praw jego najwyraźniejszych?

Autor radby czémś przynajmniej upozorować potrzebę lojalności, i dla tego nazywa cara głównie królem polskim, i powiada, że Europa uznała w królu polskim swego opiekuna i obrońcę. Lecz na przekór p. Walewskiemu nie nazywa nikt w Europie Aleksandra II. królem polskim a i on sam nie poczytuje się za takiego, skoro zwinął królestwo polskie a w dodatku nie odbył koronacji w Warszawie. Królem więc polskim w znaczeniu prawdziwém nie jest, chociaż posiada ziemie tworzące niegdyś królestwo polskie, którym jednakże odjął tę nazwę, i tem rzekł się tytułu. Aleksander uważa się za cara wszech Rosyi, a zaliczywszy do nich i ziemie polskie, skazał je tém samym na wynarodowienie. I za to miałyby mu się należeć wdzięczność i lojalność? Posłuszeństwo wymuszone siłą ma w całej pełni, lecz lojalność nie zdobywa się środkami, jakich używał ojciec jego i jakimi on się posługuje.

Nie chcąc czytelników nużyć dalszém wykazywaniem bredni i fałszów zawartych w tój pseudofilozofji dziejów polskich, wspomnę jedynie o przestrogach, których autor udziela ła-skawie (str. 416. i następ.) pod względem metody w historii pragmatycznej. Przestrogi swe zwraca głównie do przyszłych

dziejopisów polskich, których poucza, że skoro pragną umiejętnie opracowywać dzieje ojczyzny, winni sobie przyswoić zasady i prawdy w jego historyozofii wyłożone, ponieważ z ich tylko pomocą zdołają zrozumieć i czytelnikom wyjaśnić wszystkie zdarzenia przeszłości narodu a nie mniej przyczyny jego częstego upadania i dźwigania się znów z upadku. Dodaje przytém, że pod zbawiennym wpływem tych zasad i prawd uwolnią się od niezliczonych przesądów i odkryją z łatwością wszystkie owe brednie i fałsze, któremi są przepełnione drukowane dotąd dzieje polskie, i urobią sobie całkiem nowe na nie poglądy, zgodne z rzeczywistością. Wyjaśniając rzecz przykładem powiada, że w oczyszczonych na podstawie jego prawd i zasad dziejach polskich w innej całkiem postaci okażą się wszystkie znakomitości wieków upłynionych. I tak pozna naród, że Mieczysław I. był jako twórca i założyciel państwa nierównie większym, niż syn jego Bolesław Chrobry, który nie jedno popsuł, co mądry ojciec, żyjący w zgodzie z cesarzem zbudował, ponieważ fanastycznymi wyprawami na wschód i zachód dogadzał więcej próżności swojej, niż rzeczywistej potrzebie kraju i narodu; że Kazimierz I., który zdławił hydrę anarchy, był prawdziwym zbawcą Polski; że równie świetną rolę zbawcy odegrał Władysław Łokietek; że syn jego Kazimierz przezwany niesłusznie Wielkim stał się przez pogwałcenie zasady dynastycznej twórcą anarchy w Polsce; że Zygmunt I. i Zygmunt August wielbieni również niezasłużenie przygotowali złemi rządami swemi i przeniewierzeniem się głównym zasadom, warującym byt Polski, jej przysły upadek; że Zygmunt III. którego panowanie do najświetniejszych w dziejach naszych należy zaliczyć, odrobił wprawdzie błędy obu tych ostatnich Jagiellonów, lecz że znów syn jego niedołączny a także wielbiony Władysław IV. popsuł wszystko; że jeniały Jan Kazimierz i wychowany przezeń Jan Sobieski wydzwignęli Polskę z upadku, i otoczyli ją blaskiem świetnych czynów; że pod obu Sasami upadł naród najniżej, a odrodzenie swe zawdzięcza Stanisławowi Augustowi, Katarzynie II. i Pawłowi, a szczególnie Aleksandrowi I. i II. którym téż nieskończona należy się za to wdzięczność, itd.

Na podstawie takiego streszczenia dziejów przeszłości oświadcza (str. 425.): „ Powyższe powiedziałem, aby przypomnieć, że nie dość reformować historię polską, jeno należy zmienić ją zupełnie, jeżeli nauką ma zostać. Nasza historia, jak dotąd pisana, jest jedynie chronologią, z dodatkiem wymyślonych anegdot, to panegiryków to satyr na faktach nie opartych, zbiorem fałszów pod względem wypadków, pod względem zasad, osobliwie ciągiem zgubnych poglądów, i doktryn z nader małemi wyjątkami szczególnych ustępów; jest umyślném zapominaniem o faktach głównych, nawet stanowczych, przedewszystkiém jest wystawieniem faktów bez związku między sobą, a nawet między całemi epokami, jak gdyby do tego samego narodu nie należały; dopuszcza się sprzeczności między moralném wynoszeniem czynów jako przyczyn, a potępianiem ich skutków i owoców. Pod względem najwyższego powołania historyi, zostania nauczycielką dla królów i obywateli, przedstawia jeszcze historia polska ten sens moralny, że zasługa prowadzi do kary, a jedynie swawola do nagrody w panteonie. Zygmunt III., Jan Kazimierz, Jan III. Stanisław August niemal wyklęci, proskrybowani; natomiast bywają apoteozowani syn Łokietka, Zygmunt stary i Zygmunt August, Władysław IV. i Ludwika Mawa, a oraz jej główny przeciwnik Józef Lubomirski, niedołączony August III. konfederacya barska i do niej podobne bunty. Takiemu zgorzseniu powinna zapobiedz historia pragmatyczna, powinna dzieje badać przy pomocy zasad, przy pomocy filozofii, nie wolno jej dziejów przekręcać, bo bez prawdy nie będą miały związku. Wychwalaną, ale zgubną przyczynę, zdradzą zaraz skutki; one udowodniły, że pierwszym anarchistą, prócz pogan z czasów Ryxy, był Kazimierz, autor paktów konwentów, nazywany Wielkim, chociaż monarchyi i wierze więcej umieli zaszkodzić Zygmunt I. i Zygmunt August. To zdanie przyznaję, jest nowością, ale kto ceni prawdy wiekuiste, nie powinien się lękać prawd nowych, ani walki ze starými przesądami, dla których, zdaje się, bywała i bywa polska historia pisaną.“

Przytoczyłem powyżej zestawione przestrogi p. Walewskiego w streszczeniu i w dosłowném brzmieniu jako prawdziwe curiosum, nie zasługujące nawet na rozbiór krytyczny, gdyż świadczące jedynie, do jakiego stopnia obłędu doprowadzić może chęć wyjaśniania dziejów przeszłości za pomocą urojeń, przezwanych niewłaściwie zasadami. Nie wnuknąwszy w ducha przeszłości ojczyźej przez sumienne i wszechstronne studia historyczne, chciał ją p. Walewski wytłumaczyć zasadami legitymizmu czyli prawowitości dynastycznej i lojalności, które do niej pod żadnym względem nie dadzą się przystosować. Nic też dziwnego, że używając owych zasad jako skali do oceniania ludzi i wypadków, musi mienić czarném, co dotąd uchodziło za białe, a białém, co ludzie nie opanowani podobnym obłędem legitymistycznym mienili czarném. Sama odmienność zdania nie byłaby tyle rażąca, gdyby nie ton, w jakim autor przemawia, i sposób, w jaki bezczęści wszystkich, którzy innych są przekonau, co też w ciągu tego rozbioru wyświeciłem dostatecznie.

Na zakończenie niniejszej rozprawy wypada jeszcze wspomnieć o innych dziełach naszego autora, który zaczął swój zawód pisarski za granicą od publicystyki. W najpiérwszych już utworach jego objawia się ta sama nieznośna zarozumiałość i chętką popisywania się głęboką niby a innym niedostępną znajomością spraw rządowych, gabinetowych i dyplomatycznych, którą wytknąć mu musiałem w rozbiórce jego filozofii dziejów polskich. Mając przystęp do archiwum domowego księcia Adama Czartoryskiego w Paryżu, mógł zeń i z wyjaśnień, których mu rzeczony książę, zajmujący tak wysokie stanowisko w świecie politycznym i dyplomatycznym nie odmówił zapewne, zacerpnąć wiele wiadomości i nauki. Za pośrednictwem też księcia mógł uzyskać pozwolenie do poszukiwań w bogatych archiwach francuzkich, a później udało mu się wyjednać sobie pozwolenie do przeszukania tajnych archiwów wiedeńskich. Ze źródeł tak obfitych w niezmiernie ważne materyały do dziejów ojczyźej korzystał wprawdzie nasz autor, lecz przejąwszy się zasadami przesadnego pod każdym względem legitymizmu, wystąpił do

zacieklej walki z przekonaniem przeciwnymi, a miasto z pomocą studyów wszechstronnych dochodzić prawdy, zasklepił się w swych uprzedzeniach stronniczych, w dodatku zaś przyswoił sobie tak dalece manię polemizowania, że nawet później, gdy zaczął wydawać dzieła historyczne, popada w nią nieustannie, w skutek czego zbacza ciągle od przedmiotu, nie umie zachować w niczem należytej miary, spokoju i bezstronności, i zbyt często wykracza z granic najzwyczajniejszej przyzwoitości.

Przebywając za granicą wydał: 1) *Rechtsfrage des polnisch-russischen Krieges mit Beseitigung des Aufruhrs*. Paris 1836. W rozprawie tej stara się dowieść carowi, że powstanie z 1830 i 1831 nie było narodowym, skoro naród po nocy smutnej 29. Listopada 1830 je potępił a lojaliści je nawet pokonali, i że dopiero wyjazd W. Ks. Konstantego i następny fałszywy krok gabinetu moskiewskiego naród przywiódł do okropnej ostateczności staczania walki z swym królem, że zatem nie powinien za winę kilku zbrodniarzy karać narodu całego. Drugą publikacją jest: 2) *Oswobodzenie Polski przez zniesienie pańszczyzny w Galicyi*. Napisali T. Ostaszewski i A. Walewski. Paryż 1842. Rozprawa ta doczekała się trzech wydań. Ostatnie wyszło w Paryżu 1848 r. — Trzecią publikacją Walewskiego jest: *Diplomatie de la Republique française*. Paris 1848.

Po wypadkach wiedeńskich w Marcu 1848 r. zaczął p. Walewski zasilać artykułami swemi dziennik wychodzący w ówczas w Wiedniu pod napisem: *Allgemeine oesterreichische Zeitung*, w których zwracał uwagę rządu na ważność sprawy polskiej i naglącą potrzebę zadowolenia Polaków, zawsze wiernych zasadzie monarchicznej. Osiadłszy następnie we Lwowie, napisał bądź z własnego popędu bądź też z nastrojenia świeżo tu związanego towarzystwa ziemiańskiego większych rozmiarów dzieło publicystyczne, które wydał pod tytułem: „Pogląd na sprawę Polski ze stanowiska monarchyi i historii, przez Antoniego Walewskiego. Tom I. Lwów. Z drukarni A. B. Winiarza 1848—1849“.

Strón XI i 581. Jest to zatem pierwsze większe dzieło naszego autora, wydane w kraju. Wychodziło zaś zeszytami, z których każdy stanowił część jedną. Druk rozpoczął się w Październiku 1848 a skończył w Sierpniu 1849, z wyjątkiem więc części pierwszej, reszta drukowała się w czasie zaprowadzonego w całym kraju stanu oblężenia. Drugiego tomu dzieła tego, w którym miały być dowody, że konfederacyą barską wywołali przekupieni przez nieprzyjaciół Polski anarchiści, nie ogłosił autor, ponieważ uzyskawszy w nagrodę bez wątpienia za napisanie pierwszego tomu katedrę dziejów powszechnych w Uniwersytecie Jagiellońskim, nie poczuwał w sobie już chęci do silenia się na nowe dowody, że Polsce nie potrzeba wcale niepodległości, skoro naród wierny swój tradycyi monarchicznej lojalnością może sobie zjednać ufność i łaskę trzech rządów a przez to odzyskać od nich wszelkie warunki bytu i rozwoju, a szczególnie od króla swego Mikołaja Wielkiego. Wszystkie zasadnicze twierdzenia, które rozwinał w swęj filozofii dziejów, spotykamy już w tym poglądzie jego na sprawę Polski, a zachodzi jedynie ta mała różnica, że w poglądzie jest nasz autor po części zwolennikiem jeszcze parlamentarnej formy rządu, którą w filozofii dziejów potępił już stanowczo. Porównyując zaś pierwsze i ostatnie dzieło p. Walewskiego pod względem wiedzy historycznej autora, może się każdy przekonać, że takowa mimo upłynionych lat 26 między ich wydaniem nie wzmogła się w niczem prawie. Autor nasz poczytywał się widocznie za tak doskonałego i wszechstronnie z przeszłością ojczystą obeznanego historyka, że nie czuł potrzeby uzupełniania swęj wiedzy dalszemi studjami na tém polu. To tęż dowiadujemy się już z poglądu jego na sprawę Polski, że carowie moskiewscy poczawszy od Piotra I. sprzyjali szczerze Polsce i chcieli ją dźwigać z upadku, ponieważ upatrywali w niej naturalnego sprzymierzeńca przeciw Niemcom i Turkom, lecz że najlepsze ich zamiary psuli zawsze anarchiści, pobudzani do oporu przez Austryą i Prusy a nie mniej przez Francją; że Katarzyna II, która nie zamierzała bynajmniej wynieść na tron Stan. Augusta, a wiadomością o jego niespodziewanym

wyborze była nawet zaniepokojoną, wspierała go mimo to chętnie w przeprowadzaniu potrzebnych Polsce reform, a odwróciła się od niego i wujów jego wtedy dopiero, gdy zaczęli ubiegać się o popularność i schlebiać anarchistom, podkupującym dobro i byt kraju; że ta zacna carowa była przeciwną rozbiorom Polski, i zmuszona jedynie przez Niemców zgodziła się na nie ze wstrętem i że Paweł I. dzięki staraniom Stan. Augusta chciał przywrócić Polsce niepodległość, a syn jego Aleksander zamierzał już w roku 1805 jej odbudowanie; że tenże car po zwyciężeniu Napoleona I. byłby na kongresie wiedeńskim odbudował całą Polskę, gdyby się temu nie oparły Austria, Francja i Anglia; że mimo to upewnił jej traktatem warunki bytu narodowego w dawnych przedrozbiorowych granicach, sam święcie dotrzymywał zobowiązań traktatowych i oba współrozbiornicze rządy wzywał do ich dotrzymywania; że Mikołaj I. największy z monarchów a nawet z ludzi XIX. wieku najlepszymi jest ożywiony dla Polski chęciami, a lubo za surowo może ukarał ją za bunt garstki zuchwałych anarchistów, wyrządzi jej niezawodnie sprawiedliwość, zwłaszcza gdy wszedł w przymierze z Austrią celem zwalczania buntu madziarskiego i rewolucyi europejskiej, do czego Polacy lojalnym zachowaniem się swoim i wyraźnie okazywaną wzdargą rewolucjonistom i anarchistom polskim się przyczyniają itd. itd. Dowiadujemy się dalej, że Austria począwszy już od Leopolda I. a głównie od Karola VI. była nieprzyjazną Polsce, przeszkadzała jej wydzwignieniu się z upadku, wspierała nieustannie anarchją, wywołała wspólnie z Francją bunt barski przeciw Stan. Augustowi, i wspólnie z Prusami zniewoliła Katarzynę do rozbiorów Polski; że po kongresie wiedeńskim pobudzała Polaków do oporu przeciw wspaniałomyślnym zamiarom szlacheckiego jej wskrzesiciela, a sama nie dotrzymywała zobowiązań traktatów wiedeńskich; że przyczyniła się w niemałej części do wywołania buntu w nocy 29. Listopada 1830; że następnie skłaniała Mikołaja I. do zbyt ciężkiej surowości i że dopiero po wypadkach wiedeńskich w r. 1848 i upadku księcia Meternicha weszła na inne tory, zaczęła sprzyjać Polakom, a związana przymierzem

z królem polskim uznała ważność takiego czynnika jak Polska monarchicznie zawsze usposobiona, w walce z rewolucją europejską.

I w poglądzie na sprawę Polski figuruje Stan. August jako największy z królów, który od początku aż do końca panowania swego pracował szczerze i sumiennie nad odrodzeniem ojczyzny, a tém jedynie chybiał, że był za łagodny i nie karał surowo anarchistów, przeszkadzających temu odrodzeniu. Zdaniem autora winna Polska wszystko, co tylko stało się w niej dobrego, ostatniemu królowi temu, który sam téż jest twórcą wiekopomnej ustawy rządowej z 3. Maja 1791, a nie Kołłątaj, Potocki Ignacy, Małachowski i inni, jak twierdzą źle poinformowani dziejopisowie. Jednego tylko brakowało według autora Stan. Augustowi do doskonałości a mianowicie przejęcia się wzniosłą zasadą, że sztuka rządzenia jest przede wszystkim sztuką karania. Że zaś Stan. August nie posiadał téj sztuki karania a tém samém nie mógł zniszczyć hydry anarchii i utrzymać w należnych korbach jańczarów polskich t. j. szlachty, nie zdołał przeszkodzić rozbiorowi kraju, który nie był, jak twierdzą nieświadomi rzeczy, wynikiem chciwości jej sąsiadów, ale ich obawy, że Polska odrodzona i uwolniona od anarchii zagrozi ich własnemu bezpieczeństwu! Główną zaś przyczyną rozbiorów była nieufność i posunięta aż do nieprzyjaźni rywalizacja między Austryą i Moskwą, a z ich pogodzenia się i przymierczego związku rokował autor najlepiej dla przyszłości Polski, co miał nowy przezeń zapowiedziany ziścić kongres.

W uwielbieniu swém dla Moskwy wynurzał p. Walewski już wtedy przekonanie, że takowa dotrzymywała zawsze świącie zobowiązań, że zatem zarzuty wiarołomstwa względem Polski jej czynione są istną potwarzą. Twierdzi dalej, że prawo wojny i prawo zdobyczy jest także prawem natury, że królowie są nieomylni, a tem samem wszystko, co robią, jest dobre (str. 423), że rewolucyoniści, зараżeni materializmem nie pojmują duchownego powołania mężów stanu, i dla tego ich między sobą mieć nie mogą; że Polski niepodległej nie należy sobie życzyć, a dążenie do takiej niepodległości jest mate-

ryalizmem i rewolucyjnością potępioną słusznie przez naród (str. 501.), że cały też naród pogardza rewolucjonistami i tuli się do opiekuńczych trzech rządów, broniących go przeciw tymże (str. 506.); że Moskwa sama jedna występuje stale w obronie Europy i oświaty (str. 533.); że komunizm jest prostym jedynie następstwem liberalizmu a szczególnie demokracji (str. 542.), że W. Ks. Konstanty był wprawdzie surowy ale oraz sprawiedliwy i szlachetnego charakteru i t. d. i t. d. Dowiadujemy się w dodatku z tego poglądu, że autor nie tylko królów i papieża, ale i siebie również ma za nieomylnego. Pomijam zjadliwo wzgardliwe wynurzenia autora o ruchu we Lwowie w r. 1848., o radzie narodowej i innych objawach owoczesnych, jego radowanie się ze zbombardowania Lwowa i dziękczynienia za nie, jego filipiki przeciw legionowi polskiemu w Węgrzech i podłą czołobitość obec Moskali, jego twierdzenie, że w wojsku sprzymierzonym a nie u buntowników madziarskich są prawdziwe legiony polskie itd., ponieważ nie widzę potrzeby zapuszczania się w szczegółowy rozbiór tego po wyjściu wzgardzonego i wnet zapomnianego pamfletu. Przytoczyłem zaś niektóre zeń twierdzenia na to jedynie, aby wskazać, że filozofia dziejów polskich jest w rzeczy nowém tylko, tu i owdzie znacznie rozszerzonym, do okoliczności czasu zastosowanym i w dosadniejsze wyrażenia się albo raczej inwektywy zaopatrzonym wydaniem tegoż.

Pomijam tu niemieckie dzieło p. Walewskiego pod napisem: „Geschichte der heil. Ligue oder Kaiser Leopolds I.“ ponieważ nie chcę powtarzać, co zaraz po wydaniu pierwszej tegoż części umieściłem o niém w Gazecie Warszawskiej. Przechodzę więc do dwu dzieł jego następnych, opisujących dzieje panowania Jana Kazimierza od najechania Polski przez Karola Gustawa króla szwedzkiego w r. 1655 aż po koniec roku 1661. Każde z tych dzieł składa się z dwu tomów. Pierwsze wyszło w latach 1866 i 1868 pod napisem: „Historia wyzwolenia Polski za panowania Jana Kazimierza (1665 — 60),“ a drugie wydało towarzystwo naukowe krakowskie swym nakładem w latach 1870 i 1872 pod napisem: „Historia wyzwolonej Rzeczypospolitej wpadającej pod jarzmo

domowe za panowania Jana Kaźmierza (1655 — 1660).“ W pierwszym opisuje autor przebieg wojny ze Szwedami aż do oblężenia Torunia (pod koniec 1658.), a w drugim dalszy ciąg wojny szwedzkiej, walkę stronnictw z powodn projektowanego wyboru następcy tronu za życia Jana Kazimierza, tudzież wojnę z Moskwą i Kozakami aż po koniec r. 1661. W obu zaś dziełach opiera się przeważnie na dokumentach wydobytych z archiwów wiedeńskich, paryskich i berlińskich. Zebranie tych źródeł archiwalnych do dziejów owego czasu, wykazujących całą sieć intryg, podstępów i matactw dyplomatycznych, któremi jak nie mniej przekupstwem i innemi środkami demoralizującemi posługiwały się rządy obce i Marya Ludwika w owoczesnej Polsce, jest niezawodnie wielką zasługą autora, ponieważ odsłonił nam przez to wiele tajemnic i robót zakulisowych, które tak potężnie oddziaływały na bieg wypadków i losy narodu, niewiedzącego najczęściej, że idąc w tym lub owym kierunku, nie służył sprawie ojczystej, ale był narzędziem i ofiarą bezsumiennnej polityki obcych rządów. Lecz nie podobna się zgodzić z sposobem użycia zebranych źródeł i z tonem, jakiego autor używa w kreśleniu dziejów owej epoki nieszczęsnej. Genezę najazdu szwedzkiego opisał autor nader pobieżnie a w dodatku stronnitczo. I pogląd jego również na rządy Władysława IV. i na pierwsze lata panowania Jana Kazimierza jest nader niedokładny, urywkowy i więcej daklamacyjny, niż wyjaśniający stosunki owoczesne. Potępiając bezwzględnie Władysława IV., nie ma dość słów uwielbienia dla Jana Kazimierza, w którego postępowaniu nie spostrzega najlepszej usterki.

W opisie wydarzeń, będących właściwą treścią obu dzieł pomienionych, jest autor nader rozwlekły i popada częstokroć w gadulstwo. Rozwodzi się nader obszernie nad każdą notą lub depeszą dyplomatyczną, rozbiera w sposób drobnostkowy małoznaczne częstokroć szczególiki, gubi się w przypuszczeniach i wywodach, a nie rozwija w swém opowiadaniu w sposób wyczerpujący i obrazowy wypadków i spraw wchodzących na porządek dzienny. Chociaż sam twierdzi słusznie, że historia nie jest polem dla polemiki, popada przecież nieustannie

w ton polemiczny, miasto opisywać bezstronnie wypadki. Upatrując w Janie Kazimierzu ideał monarchy, mającego na celu dobro wyłącznie rządzonych, zwała winę całą za niepowodzenia na Maryę Ludwikę, a nie wyjaśnił, jakim cudem stać się mogło, że pod stérem tak jeniałnego i doskonałego króla rządu spoczywały właściwie nie w jego lecz w rękach Maryi Ludwiki. Czy to w Głogowój, czy to w powrocie do kraju, czy podczas zgromadzeń senatu, czy na konwokacyach i sejmach, czy na kongresie w Oliwie, czy w czasie układów o posiłki wojskowe z Austryą, czy w sprawie następstwa tronu, czy téż w jakichkolwiek innych sprawach wewnętrznych i zewnętrznych, wszędzie odgrywa królowa główną rolę, wszędzie spostrzegamy jój wpływ przeważny, a król jest niemal figurantem lub wykonawcą jój woli. Posłowie obcych mocarstw i ministrowie Rptój a nawet wodzowie odnosili się więcéj do niéj, niż do Jana Kazimierza. Wszystkie najważniejsze sprawy dotyczące pokoju i wojny, reformy rządowój i wyboru następcy tronu przechodzą przez ręce królowój, a nic zgoła nie dzieje się bez jój wiedzy i zezwolenia. Od niéj zależy rozdawnictwo urzędów i chleba zasłużonych, nic téż dziwnego, że każdy dbał więcéj o jój względy niż o łaskę króla, który we wszystkiém niemal podrzędną odgrywał rolę. W czémże okazał Jan Kazimierz ową wyższość i jeniałność, o której autor prawi do przesytu? Wszakże nawet w sprawie przymierza z Austryą, które zdaniem autora miało zbawić Polskę, a o czém i król miał być przeświadczony, przemogło ostatecznie zdanie królowój.

Autor zarzuca nieustannie historykom polskim, że nie zwracali uwagi na zgubny dla Polski wpływ sporu austriacko-francuzkiego, i dla tego w ocenianiu wypadków, ludzi i stronictw w Polsce owoczesnej najcięższych dopuszczali się pomyłek. Zarzut ten jest bezzasadny, ponieważ wszyscy wiedzieli o szkodliwości tego wpływu, chociaż nie podzielali zdania autora, że tylko sojusz z Austryą mógł zbawić Polskę, lub że naprawa rządu polskiego zależała wyłącznie od ścisłości sojuszu tego.

Nie da się wprowadzić zaprzeczyć, że położenie Polski w chwili śmierci Władysława IV. było okropném i że Jan

Kazimiérz obejmując rządy, miał nader trudne zadanie. Lecz nie mniej jest prawdą, że nowy król nie załatwiwszy się z Moskwą i Kozakami, upłatał samochcąc Rptę w wojnę szwedzką bezcelném odezwaniem się z prawami swémi do tronu szwedzkiego i lekkomyślną protestacją przeciw zarządzeniu Krystyny, która zrzekając się rządów, przelała takowe na Gustawa Karola. O tém przemilcza zupełnie Pan Walewski, a jednak z tego kroku błędnego wynikły najsmutniejsze dla Polski następstwa. I w sprawie Radziejewskiego nie było postępowanie dworu bez zarzutu, a stronnictwo jego zaciekle przyczyniła się wielce do rozdrażnienia narodu, z czego wynikła niechęć ku królowi, która następnie ułatwiła Karolowi Gustawowi opanowanie Polski. Nikt nie pochwalał i nie pochwała postępowania Radziejewskiego lub łatwości, z jaką Wielkopolanie a za ich przykładem Małopolanie i część Litwinów poddali się obcemu najezdcy. Lecz sumienny dziejopis powinien zestawić wszystkie okoliczności i przyczyny, które współdziałały w tym wypadku dziejowym. Faktem jest niewątpliwym, że w chwili najazdu szwedzkiego był Jan Kazimierz a raczej dwór powszechnie zniechęconym, i że właśnie z tego powodu król szwedzki obiecujący narodowi wyzwolenie z niedoli, nie doznał z jego strony oporu. Otóż miasto popisywać się teoryjami legitymistycznymi i deklamacjami, należało wejść w ścisły rozbiór czynności rządowych i postępowania króla w pierwszych latach panowania jego, aby się przekonać, czy rzeczywiście zasłużył na tak powszechną nienawiść, albo też nie. Tego nie uczynił p. Walewski, a co gorsza pominął zupełném milczeniem wszelkie możliwe powody powszechnego zniechęcenia narodu przeciw Janowi Kazimierzowi. Opisuje również poddanie się Wielkopolan i następnie Małopolan nader niedokładnie, a co dziwniejsza nie wskazuje nawet wszystkich przyczyn późniejszego zwrotu usposobień narodu przeciw najezdnikowi. Za to rozwódzi się zbyt obszernie o zachodach dyplomatycznych celem uzyskania pomocy austryackiej. Podając najdrobniejsze szczegóły o rokowaniach z Austryą i Moskwą, zbywa pobieżnie konfederacją tyszowiecką, nad którą przecież powinien był

się obszerniej rozpisać, ponieważ jej głównie a nie spóźnionej pomocy austriackiej należy przyznać wyzwolenie Polski. I w dalszym toku opowiadania zajmują go więcej zachody i kabały dworskie i dyplomatyczne, niż przebieg wypadków w kraju, które skreśla najczęściej urywkowo i niedokładnie. Ludzi zaś i stronnictwa w Polsce ocenia na podstawie głównie sprawozdań poselskich, które są dlań wyrocznią, a o ogóle narodu mówi z największym lekceważeniem. Chociaż zatem w tej czterotomowej monografii objął sześć tylko lat panowania Jana Kazimiérza, nie skreślił nam przecież dokładnego obrazu tej krótkiej ale za to ważnej chwili życia narodu, a wielu zagadnień ważnych nie dotknął nawet. Jedyną zasługą, jaką wyrządził tém dziełem historyografii polskiej, jest ogłoszenie w niem dokumentów wypisanych z archiwów zagranicznych, ponieważ dostarczył przyszłym dziejopisom tej epoki ważnych rzeczywiście materiałów do jej dokładniejszego niż dotąd przedstawienia.

Jak we wszystkich swych dziełach tak i w tej monografii jest autor więcej publicystą niż dziejopisem, nie też dziwnego że popada nieustannie w ton polemiczny. W tekście i przypisach kłóci się ze wszystkimi, którzy jego nie podzielali lub nie dzielają przekonań, a zatem z wszystkimi, którzy nie wierzą w legitynizm i lojalność bezwarunkową, lub hołdują liberalizmowi wiodącemu przez demokracją do komunizmu, lub którzy nie upatrują szczęścia ludzkości i narodów w przywróceniu błogich rządów papiesko-cesarskich, albo w końcu powątpiewają o nieomyłności papieża, monarchów i samego autora. I w tém dziele spotykamy się z wszystkimi niemal twierdzeniami, któreśmy wykazali w rozbiórce jego filozofii dziejów Polski. Szlachta polska jest zdaniem jego bezmyślną liczbą, podobną całkiem do jańczarów tureckich, zgrają anarchiczną i nie mającą zdrowych pojęć o niczym, a przytém krnąbrną i zuchwałą, i dla tego przeszkadzającą najzbawienniejszym zamiarom jeniałnego Jana Kazimiérza, dążącym do uszczęśliwienia ojczyzny i zapewnienia jej bytu. Lecz w dumaniach Polaka nad tym pięcioletnim okresem dziejów polskich i w rocznicę stułetnią piérwszego rozbióru Polski

dowiódł nam autor, że daru nieomyślności nie posiada wcale. Widzieliśmy, w jaki sposób przedstawił stosunki Polski z Moskwą w swój filozofii dziejów polskich i w poglądzie na sprawę polską. W obu tych dziełach zaliczył carów moskiewskich począwszy od Piotra I. między dobrodziejów narodu polskiego, który się im odplacał niewdzięcznością i za to został słusznie ukarany. W dumaniach zaś a nawet tu i owdzie w samej historii wyzwolonej Rptój potępia Katarzynę II. i rząd moskiewski, i zarzuca mu, że spowodował upadek Polski, ponieważ nie dopuszczał zbawienną reformy. Jak tam spodziewał się restauracji Polski od cara, tak wygląda jej w dumaniu Polaka w stuletnią rocznicę pierwszego jej rozbioru od nowego cesarza niemieckiego! Czytając owe dumania mogłoby się zdawać, że je pisał kto inny a nie autor poglądu i filozofii dziejów polskich, gdyby nie wycieczki przeciw niedowiarkom, którzy nie oswoili się z myślą, jakim to błogosławieństwem dla ludzkości i narodów mogą być rządy papiesko-cesarskie, i gdyby nie surowe powstawanie „przeciw włoskim rabusiom, którzy się targnęli na świeckie posiadłości papieża.“ Pisząc swą filozofią dziejów polskich, zapomniał widocznie p. Walewski, co wynurzył w swych dumaniach umieszczonych jako dodatek do II. tomu historii wyzwolonej Rptój, gdyż inaczej nie byłby wielbił Katarzyny II. i dzisiejszego rządu moskiewskiego, skoro w owych dumaniach potępił ich bezwarunkowo, a nawet Europę wzywał do podjęcia pod wodzą nowego cesarza niemieckiego krucjaty przeciw Moskwie, hołdującej zasadom azyańskim. Co wpłynęło na zmianę jego przekonań w tak krótkim przeciągu czasu, trudno wyrozumieć, lecz sprzeczności zachodzące między twierdzeniami zawartymi w obu utworach wspomnianych są tak rażące, że nie podobnego nie zdarzyło mi się spostrzedz w dziełach któregośkolwiek z pisarzy polskich lub obcych. Dumania te i rozmaite twierdzenia umieszczone w monografii 4tomowej dowodzą jedynie, że p. Walewski rozmyślnie fałszował w swój historyozofii dzieje polskie, ponieważ wiedział o prawdziwym przebiegu spraw polskich począwszy od r. 1760, a mimo to wystawił wszystko inaczej, a w dodatku winił innych

najbezczelniej o sfalszowanie tych dziejów. Nie mogąc się tu zapuszczać w zestawienie szczegółowe sprzeczności zachodzącej między twierdzeniami jego zawartemi w obu dziełach wspomnianych, przestaję na ogólném wykazaniu tychże, a każdy może się sam o tém przekonać.

W r. 1874. wydała akademia umiejętności pierwszy tom Walewskiego dziejów bezkrólewia po skonie Jana III. W tym tomie opisuje autor to bezkrólewie počawszy od śmierci króla, zaszłej 17. Czerwca 1696, aż do wyboru marszałka elekcyjnego z końcem Maja 1697. Jak w poprzedniem dziele tak oparł Walewski i w tém także opowiadanie swoje na źródłach przeważnie archiwalnych. Burzliwość tego bezkrólewia, zaciekłość stronnictw, przedajność najznakomitszych dostojników świeckich i duchownych i matactwa podstępne obcych poselstw w Polsce nastęrczają autorowi dogodną sposobność do piorunowania na anarchiczne usposobienia narodu, które przywiodły go ostatecznie do utraty niepodległości. W przedmowie do dziejów tego bezkrólewia rozwija autor swą teorią o zgubnej dla Polski rywalizacji między Francją a Austryą i przypisuje zaniedbaniu spraw gabinetowych w Rzeczypospolitej wszystkie niedole, jakie stały się jej udziałem, szczególnie gdy miasto iść za przykładem Zygmunta III., Jana Kazimierza i Jana III., którzy w sojuszu z Austryą upatrywali zbawienie kraju, dała się usidlić podszeptom dworu francuzkiego, i nie tylko odstrychnęła się od Austrii, ale w dodatku sprzeniewierzywszy się tradycyi rodzinnej, nie powołała na tron prawowitego dziedzicą tegoż, królewicza Jakuba Sobieskiego. Przy téj sposobności uderza autor znów na Kazimierza W. i na Zygmunta Augusta za targnięcie się na świętość praw dynastycznych i dziedziczości tronu, a oraz na tych, którzy z rozmysłu lub z nieuctwa pofalszowali z gruntu historiją polską i dla tego odjęli narodowi możność poznania prawdy. Lecz sam autor poczuwający w sobie chęć i siłę zreformowania nauki dziejów, zapomniał o głównym warunku takiej reformy, to jest o bezstronności, z czego wynikło, że dopuścił się w wyższym stopniu tych samych błędów, które innym poczynał za zbrodnią. Oświadczając

się bowiem za prawowitością dynastyczną, dziedziczością tronu i przymierzem z Austryą, a oraz przeciw równości i liberalnym urządzeniom, tudzież przeciw „panowaniu liczby“, naciąga wszystko do swych teorii, a w przeciwnych tymże dążeniach upatruje tylko złą wolę, zdradę i brak miłości ojczyzny. Z tego też powodu byłby niezawodnie stokroć większą wyrządził historyografii naszej przysługę, gdyby był ogłosił zebrane w archiwach materiały dziejowe, niż napisaniem dzieł, w których nieumiał tych materiałów należycie zużytkować, a w dodatku wziął z nich jedynie pochóp do szkalowania narodu.

W opisie spraw bezkrólewia po Janie III. ocenia p. Walewski ludzi i stronnictwa w Polsce owocześnie według sprawozdań poselskich, nic też dziwnego, że sąd jego wypadł bardzo niepoehlebnie dla całego narodu. Za to nie dał nam w swém dziele dokładnego obrazu wypadków i nie wyjaśnił należycie i wszechstronnie żadnej sprawy. Nie dowiadujemy się bowiem z monografii jego, w jaki sposób nastąpiło pogodzenie się Maryi Kazimiéry z królewiczem Jakubem, kto w rzeczy spowodował konfederacyę wojskową w koronie pod laską Baranowskiego, a w litewskim pod stérem Ogińskiego, jakie reformy projektował Baranowski, kto był prawdziwym sprawcą zerwania sejmu konwokacyjnego; co zamierzała po zerwaniu tegoż utworzona konfederacya stanów, co przedsiębrała i w jaki sposób spowodowano Marię Kazimiérę do dania pieniędzy na uspokojenie wojska skonfederowanego; kto głównie pośredniczył w pogodzeniu królewicza Jakóba z matką; czy i jaki program polityczny mieli prymas Radziejowski, Lubomirscy, Sapiehowie i stronnictwo królewicza Jakóba; czy i jaką naprawę każde z stronnictw walczących zamierzało przeprowadzić; czy branie pieniędzy od poselstwa francuzkiego i innych wynikało z nędznej sprzedajności czy też przeciwnie z potrzeby zgromadzenia siły zbrojnej, aby nią zapewnić zwycięztwo swój stronie i t. d. i t. d. Żadnej z tych kwestyi nie rozwiązał autor, a przytaczając mnogie ustępy z źródeł zebranych, powiązał je z sobą deklamacyami ohydzącými naród w sposób dotąd nie praktykowany. Najzaciętszy wróg

nie potrafiłby pewnie w szkaradniejszym wystawić świetle przeszłości naszój. Powiem nawet, że p. Walewski przeszedł wszystkich w tój mierze, a każde z dzieł jego poczynszy od poglądu na sprawę polską ze stanowiska monarchyi i historii a kończąc na dziejach bezkrólewia po Janie III. i filozofii dziejów polskich jest paszkwilem na naród polski, na jaki dotąd nie zdobył się żaden z najnieprzyjaźniejszych nam pisarzy zagranicznych. Akademia umiejętności nie dowiodła tóż zdaniem mojem taktu, gdy własnym nakładem dzieje bezkrólewia po Janie III. w tak nieprzyzwoicie polemicznym tonie skreślone ogłosiła drukiem. Nie idzie nam tu o osobiste przekonania p. Walewskiego ale o ton dzieł jego, w których wziął rozbrat z wszelką przyzwoitością, przestrzeganą w pismach nawet polemicznych autorów poważnych. Można być legitymistą, absolutystą, wielbicielem tój lub owój formy rządu, papistą, liberałem, demokratą itd. a jednak przestrzegać zasad przyzwoitości, a tём samém nie nazywać ludzi przeciwnego kierunku politycznego złoczyńcami, zbrodniarzami lub nikczemnikami, którzy wyrzekłszy się zasad, myślą jedynie o własnych zyskach osobistych, o natkaniu swych kieszeń groszem publicznym i o zdradzie. Pan Walewski wiedziony nieustannie chętką polemizowania, nie umie być przedmiotowym, i dla tego odbiega ciągle od przedmiotu, aby gromić terażniejsze kierunki polityczne, niezgodne z jego przekonaniem, albo potępiać w sposób nieprzwoicie dosadny Kazimierza W., Zygmunta I., Zygmunta Augusta, Władysława IV. i innych za to, że nie przeculi, że kiedyś po wiekach urodzi się mędrzec, który ich mianem zbrodniarzy lub niedołęgów napiętnuje za ich czynności rządowe, a między innými i za takie jak unia lubelska. O unii lubelskiej rozpisuje się najobszerniej w dziejach bezkrólewia po Janie III., gdzie luźną deklamacją stara się odrzeć ten fakt dotąd słusznie wielbiony z wszelkiej wartości a co gorsza wystawić go jako najzgubniejsze dla narodu dzieło.

Jaką bronią autor walczy z ludźmi innych przekonañ politycznych, wskazałem już aż nadto dostatecznie w rozbiorze jego filozofii dziejów polskich. Byłoby więc rzeczą najzu-

pełniej zbyteczną, gdybym chciał zestawiać mnogie ustępy z jego dzieł innych w podobnym duchu pisane. Przeszanę na uwadze jedynie, że właśnie te zbyt liczne ustępy polemiczne w tych dziełach zawarte zmniejszają bardzo wartość naukową dzieł jego, a szczególnie dla tego, ponieważ wszystkie te wycieczki w miarę zmieniającej się obecnie polityki są mniej lub więcej zjadliwe, a nawet w rażącej sprzeczności, skoro raz potępia to, co niedawno wychwalał. Na tém kończę moje uwagi o p. Walewskim i jego dziełach tak publicystycznych jak nie mniej historycznych, któremi obdarzył piśmiennictwo polskie na pociechę głównie wrogów narodu naszego.





36547/

/2